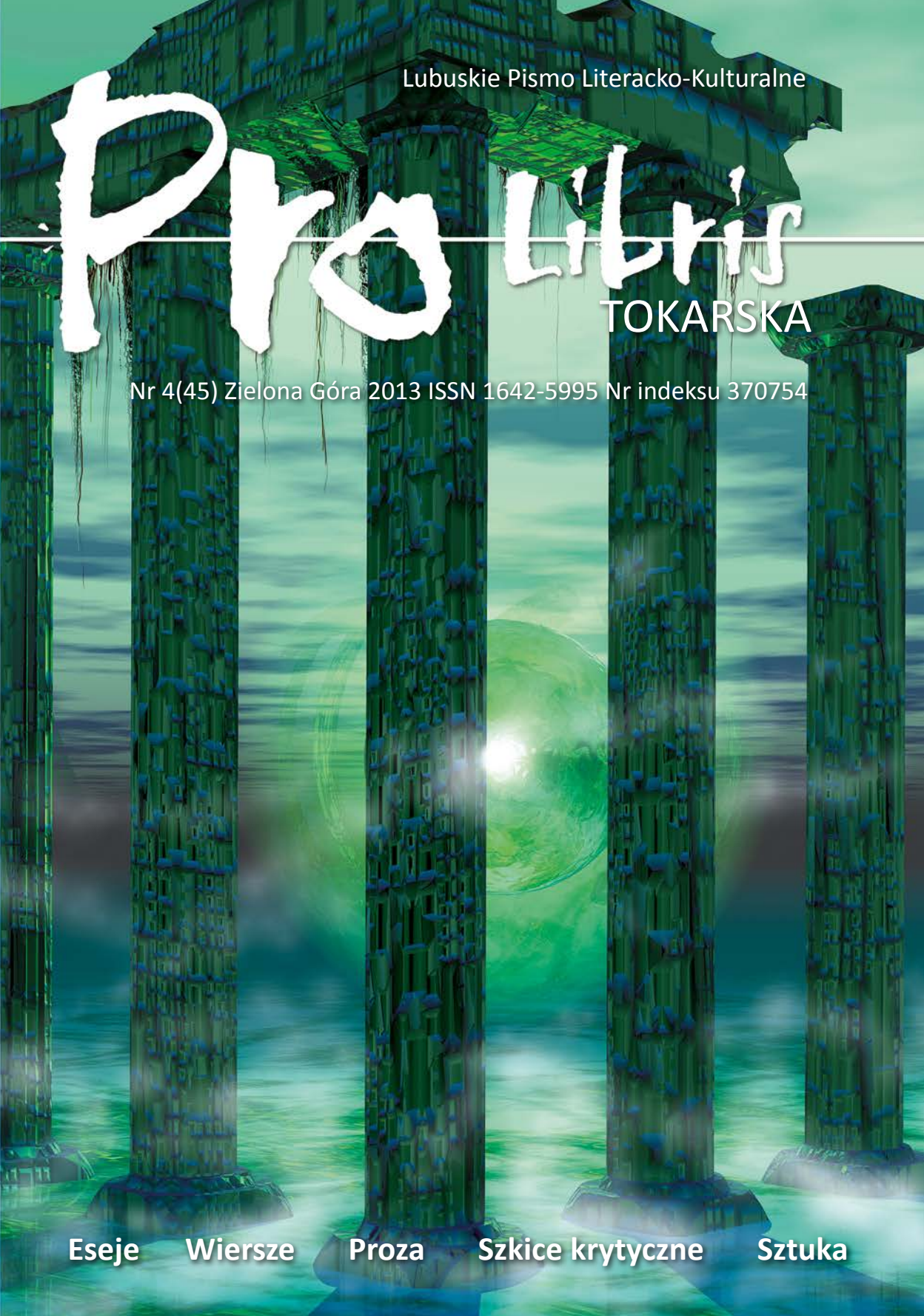




Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

TOKARSKA

Nr 4(45) Zielona Góra 2013 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego .**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 4(45) – 2013

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Mariusz Kowalski

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2013

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie:
archiwum WiMBP im. C. Norwida, Renata Masternak, Anna Matysiak

Wydawca
Pro Libris – wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA

Druk i oprawa
LIGATURA

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
tel. 603 610 906, 68 45 32 637, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl
www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

W numerze żegnamy znakomitą poetkę zielonogórską Annę Tokarską, przywołując Ją we wspomnieniach przyjaciół, współpracowników i miłośników Jej talentu. Z urodzenia łodzianka, swe dojrzałe życie związała z Zieloną Górą, gdzie realizowała się zawodowo i artystycznie. Była osobą o wielkiej wrażliwości, roztaczając wokół siebie aurę człowieczeństwa, opiekując się ludźmi Jej potrzebującymi.

Charakteryzowała się szczególnie rozwiniętą empatią, która sprawiała, że każdy, kogo los z Nią zetknął, czuł się potrzebny i zrozumiany, Ignął do Jej ciepła, przytulności, wielkiej troski o bliskich. Wiotka i krucha fizycznie, potrafiła dać olbrzymią siłę, chęć życia i poczucie przydatności. Pozostanie na zawsze w pamięci ludzkiej nie tylko jako uzdolniona poetka, kompetentna redaktorka i sprawna animatorka kultury, ale przede wszystkim jako dobry człowiek, prawdziwa humanistka, istota o cechach niespotykanych w dzisiejszym bezwzględnym świecie. Niechęć do publicznych wystąpień, pokora i skromność towarzyszyły Annie Tokarskiej w całej, ważnej przecież karierze, co wspominał jest przez środowisko literackie i teatralne Zielonej Góry z wielką estymą. Oddając hołd tej wielkiej postaci kultury naszego miasta, zatrzymajmy Ją w najlepszej pamięci, wspominajmy Jej życzliwość, umiłowanie drugiego człowieka i czułą łagodność, której nigdy nie zapomnimy. Zestaw autorów przypominających sylwetkę Ani Tokarskiej uświadamia, jak bardzo różnicowany był krąg osób, w którym funk-

cjonowała i dla których była źródłem ważnych odkryć (prof. Małgorzata Mikołajczak, dr Andrzej Buck, ks. prof. Andrzej Draguła, Przemysław Grześniński, Janusz Łastowiecki, Andrzej Nowak, Mirosława Szott, Roman Garbowski, Czesław Sobkowiak).

Ponadto zapraszamy Państwa do kontynuacji dyskusji rozpoczętej w 42 numerze „Pro Libris” artykułem dr. Roberta Rudiaka o stanie lubuskiej literatury, głosem prof. Małgorzaty Mikołajczak, a także do zapoznania się z materiałem Ewy Mielczarek podsumowującym czwartą z kolei edycję Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris” oraz z prezentacją wierszy jego młodych uczestników.

Proponujemy także zestaw interesującej prozy (Edward Derylak, Marcin Radwański, Zbigniew Masternak, Izabela Januszkiewicz, Mirosław R. Kaniecki) oraz poezji (Barbara Konarska, Konrad Krakowiak, Witold Stankiewicz, Bogumiła Różewicz, Władysław Łazuka, Jacek Żeromski).

Dr Joanna Kapica-Curzytek w eseju *Skazana na legendę* relacjonuje spotkanie z Angeliką Kuźniak, dziennikarką i autorką książki *Papusza*, będącego wydarzeniem, które zapoczątkowało tegoroczny III Festiwal Literacki w Zielonej Górze.

W numerze publikujemy także ostatnią część obszernego opracowania dr. Roberta Rudiaka o *Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961-1981*.

Zapraszamy do refleksyjnej lektury.

Spis treści

Małgorzata Mikołajczak , Spotkanie z Anną Tokarską	6
Andrzej Buck , Tokarska. Naprawdę wyjechała... ..	9
ks. Andrzej Draguła , Nieparzystość. Wspomnienie o Annie Tokarskiej	11
Przemysław Grzesiński , Kalka szkicu. O poezji Anny Tokarskiej	13
Janusz Łastowiecki , Jutrznia ptasia	19
Andrzej Nowak , Taka trochę Matka Boska	20
Mirosława Szott , Kocie ucieczki	22
Roman Garbowski , Anna	24
Czesław Sobkowiak , Jesień	25
Jacek Żeromski , Wiersze [*** Fale gorąca..., Tchnienie przez mgłę, Tchnienie odnowienia, *** Twoje czarne włosy...]	28
Edward Derylak , Drugie życie Józefa	32
Barbara Konarska , Wiersze [Zima pod Tatrami, ars longa, dwie świątynie, koncert]	38
Mirosław R. Kaniecki , Kto czyta, nie jest samotny (II)	42
Konrad Krakowiak , Wiersze [Samotność, Wigilia, Wieczność, Perspektywa]	45
Izabela Januszkiewicz , Oczekiwanie (fragment powieści)	49
Władysław Łazuka , Wiersze [Zanim..., Wietrze, Na ścieżce, Las jesieni]	51
Marcin Radwański , Wizyta w czytelniku	55
Witold Stankiewicz , Wiersze [Pomyśl..., Platonicznie...]	60
Zbigniew Masternak , Szeptuchy w Czeremsze	62
Bogumiła Różewicz , Wiersze [Autobus, Symfonia samotności, Liść serca, Ścieżka kropli]	67
ZBLIŻENIA	
Małgorzata Mikołajczak , Juwenilia. O niewykorzystanym potencjale twórczości lubuskiej	71
Robert Rudiak , Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961-1981 (część III)	75
EKSLIBRIS W PRO LIBRIS	
Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia... ..	82
PREZENTACJE	
Mariusz Kowalski	84
Igor Myszkiewicz , To, co lubię	85
VARIA	
Joanna Kapica-Curzytek , Skazana na legendę	86
Jakub Rawski , Odeszła gigantka literatury: Doris Lessing in memoriam	89
Ewa Mielczarek , Młoda poezja lubuska. Rozstrzygnięcie IV edycji Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris”	92

RECENZJE I OMÓWIENIA

Naznaczona

Angelika Kuźniak, *Papusza* (Joanna Kapica-Curzytek) 104

Panorama działań wysiedleńczych

Jacek Inglot, *Wypędzony. Breslau – Wrocław 1945* (Marika Sobczak) 106

Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wojenne zapiski

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939-1945* (Joanna Wawryk) .. 108

Ogarnąć życie. Nowa powieść mistrza

Wiesław Myśliwski, *Ostatnie rozdanie* (Joanna Wawryk) 111

KSIAŻKI NADESŁANE 114

AUTORZY NUMERU 115

Małgorzata Mikołajczak

Spotkanie z Anną Tokarską



Nie mogę odnaleźć na półkach swojej biblioteki tamtego tomiku, dzięki któremu po raz pierwszy spotkałam się z Anną Tokarską. A były w nim, w ładnie wydanym albumie, zbierającym najpiękniejsze wiersze polskich poetek współczesnych, jej erotyki. Była Halina Poświatowska, Wisława Szymborska, Małgorzata Hillar, Urszula Kozioł. I była Tokarska. Z tymi wierszami, pochłanianymi w przerwach między lekturą podręcznika scs-u i łaciny, czytаныmi na zmianę z tekstami Szymborskiej i Kozioł, kojarzy mi się okres studiów we Wrocławiu.

Potem wróciłam do Zielonej Góry, w której wszystko było niewrocławskie, obce. Zaczęłam pisać pracę o Urszuli Kozioł, publikować pierwsze artykuły, wśród nich recenzje zanoszone do redakcji „Lubuskiego Informatora Kulturalnego” (szkoda, że dziś już się nie ukazuje). Za sprawą jednej z takich recenzji spotkałam Tokarską. Pracowała jako kierownik literacki w Teatrze Lubuskim, zajmowała się „Informatorem” i bardzo życzliwie przyjęła mnie jako krytyka. Sta-

nęłam wtedy oko w oko, twarz w twarz z autorką wiersza, który znałam już prawie na pamięć:

Gdyby nie to
że stopy zanurzyli w ogniu
stając się podstawą ofiarnego stosu
który ich pochłoniął
na czas jednej nocy

gdyby nie to
że teraz odchodzą od siebie
jak dym kulejący nad polem jałowym
sennie i bez znaczenia
a ocalałe drzewa
których jeszcze nie wycięto w pień
ronią nad nimi rude liście
i powietrze poranne pełne jest jesieni

gdyby nie to
można by powiedzieć

że nic się nie stało
że oto
szczęśliwie zaczęli jeszcze jeden dzień
swojego życia

gdyby nie to –

* * *

Później spotykałam Tokarską jeszcze wiele razy. Mijałyśmy się z uśmiechem na zielonogórskim deptaku, zdarzało nam się wymieniać jakieś niezobowiązujące zdania. Przychodziła na Lubuskie Czwartki Literackie i wtedy nasze mikrodialogi krążyły wokół pisarzy i książek. Prowadziłam także jej ostatni wieczór, inaugurujący Salon Poezji w Bibliotece im. Cypriana Norwida. Bardzo nie lubiła i nie chciała występować publicznie. Miała, pamiętam, wielką treść, gdy razem z panią Barbarą Konarską musiała mówić (przed takim mówieniem mocno się broniła) o swojej poezji.

Czy ją znałam? Znałam jej uśmiech – nieśmiały, lekko figlarny uśmiech młodej dziewczyny. Pamiętam jej uważne, życzliwe spojrzenie. Zawsze jednak miałam nieodparte odczucie, i mam je do dzisiaj, że w naszych rozmowach to, co istotne, działo się między słowami czy raczej poza nimi. Jej słowa tak jak wiersze zdawały się odstępować miejsce czemuś ważniejszemu. Może zastaniały? Myślę, że kiedy ma się, tak jak ona miała, dużą świadomość języka (i świata) i kiedy w parze z tym idzie wrażliwość, trudno wypowiadać się za pomocą kropek, zdaniami okrągłymi. W takich wypadkach lepsza jest składnia zapytania. Więc ona była dla mnie, taką ją pamiętam, w znakach zapytania, wielokropkach, półtonach. Wyciszona, milknąca w półsłowa, otwarta na możliwe ciągi dalsze, na zdziwienie. I przez to równoczesne „bycie i nie-bycie” zawsze nieco oddalona, istniejąca obok, niepochwytana – jak w wierszu, który pamiętam jeszcze z tamtego albumu:

więc już nas tropią
już gonią
pogonie
po naszych
jeszcze nie wyziębłych śladach

o, jak szukają
gdzieżeśmy ukryli
tę naszą bliskość
co tak ich uwiera
jak drzazga w palcu
jak odprysk szkła w oku.

Wiec chodzą za mną
tacy zażawieni
w starej żałobie
w kirach wyrudziłych

tak chcą mi zajrzeć w oczy przymrużone
jakby wiedzieli że pod powiekami
portret twój niosę
cały w śmiechu
nagi

* * *

Zdecydowanie lepiej znałam podmiot liryczny jej wierszy. Pisząc o nim, nazwałam niegdyś Tokarską najlepszą z lubuskich poetek i choć brzmiało to (pewnie i teraz zabrzmiało) dosyć pryncypialnie, gotowa jestem dzisiaj powtórzyć tę opinię. I jeszcze dodać, że pisane przez nią wiersze były najlepszą częścią twórczości lubuskiej – być może dlatego, że wcale „lubuskie” nie były? Właściwie mogłyby powstawać wszędzie. Były nie z ducha miejsca, lecz z ducha Poezji, z „suwerennego państwa obłoków”, w którym udaje się zamieszkać nielicznym. Więc za jej sprawą Zielona Góra była „krakowska” (tak jak krakowskie są wiersze Szymborskiej), „warszawska” (tak jak warszawska byłaby Poświatowska, Hillar), najbardziej jednak – nie tylko ze względu na mój sentyment do tego miasta – „wrocławska”.

Wierszom Tokarskiej najbliższe do poezji Koziół – tej z *Pestek deszczu* i tomów takich, jak *W rytmie korzeni*, *Smuga i promień*, *Lista obecności*. Jest to bowiem poezja kobieca w najlepszym wydaniu, utkana z wrażliwości, czułości, przecucia. Tymi wierszami – pozwolę sobie przywołać swe wcześniejsze słowa (*Głos ściszony – poezja Anny Tokarskiej*, „Pro Libris” 2004, nr 3/4) – rządzi dyskrekcja, wstrzemięźliwość uczuć i relacyjność, rozumiana jako otwarcie i wychylenie ku drugiej osobie (bo w dialogu dopełnia się

istnienie podmiotu). Spotkanie „ja”–„ty” wyznacza tu przestrzeń intymną, a zarazem odtwarza wzo-rzec egzystencji. Ważny jest przy tym zapis tego, co ulotne, co przebiega na styku snu i jawy. Bohaterem numer jeden tych utworów jest – z dzisiejszej per-spektywy widać to jeszcze wyraźniej – doznanie bólu, które występuje także pod imieniem smutku, tęsknoty. Inspiracją poetyckiej refleksji Tokarskiej są straty: rozstania, odejścia, rezygnacje i klęski – z nich, zdaje się twierdzić poetka, utkane jest życie. Z nich też – paradoksalnie – rodzi się poezja. Bo ból jest tylko „pozornie za duży”; można go przecież zrównoważyć słowem. Być może także z tego powodu sfera auto-tematyczna, a więc wiersze o wierszach, jest tutaj tak ważna. W tym obszarze mogą być ponawiane akty przekraczania i przezwyciężania cierpienia, tu – poprzez swoistą celebrację – dokonuje się zgoda na rozstanie, na przemijalność i starość. Tu wreszcie jest miejsce na trudną afirmację. Prywatne końce świata, narodziny i śmierci zostają nazwane i oswojone; metonimie czasu – przebrane w poetyckie stroje, tak jak w tym wierszu, w którym poetka napisze: „Moje wiersze posiwały [...] stare są/ dlatego tak garną się

do mnie”. Łagodna melancholia Tokarskiej, która nie-raz zbliża się do granicy sentymentu, nie przekracza jej jednak; podwyższona fraza zatrzymuje się na progu patosu. I nawet najbardziej wyeksplloatowane liryczne rekwiizyty, takie jak kamień, ptak, róża – pojawiają się tu bez koturnowej ostentacji. Ta poezja, dodam na koniec, potrafi przenikać szarość i codzienność, zabarwiać ją doznaniem epifanii, przeczuciem drugiej strony świata – tej, do której nazwania potrzebne jest właśnie poetyckie słowo.

* * *

Na ostatnie spotkanie autorskie, to, które od-było się w zielonogórskiej Bibliotece Norwida, Anna Tokarska przygotowała nowy wiersz – utwór nieukończony, fragment, którego nie potrafiła domknąć jakąś puentą. Ów liryczny okrucuch, ślad zmagania z oporną materią języka, ale też – coraz trudniejszej walki z czasem, starością, cierpieniem, pozostanie dla mnie – dosłownie i w przenośni – ostatnim słowem poezji Tokarskiej. Pozostanie też metaforą spotkania – z prawie mi nieznaną, chociaż poznaną najwcześniej, lubuską Poetką.



Andrzej Buck

Tokarska. Naprawdę wyjechała...

Spotykałem najpierw ją w Redakcji. Przynosiła materiały dotyczące Teatru.

Ja objąłem wtedy etat redaktora naczelnego „Gazety Nowej”. Kiedy jesienią 1990 roku powstał dziennik, o teatrze drukowaliśmy dużo.

Dyrekcję objął wtedy duet Waldemar Matuszewski – Jan Tomaszewicz. O Teatrze było głośno.

Kiedy wyleciałem z Nowej, niespodziewanie Dyrektor Matuszewski zaproponował mnie stanowisko kierownika literackiego. Anna Tokarska była sekretarzem literackim.

Wcześniej nie wiedziałem, że pisała.

W teatrze początkowo przesiadywaliśmy na drugim piętrze. Tam mieści się (do dziś) dział literacki. Ówczesny dyrektor Matuszewski zarażał Teatrem. Oglądaliśmy filmy o Łomnickim (był jego asystentem), nieustanne podróże. Co ciekawe Anna nigdy nie wyjeżdżała. Czekala w Teatrze...

Właściwie byliśmy tam codziennie od rana do 23.

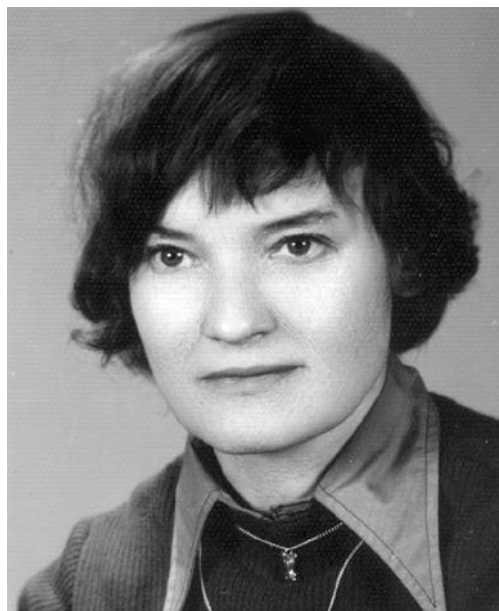
Dyrektor zawsze zwracał się do Ani Pani Profesor. Wydało mi się to bardzo naturalne.

Zresztą w Teatrze była od dawna. Najczęściej wspominała okres dyrektora Krystyny Meissner. Niedługi, a jednak bardzo ważny dla Lubuskiego. Sympatią darzyła też okres dyrekcji Janusza Kozłowskiego.

Towarzyszyła mi przy produkcji przeszło stu premier. Pierwsza ważna to był *Wiśniowy sad*. Reżyserował Matuszewski. Ale w Teatrze pojawiła się Basia Wrzesińska i Andrzej Gordon. Czechowowska Raniewska i Gajew. Dobrą rolę zagrał wtedy Tomaszewicz jako Łopachin.

Kiedy okazało się w 1995 roku, że dyrektor Matuszewski odchodzi, trwały próby do Hamleta. Chcieliśmy z Anią, aby Waldek odszedł z tarczą. A tu pojawiły się problemy z obsadą głównej roli. Najpierw zrezygnował Janusz Młyński, potem student z wrocławskiej PWST. Aż wreszcie dyrektor Jerzy Grzegorzewski z warszawskiego Teatru Studio podesał Grzegorza Emanuela. To była znakomita rola...

Ania była zawsze niebywale życzliwa dla wszystkich. Jedną z wyrazistych postaci Teatru był inspicjent Hieronim Mikołajczak.



Pamiętam wieczór, siedzieliśmy nad kolejnym programem. Ania poszła na trzecie piętro. Tam mieszkał. Kiedy wróciła, powiedziała tylko jedno słowo: Hirek odszedł.

Kiedy dyrektor Matuszewski zrezygnował z Teatru, rano znalazłem na biurku kartkę z cytatem z *Wiśniowego sadu* z roli Firsza „Naprawdę wyjechali... a o mnie zapomnieli”.

Po dyrekcji Matuszewskiego przyszedł czas na duet Piotr Bogusław Jędrzejczak i Andrzej Musiał. Wtedy pracowało się już inaczej. Nerwowo.

Często niezrozumiale repertuarowo.

W maju 1998 niespodziewanie musiałem zmienić drugie na pierwsze piętro. Czas nie był łatwy. Teatr nie miał pieniędzy.

Zrobiliśmy wtedy *Opowieść wigilijną* (zagraliśmy 370 razy), *Wszystko w rodzinie* Cooneya w reżyserii Wojtka Pokory i *Narkomanów* Barbary Rosiek. To nas jako teatr uratowało. Znów była w teatrze publiczność.

I tak przez dwie kadencje. Prawie dziesięć lat. Zelenka, tryptyk Szekspirowski, Mc Donagh i wielu innych...

Szczególną frajdę sprawiało nam robienie programów teatralnych. Robiliśmy też „Almanachy teatralne”...

Osobną sprawą były festiwale teatralne. Najpierw wskrzesiliśmy Winobraniowe Spotkania Teatralne. Potem nadaliśmy nowe oblicze artystyczne Powinobraniowym Spotkaniom Teatralnym. W 1998 ruszył i trwał przez 9 edycji Festiwal Współczesnego Dramatu REWIZJE.PL. Potem jeszcze w 2005 w czasie wakacji letnich wymyśliliśmy OF Teatr Festiwal.

Naturalną praktyką było zapraszanie do ról aktorów gościnnych. Jerzy Bończak, Zdzisław Wardejn, Jacek Różański. Ewa Dałkowska i... oczywiście Anna Seniuk.

Z niekłamaną przyjemnością obserwowałem jej przyjaźń z aktorką Anną Seniuk. Panie wyjątkowo przypadły sobie do gustu. Ania pracowała u nas przy realizacji *Moralności Pani Dulskiej* (zagraliśmy 100 razy) i *Ożenku* (zagraliśmy 60 razy).

Kiedy poznałem poetyckie pisanie Ani, zorientowałem się, że ta skromna osoba pisze magiczną poezję. Wręcz zmusiłem ją do zebrania niepubliko-

wanych wierszy, do tego dołączyłem już publikowane i tak powstał tomik *W białym mieszka anioł* w moim wydawnictwie Pracownia wydawnicza AND. Nagrodzony został Lubuskim Wawrzynem Literackim.

W 2007 roku kończyłem pracę w LT. Jeszcze 17 października odbierałem z zespołem nagrodę główną Ogólnopolskiego Festiwalu Komедii Thalia w Tarnowie. 18 pojawiłem się w Teatrze. To był ostatni dzień...

Powiedziała: ODCHODZĘ. Namawiałem Anię, aby została. Powiedziała: Teraz to już nie będzie mój świat. Odeszła na emeryturę.

Nadal mieszkała na poddaszu na Placu S.

Nie wiem o sobie dokładnie
nie znam własnego imienia
jestem z dnia na dzień
i żyję z miejsca na miejsce

ostatnio spotkałam
mały pokój na poddaszu

pomalowałam go na biało
i to wprawiło mnie w zdumienie
nie mogę z niego wyjść
jestem tam coraz częściej
doglądam pilnie sękatego progu
który przepowiada
że któregoś dnia
zastanę siebie w domu

w białym mieszka anioł/anna tokarska

Wspólnie z aktorem Andrzejem Nowakiem spotykaliśmy się w herbaciarni pod jakże znaną nazwą *W poszukiwaniu straconego czasu*. Ale widać było, że gaśnie.

Teatr o niej zapomniał.

A to był jej Świat...

Napisałem o jej śmierci do Ani Seniuk. Odpisała: „Dobrze, że była...”.

Będziemy o niej pamiętać. Nazwaliśmy jej imieniem Festiwal Literacki PROZA POETÓW.

Festiwal Literacki PROZA POETÓW im. Anny Tokarskiej.

Nieparzystość. Wspomnienie o Annie Tokarskiej

Są takie spotkania, na podstawie których budujemy swój obraz o kimś. Często są to właśnie te pozostawiające owo słynne pierwsze wrażenie, od którego już nie da się uciec. Pozostaje bowiem punktem odniesienia dla następnych spotkań i późniejszych wrażeń, które – jak to się zdarza – trzeba korygować. W przypadku Ani Tokarskiej moje pierwsze wrażenie mnie nie zawiodło. Przeciwnie – każde następne spotkanie wzmacniało we mnie obraz, który się we mnie zrodził.

Jak to bywa, szczegółowe okoliczności tego spotkania zatęchły w niepamięci. Dość powiedzieć, że miało ono miejsce przed ponad 25 laty, gdy byłem początkującym studentem Wyższego Seminarium Duchownego w Gościńsku – Paradyżu. Ania – byliśmy potem na „ty” – przyjechała z jakimiś aktorami, którzy prezentowali w naszej seminaryjnej auli (dziś zamienionej na salę sportową) coś na kształt montażu słowno-muzycznego – jak to się wówczas mówiło. Nie wiem, o czym ten montaż był. Być może – jak to wówczas było – o tematyce patriotycznej, były to bowiem lata 80. ubiegłego wieku, czas w Polsce gorący, przedniepodległościowy.

Z aktorami przyjechała właśnie ona. Pamiętam, że siadła na schodach prowadzących na scenę, wplotła palce w swoją charakterystyczną grzywkę i powiedziała: „W prawdziwym teatrze rozdaje się programy...”. Tym razem programów nie było. Ania wygłosiła słowo wstępne. Ta wypowiedziana wtedy fraza na długo pozostała hasłem wywoławczym naszego seminaryjnego teatru, który dumnie zwał

się Paradyską Sceną Religijną „Logos”. Ania stała się szybko naszym łącznikiem z „prawdziwym” światem teatralnym.

Mieszkała w Zielonej Górze, należała do parafii pw. Matki Bożej Częstochowskiej, która wówczas rozpoczynała swój niezależny żywot po wyłączeniu się od parafii pw. św. Jadwigi. Mało kto dzisiaj pamięta, że prowadziła aktywne „życie kościelne”. Pomagała w przykościelnej księgarni, brała czynny udział w grupie Odnowy w Duchu Świętym. Jej ówczesny spowiednik nie potwierdzi, jak głębokie prowadziła życie duchowe, bo nie może, ale potwierdza to wystarczająco jej poezja, słowo bowiem nie rodzi się na ugorze. To ona też zapewne pośredniczyła między nami a parafią w pomysł wystawienia w kościele pw. Matki Bożej *Ślepców* M. Maeterlincka. Już nie pamiętam, co to była za okazja, ale niewykluczone, że były to Dni Kultury Chrześcijańskiej.

Anię Tokarską odnalazłem potem po latach, gdy zamieszkałem w Zielonej Górze. Kiedy i w jakich okolicznościach – nie pamiętam. Być może na którejś premierze w Teatrze Lubuskim. Wszystkie nasze spotkania tam się właśnie odbywały – w teatrze. Najpierw u niej, wysoko na poddaszu. W świecie przynależnym przede wszystkim do niej, choć – jak pamiętam – było, że pokój dzieliła jeszcze z kimś innym. Jako że w pobliżu było archiwum, żartowała, że po śmierci powróci do teatru jako duch archiwisty. Może dobrze byłoby sprawdzić, czy coś po nocach stuka.

„Załatwiała” mi wejściówki na spektakle, o czym pewno ówczesny dyrektor, Andrzej Buck, wiedział

i oko przymykał. Czekala na mnie w przejściu między wejściem a foyer, nie do końca ufając kasie. I przeprowadzała dalej. Zawsze nosila przy sobie mala torebke czy cos na ksztalt wiekszej portmonetki, w ktorej miala cukierki, rozne cukierki. Mowila wowczas: „Niech sie Wielebny poczestuje”. I Wielebny sie czestowal. Ibral na zaś.

Mój obraz Ani z tego czasu sklada sie – niczym kolaż – z takich wlasnie rozno rodzaju odprysków wspomnień. Zdarzalo sie, ze dzwonilem do niej wieczorem. Nie wiem, skąd sie nam to wzietlo, ale zawsze zaczynalem tak samo: „Halo, halo, tu ptasie radio...”. W trakcie rozmowy bawila sie slowami, fraza, stylem, a ja probowalem nieudolnie dostosowac sie do konwencji. Czesto wspominala – pamietam – swoja swinke morską. Szczegol, wydawac by sie moglo, banalny, a to wlasnie pamietam, choc zapewne rozmawialismy o wielu kwestiach. Widocznie byla do niej przywiazana.

Wtedy poznalem tez Anie Tokarska poetke. To musialo byc gdzieś okolo roku 2000, moze rok wczesniej. Bylem wtedy duszpasterzem akademickim przy parafii Najswietszego Zbawiciela. Wowczas to duszpasterstwo nazwalismy „Piwnica”, gdyz spotykalo sie w dolnym kościele. Tam wlasnie zaprosilem Anie na spotkanie ze studentami. Czytala wiersze. Mowila o swej poetyckiej wzraliwości. Nie chciala – jak pewno wszyscy poeci – odpowiedziec na pytanie, skąd sie biorą wiersze. Z tamtego piwnicznego spotkania mam pamiatke – tomik *Moje wiersze posiwiaty* z dedykacja: „Księdzu Andrzejowi z serdecznym DZIĘKUJĘ za dzisiejszy wieczór – Anna Tokarska”.

Wróciłem do tego tomiku po latach, gdy dowiedzialem sie o jej smierci. Uświadomilem sobie,

ze od chwili odejścia na emeryture widzielimy sie chyba tylko raz. Zniknela gdzieś za horyzontem mego zycia. I pomyslam o tym z poczuciem winy. Ze za bardzo nam wystarcza swiadomość, ze ktos jest. Ze sie na tej swiadomości zatrzymujemy, zapominając o konieczności jej potwierdzania przez rozmowe, spotkanie, poszukanie siebie nawzajem. I wtedy pocieszyla mnie sama Ania swoim wierszem, w którym napisala, ze „ktoregos dnia/ zastane siebie w domu”. Kiedy powiedziano mi, jakie byly ostatnie lata, miesiace i dni Ani, pomyslam, ze ten wiersz sprzed laty byl w jakimś sensie prorocki. Pisala przeciez o sobie, o tym, co ma nadejsc w jej zyciu. Tak, odchodzila od nas, ale jednoczesnie coraz bardziej byla u siebie, „zastawala siebie w domu”. Jako księdzu wolno mi miec nadzieje, ze zastala siebie w tym domu, o którym powiedziano, ze jest w nim „mieszkań wiele”.

Od Ani „kupilam” jedno slowo, które tak bardzo dobrze określa i jej poezje, i ją sama. To slowo „nieparzystość”. Kupilam je, bo – pozwolę sobie na dość nieskromną autodeklarację – pomaga mi w interpretacji samego siebie. W jednym z wierszy Ania pisala: „oglądano/ mnie uważnie/ wreszcie ktos powiedzial/ jesteś nieparzysty”. Ta „nieparzystość” ma sobie wszystko: inność, osobność, osobliwość, indywidualność, wolność, niezaleźność, ale także samotność i odrębność. Ania byla „nieparzysty”, ale to nie byla nieparzystość braku. Nie, nie o takiej nieparzystości mysle, która potrzebuje pary do doskonałości. Mysle o takiej nieparzystości, która ma odwage bycia wbrew modom, stylom, konwenansom. I wlasnie dlatego tesknie za Tobą, Aniu. Bo tak malo dziś nieparzystości.

Kalka szkicu. O poezji Anny Tokarskiej

Gdyby zestawić poezję Anny Tokarskiej z wojującymi wierszami Włodzimierza Majakowskiego (*Rozwijajcie się w marszu! W gadaniach robimy pauzę*), spiętrzoną metaforę Tadeusza Peipera czy aksjomatyczną postawę Zbigniewa Herberta, mogłoby się okazać, że pozostanie ona całkowicie niewidzialna. Przy mocnych, precyzyjnych uderzeniach słów poetów, krokach zdecydowanych i ukierunkowanych, świat autorki *Monologów o niepamięci* wypada bowiem jako ich przeciwieństwo, lecz przeciwieństwo rozumiane nie jako świadoma opozycyjność wobec czegośkolwiek, ale jako kruchość i ulotność po prostu („jestem z dnia na dzień i żyję z miejsca na miejsce”).

Renifery

Pod koniec epoki magdaleńskiej
renifery odeszły na północ.
Człowiek został sam, opuszczony
przez bogów i zwierzęta.

Zbigniew Herbert

Zawsze najsilniejszy
wiedzie całe stado
więc pewnie był chromy
który szedł ostatni
spośród reniferów
na północ dążących
a gdy tak odchodził
to czy się oglądał
i jaki obraz

w swoich oczach utrwalił
może człowieka
co patrzył ich śladem
aż łzy
zmęczone zakryły źrenice
potem samotność
w swej jaskini ściany
wpisał wizerunkami
zwierząt odchodzących
w nocę bezsenne
jeszcze teraz widzę
odchodzące na północ
reniferów stada

Już w pierwszym utworze debiutanckiego tomiku widać, że autorkę bardziej interesuje to, co zobaczył, utrwalił renifer idący na końcu wędrującego stada, nie zaś ten wiodący, najsilniejszy, przodownik pracy, koryfeusz poezji czy autor manifestu. Podobnie dzieje się w innych wierszach zielonogórskiej poetki, której świat wypełniają „skrzydła wątle”, „onieśmiałe sprzęty”. Owa ledwie widoczna, lekka kreska, przy pomocy której Tokarska buduje poetycką rzeczywistość, z czasem staje się jeszcze delikatniejsza, jeszcze mniej zdecydowana. Widoczne jest to przy porównaniu kolejnych tytułów wierszy w następujących po sobie tomikach. W *Portrecie z ptakiem* spośród 17 utworów tylko dwa tytuły rozpoczynają się od ***, w *Monologach niepamięci* jest ich już 7 z 15, w *Zapisie wędrownym* 23 z 63, w *Moje wiersze* posiały 19 z 20, w *białym mieszka anioł* 21 z 21.

W zapisie strukturalnym wszystkich tomików świat Tokarskiej staje się coraz bardziej impresyjny, przepełniony owymi gwiazdkami jak śnieg zasypujący ślady reniferów, które odeszły na północ. Jak kolejne kalki szkicu, coraz bardziej niknące.

Podmiot liryczny a poezja

Interesująca u Tokarskiej jest wiara w magiczną moc słowa, ale wyłącznie słowa poetyckiego. Tam, gdzie podmiot znajduje się w sytuacji lirycznej sam na sam, towarzyszy mu rozedrganie, pęknięcia, lęk:

gdy ptakom chleb sypię –
skąd mam wiedzieć Mamo
a może zamieszkałaś właśnie
pośród tych głodnyc
i zziębniętych wróbli?

Jeśli jednak pojawia się poezja, sytuacja liryczna podlega oswojeniu, staje się bezpieczna.



Te ptaki są z papieru
może to i lepiej

nie obudzą nostalgii odlotem jesiennym
nie zamarną w zimie

w strofach mają gniazda wygodne i ciepłe

Słowo w poetyckim świecie Tokarskiej ma moc uzdrawiającą, krzepiącą, czasami wręcz sakralną, a jednostka „skazana na poezję” tylko w niej czuje się pewnie i bezpiecznie:

Deus est

Z wiersza wyszedłeś
w wiersz powracasz

wreszcie spokojny
w czterech ścianach strofy
wreszcie
bezpieczny
w świetle metafory

Poeta nie jest tu nosicielem żadnej prawdy objawionej, nie walczy, nie domaga się, nie manifestuje swoich poglądów ideologicznych, lecz w pełnej refleksji ciszy kreuje „swoją intymną, małą świat”. I właśnie w tym świecie wiersz uzyskuje życie odrębne, autonomiczne. Czasem dzieje się to poprzez animizację

wtedy zaczęłam wiersz
który tak bardzo chciał być napisany
że domagał się tego gwałtownie
każdym zmilczanym obrazem

czasem personalizację

Nie dochowałam im wierności
[...]
nie dałam dojść do słowa

te wiersze

nie mają już czym oddychać

lub niemalże deifikację

Może to właśnie ta chwila
której tak dotkliwie
brakuje
do wiersza

Czymże jest więc wiersz dla Anny Tokarskiej, jeśli to właśnie jemu należy dochować szczególnej wierności, jeśli do niego „brakuje”? O jakim rodzaju metapoezji może być mowa, skoro sam język poetycki nie wystarcza, jeśli przedstawianie rzeczywistości – przez poezję przecież przekształconej – to za mało? Dlaczego w wierszu musi być jeszcze inny poziom, do którego należy dążyć?

Słowo używane przez Tokarską „normalnie” – bez namaszczenia – „to jest wiersz” kontrastuje ze słowem poetyckim „namaszczonym”.

tylko uchylić furtkę wiersza
zaraz za tym słowem
zaczyna się ogród
i powietrze świetlne
nosi ślad anioła
odległy
jak dźwięk dzwonu
jak miasteczko w zmięczeniu

zaraz za tym słowem

Wydaje się, że „zaraz za tym słowem” kryje się inny, lepszy świat – wystarczy tylko przekroczyć niewidzialną granicę wyobraźni, wrażliwości, zrobić tylko jeden mały krok i znaleźć się w zaczarowanym świecie poezji. Dla Tokarskiej to obszar sacrum. Natomiast wszystko, co nosi znamiona codzienności, zwyczajności odczuwane jest przez liryczne „ja” jako trudne, przytłaczające, czasem ponad siły: „nie wszystko zdoła/udźwignąć ciężar własnego imienia”. Dlatego bohaterka wiersza, będąca *porte parole* poetki, błagalnie prosi

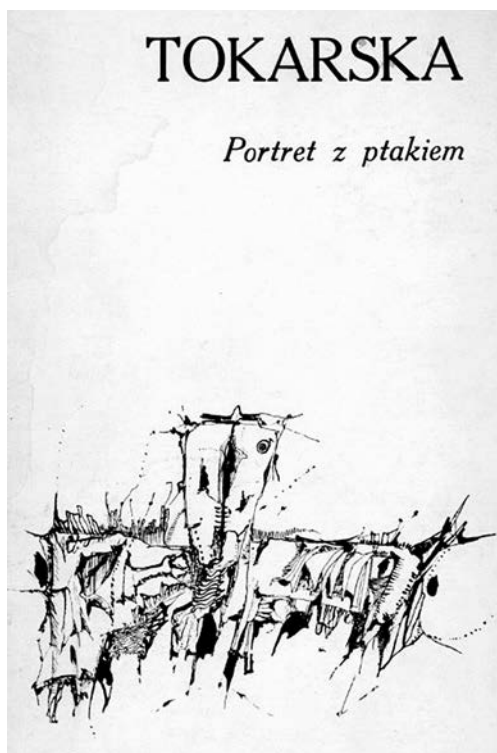
O niczym nie słyszałam
nie umiem opowiadać
o wydarzeniach wesołych i smutnych
Zwolnijcie mnie z tego

Jestem nieprzygotowana
Dzisiaj naprawdę nie mogę
zdawać z codzienności

Wiersz jako taki stanowi zatem próbę nie tyle opisywania, co raczej przekształcenia rzeczywistości, ale także, a może przede wszystkim - próbę jej okiełznania, oswojenia. Jednak i tutaj piętrzą się trudności, gdyż – paradoksalnie – to, co zostaje już nazwane, staje się tym, co krępuje, zubaża.

Nazwana więc zatrzymana w biegu
nazwana więc na własność wzięta
patrzę w zdumieniu:
jak mnie nagle mało
tu jestem głosem odjętą z imienia
mniej jeszcze – literą

i woła po imieniu
może nieżyczliwie

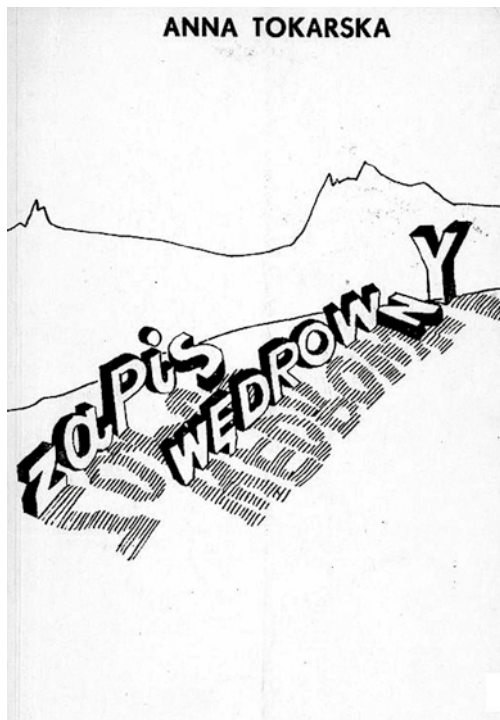


może drwiąco nawet
ale po imieniu
więc trzeba – mimo zmęczenia
dotrzymać kroku

Słowa, nazwy, określenia funkcjonują w powszechnym obiegu codziennych użytkowników języka. W poezji natomiast dopiero naddanie im pewnej nadbudowy wprowadza je w inny wymiar, wymiar, który chciałoby się nazwać – by pozostać w terminologii sakralnej – poetyckiego namaszczenia.

Analizując stosunek słowa „nienamaszczonego” (a zatem zwykłego, konkretnego) do desygnatu, można wyciągnąć wniosek, że słowo objaśnia, nazywa, wskazuje, opisuje, ale zarazem kaleczy, ponieważ słowo użyte powszechnie, często niszczy sam desygnat.

Rzeczy wychodzą poza swe imiona
i w słowie kamień
już nie ma kamienia



[...]
a w słowie kamień
tylko metal dzwoni

Według kodeksu poetyckiego Tokarskiej słowo używane powszechnie jest niedoskonałe, popękane, dlatego nie można mu ufać. Czysta poezja, prawda (czy raczej Prawda), absolut – lub intuicyjne konotacje powyższych – ujawniają się w tym, co nienazwane. „I święcić się będzie wieloznaczna podróż/ w imię nienazwanego jeszcze/ wciąż rozpoczyna”. Dopiero w podróży do świata poetyckiego zaanektowana zostaje powszechna rzeczywistość, która uzyskuje nowy, chociaż wyblakły ślad znaczony zmurszeniem, kalką, cieniem: „Wierszu mój z drewna z łez bezsen-nych/ w szerniałą wystrugany piętę”.

Zaskakującym jest, jak niewiele u autorki *Zapisu wędrownego* jest tego, co „na zewnątrz”. Do jej poetyckiego świata nie przenika nic z wydarzeń bieżących, ważnych, mniej ważnych, czy zupełnie banalnych. Podmiot liryczny obserwuje rzeczywistość, realność niejako zza szyby, z wnętrza swojego małego pokoju wyobraźni, gdzie jest miejsce na „pejzaż szary”, drewniane sprzęty, „pióro uronione”.

Ja

Większość tekstów Anny Tokarskiej realizuje się w sferze wewnętrznego monologu, retrospekcji. Przeszłość najczęściej wygrywa tutaj z teraźniejszością, jeśli wziąć pod uwagę ładunek dostarczanych pozytywów, bowiem to, co dzieje się tu i teraz, jest coraz częściej chrome, gorzkie, szare. Ta podróż w czas miniony zwiększa swoją częstotliwość w kolejnych tomikach. Bywają wiersze, gdzie liryczne „ja” przygląda się sobie, tak jak w wierszu *Przed lustrem* lub *Szkiełko do autoportretu*. Co ciekawe, znowu można zaobserwować tu stosunek nieufności wobec aktu nazwania, tym razem na gruncie estetycznym.

Spójrz nieroztropna
minęło co było
urody piękne
półki nienazwane

Perspektywa lustra zmusza do nazywania, do konkretnej refleksji i konkretyzacji tego, co powierzchowne i tego, co w głębi.

Zmienna Anno
odmieniana nieustannie
przez czas i przypadki nieprzewidywalne
i inne

Jednak i to zastosowanie rekwizytu lustra nie przynosi twardych diagnoz, a staje się raczej kolejnym pretekstem do powrotu w przeszłość.

Ja – ty

W wierszach o charakterze miłosnym pojawia się mężczyzna, z którym bohaterkę łączą wprawdzie więzi emocjonalne, ale wyczuwa się istniejący pomiędzy nimi dysonans, brak oczekiwanego i upragnionego pełnego porozumienia.

w pana portrecie
miejsz pustych niemało
i niejedna się szczelina
jak błazen rozdziawia

lub

Pan mówi – życie – a myśli
naprawdę
ciągłe przymiarki
kostiumów i masek.

Ten brak prawdziwej więzi owocuje nasilającym się poczuciem samotności, ironią, sarkazmem, odmową uczuć i w efekcie – rozstaniem.

i oswojone
kare moje konie
już nie zbiegają
tabunem na oślep
[...]
tak oswoiłeś kare konie moje

Miłość
umarła nam

umarła
nawet nie wiemy
której nocy

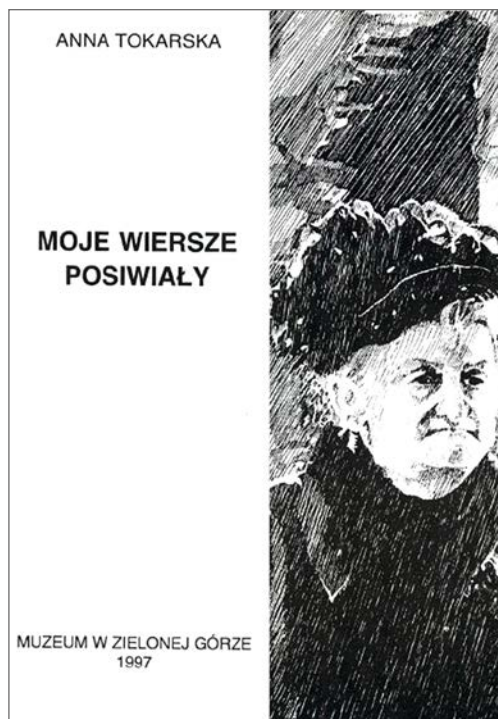
Ja – oni/wy

Relacje bohaterki lirycznej ze światem zewnętrznym ukazane są w sposób dychotomiczny. Liryczne „ja” albo zwraca się z prośbą o osławiającą opiekę

Przyjdźcie do mnie
prosiłam
moje siostry ciche
wczoraj poeci o waszych łzach mówili
że są podobne do perł

albo też – w największym uproszczeniu – o święty spokój:

Stawiają mnie przed lustrem
sami stoją obok



[...]

rośnię we mnie
krzew niewdzięczności czarny i kolczasty

Czego można się spodziewać, to właśnie wiersze „wy/oni” są najmniej subtelne, posiadają największą ilość – zdawałoby się – życiowych doświadczeń samej poetki.

* * *

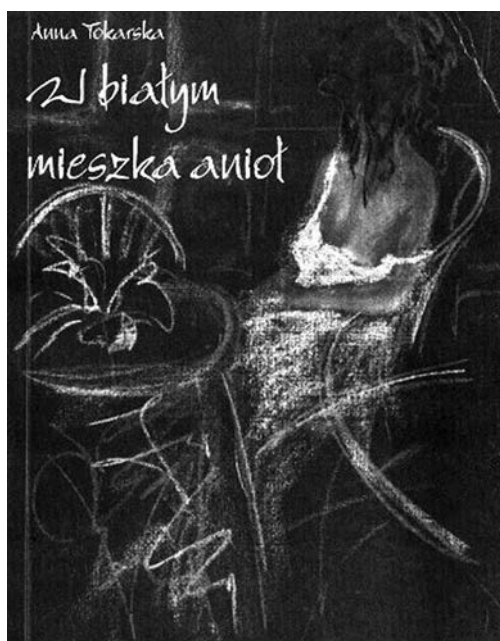
Jeśli spróbować podsumować poezję Anny Tokarskiej w choćby najogólniejszy sposób, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na jej drganie, cienistość i płynność – przechodzenie snu w jawę, nazwanego w nienazwane i vice versa. Umiejętność poruszania się po krajobrazach, obserwacja zwierząt, kulawych sprzętów, relacji między podmiotem lirycznym a otoczeniem w atmosferze ciągłego zapadania w przeszłość, w niebyt, następować powinna ze szczególną czujnością, gdyż każdy szelest w poezji zielonogórskiej poetki u innych pisarzy mógłby przybrać formę krzyku. Liryczne „ja” Tokarskiej nie krzyczy. Nawet wtedy, gdy emocje podskórnie pulsują, słowa uzyskują ledwie bardziej wyraziste, mocniejsze przyciśnięcie otówka na kalce. Czytając jej wiersze chyba jeszcze bardziej, niż w wypadku lektury innych, należy przypomnieć sobie słowa irlandzkiego

poety (Yeats William Butler, *Poeta pragnie szaty niebios*, tłum. Leszek Engelking):

Gdybym miał niebios wyszywaną szatę
Z nici złotego i srebrnego światła,
Ciemną i bladą, i błękitną szatę
Ze światła, mroku, półmroku, półświatła,
Rozpostarłbym ci tę szatę pod stopy,
Lecz biedny jestem: me skarby w marzeniach,
Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy;
Stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach.

Warto zauważyć, że wydany w 2001 roku tomik Tokarskiej *W białym mieszka anioł* posiada zamysł szerszy, aniżeli wprowadzenie na rynek kolejnej pozycji książkowej. Wybór wierszy dokonany przez Andrzeja Bucka prezentuje bowiem także część utworów z poprzednich zbiorów i nadaje całej książeczce nowy sens i dodatkową jakość. Zawarte w niej utwory wprowadzają czytelnika w światy ze wszystkich wcześniejszych tomików poetki, a otwierający tomik wiersz *** [*nie wiem o sobie dokładnie*] w sposób reprezentatywny ukazuje kształt poezji Anny Tokarskiej.

Pozostaje mieć nadzieję, że wiersze zielonogórskiej poetki doczekają się szerszych i głębszych analiz, a także, że powstanie praca badawcza poświęcona dorobkowi tej autorki.



Jutrznia ptasia

Najwięcej mogę powiedzieć o głosie Pani Ani. Jednego z jesiennych wieczorów 2010 roku poszedłem do niej z Mirką. Pani Ania nie czuła się swobodnie przy mikrofonie. Wiedziałem, że muszę pilnować ciszy, by nic nie zmąciło żywych słów poetki. To był bowiem głos prowadzony na bardzo niskich rejestrach. W tych dolinach dźwiękowych znajdowały się przepaście. Gdyby nie nagrany tego wieczoru jej głos, nigdy nie wiedziałbym o istnieniu wąwozów, rozwidleń, archipelagów i korytarzy w poezji. Ja, człowiek z Dźwięku. Tak właśnie powinien zaczynać się wstęp do „geografii poetyckiej głosu”.

Gdybyśmy nie nagrali głosu Pani Ani, nie dowiedziałbym się nigdy, jak można zbudować w domu drogę nad otwarte morze, poczuć muśnięcie piasku, płatką róży. Tej dziewczęcej świeżości i precyzji półtonów nikt mi nie wymaże z nagrania. Głos poety nagrany na taśmie przypomina mi złapanego w siatkę motyla. Wiersz zapisany to tylko potencja, parabola motylowego lotu. Osobisty sekretarz Pani Ani, kotka o imieniu Balbina starała nam się skutecznie utrudnić nagranie. Kocie westchnienia słychać w zarejestrowanym materiale tak wyraźnie, że nie można się ich było pozbyć na etapie montażu. Są jak „piknięcia” zabezpieczające materiał dźwiękowy

przed kopiowaniem. Słuchając kolejny raz kocich skamleń, w tle głosu poetki: „chłodna obecność kłęski/ już mnie nawet zdoła/ taka na wynos na podziw na sprzedaż”, wiem już: Balbina miała w tym swój gombrowiczowski plan.

Jeden z reżyserów zapytany niegdyś: czy zrobi kolejny film, odpowiedział: „Nie. Mam nadzieję, że tak sprytnie zastawiłem na siebie pułapkę, w którą wpadłem, że się z niej nie wydostanę”. Myślę, że Pani Ania zamknęła się w mieszkaniu z napisem: „nie mogę z niego wyjść” i zrobiła to w pełni świadoma. Teraz jest już tam coraz częściej.

Głos Anny Tokarskiej nie odszedł. Balbiny tym bardziej. Myślę, że właściwy teatr głosów dopiero przed nimi. Ogłosi go zapewne „jutrznia ptasia” z jednego zasłyszanego wiersza.



Wanda z blokowiska "Orestida M...

Taka trochę Matka Boska

Annie Tokarskiej

iewieca, przez autora okresła
ko "popławna tragedia
wydarzeniach w rodzinie
-andardowe mieszkamie
-M-3 w blokach. Atrakcy
obięta po 40-ce i dwóch
o rozpaczliwej sytuacji
feraz już tylko kamoru
esna i samur - okres
Opiece rodziny wyemigro
nie witują nawet
ostawienia wydać ma
za Niemca z ma
ogłoszenia. Okazuje się
wcale nie Niemiec z
ale rodak, mieszkający
obciążony niezbyt chł
iż uprowadzony przez synów
wika i wracę do narzeczonej w po
ucha...

Nie muszę zamykać oczu,
Żeby zobaczyć.

Już widzę
Na wielkich drewnianych
Schodach wachlarzowych.
Na początku albo u schyłku dnia,
Schodzącą albo wschodzącą.

Na końcu drogi jest wieża,
W której przyjmowałaś gości.
Nieproszonych i oczekiwanych.
Dla wszystkich
Ta sama herbata,
Ten sam uśmiech
I osobny kawał czasu.
I jeszcze w każdej kieszeni cukierek
Bo do Wedla zawsze było po drodze.

Pamiętam Ciebie wczesną;
Z wielkim psem,
Siostrzyczką zakonną,
Albo małym kotem.
Wszyscy ciągnęli za smycz
Albo za słowa,
Których nie potrafiłaś im odklepać.
Niektórzy poklepywali Ciebie
Bo się nie lękali.
Nie kopałaś
Bo prawie zawsze chodziłaś w sandałkach
Po miasteczku,
Które nie przypomina Rzymu.

Od początku byłaś ulepiona z innej waty,
Przezroczysta jak rozwiłtka,
Przez którą można zobaczyć
Skrawek nieznanego.
Byłaś tak wiotka,
Że ledwie muskałaś
Świat,
Ludzi,
Zwierzęta,
Syna.

Dzisiaj już nie zasłaniasz widoku.

Ktoś znany
Powiedział po pijaku,
Że trzeba postawić pomnik.
Zakuc Ciebie w kilka kamiennych liter
Dla świętego spokoju sumienia.
Tylko gdzie ułożyć kamienie?

Taka wiotka
A wspierałaś innych,
Którzy tracili pamięć.
Rozłaziła im się coraz bardziej,
Aż zostały same rozstępy.

Chcę pamiętać tę słodycz.
Rozpłynęłaś się
Jak wyspany do końca cukierek.

9 listopada 2013 r., 6 rano

Anna Tokarska

Kocie ucieczki

Opowieść o Tokarskiej wypada zacząć od kota. To było piękne i nieufne czarno-biało-rude zwierzę płci żeńskiej. Na imię miała dosyć śmiesznie: Balbina. Piszę o niej w czasie przeszłym, bo to kocie życie do tego stopnia intensywnie przenikało codzienność pani Ani, że po śmierci poetki całkiem możliwe, że i kot przepadł na którymś ze strychów placu Słowiańskiego. Nie umiem myśleć o Tokarskiej bez kota, ale kot bez niej wydaje się po trzykroć absurdalny.

Przyznać się muszę, że wyjątkowo nie lubiłam tej okazałej kotki. Jakiś rok temu uciekła przez uchylone drzwi. Wtedy pierwszy raz zrozumiałam, że muszę ją odnaleźć, bo w przeciwnym wypadku ucieknie

i Tokarska. Chodziłam wokół kamienicy i po parku, nawołując Balbinę. Nic z tego. Zostałam uchylone drzwi i czekałam. Po jakiejś godzinie kot zamiauczał przy drzwiach Tokarskiej. Odetchnęłam. Innym razem kot uciekł na strych i moim obowiązkiem było sprowadzić go do mieszkania właścicielki. Oczywiście bezskutecznie. Kiedy tylko zostałam sam na sam z Balbiną, czułam się nieswojo. Kot prychał na mnie za każdym razem, kiedy się do niego zbliżałam. Nie wiem, co teraz się z nim dzieje. Może obraża się na uciążliwą nieobecność właścicielki.

Był pewnie jakiś jesienny wieczór, kiedy wybrałam się (z Januszem Łastowieckim) na spotkanie z panią Anią. Zapraszała nas od czasu do czasu na



urocze pogawędki. Siadaliśmy w kuchni na błękitnych, starych krzesłach. W tle słychać było muzykę klasyczną, ale mniej znaną, nie rozpoznałam nigdy autora (całkiem prawdopodobne, że nie było żadnej muzyki, że to tylko igrały ze sobą niezapisane wiersze). Nie lubiła mówić o sobie, za to chętnie koncentrowała się na szczegółach. Kiedyś nagrałam z Januszem rozmowę, podczas której opowiadała nam m.in. o tym, jak zamieszkała z kotem:

– Ona się mną musi zajmować. Jest dużo młodsza. Ma chyba około pięć lat. Nie wiem, ile miała lat, kiedy ją przygarnęłam. Nie przyniosła żadnych papierów (*śmiech*). A to byłoby ładne z jej strony. Została zdjęta z drzewa. Sąsiad dał jej mleko na korytarzu i na tym się skończyło. Któregoś dnia przyszedłam do domu po mszy wieczornej, otworzyłam drzwi kamienicy, a kot ruszył natychmiast po schodach na górę i stanął przy moich drzwiach. Zaczęłam przemawiać do niej. Po chwili patrzę... Nie ma kota, nie ma mieszkania, nie wiem, czego jeszcze nie ma (*śmiech*). Wchodzę do mieszkania, a ona leży na moim łóżku. I tak została.

Mam wrażenie, że Balbina mogła mieć ze sto lat w chwili, gdy ściągnięto ją z drzewa. Czekala na dobry moment, na jakąś ponadprzeciętną wrażli-

wość. Anna Tokarska była moją sąsiadką przez sześć lat (przyszedłam do tej kamienicy niemal równolegle z kotem). Lubiłam mijać ją na korytarzu, wymienialiśmy wtedy kilka subtelnych zdań na temat pogody, konstrukcji schodów lub nielogiczności klucza. Nic specjalnego. Poza tym, że każde z tych przypadkowych spotkań zmieniało rzeczywistość w poezję... lub cukierki (jednego cały czas archiwizuję).

Mam wrażenie, że pani Ania uciekła w koci sposób, nikt nie zauważył, kiedy i gdzie. Wystarczy pootwierać wszystkie drzwi i czekać, aż wróci. Napisałam kiedyś krótki wiersz. Zadeedykowałam Tokarskiej, ale nigdy jej nie pokazałam. Myślę, że to dobry czas.

lęk

Annie Tokarskiej

na ulicy ciemno
spotkałam poetkę
kupowała róże w środku dnia
nie zapytałam co słychać
bo kot przyglądał się nazbyt lękliwie
powrót do siebie
miał coś z umierania



Anna

W Lubuskim Teatrze zmieniali się aktorzy, dyrektorzy, kierownicy literacy, pion administracyjny i techniczny teatru, natomiast stale pozostawała Anna Tokarska. Była to cicha, skromna pracownica tego artystycznego środowiska, wprowadzająca swoim łagodnym charakterem, atmosferę spokoju i bezpieczeństwa. Ktoś z jakiegoś powodu zdenerwowany, wchodząc do jej biura zatrzymywał się na chwilę po to, by nasiąknąć atmosferą, którą wokół siebie emanowała. Po uściśnięciu podanej ciepłej dłoni i po zajęciu miejsca na krześle, zdenerwowanie ustępowało. Pracowała dokładnie, pilnie tak, że żadnemu z dyrektorów nie przyszło do głowy, by ją zwalniać. Nikt nie mógł wyobrazić teatru bez Anny Tokarskiej. Była niezbędna jak powietrze.

Odejście jej na emeryturę odbyło się bezgłośnie, niepostrzeżenie. Dopiero, gdy odeszła na zawsze, wszyscy zauważyli, że utracili wspaniałego człowieka, lubianą i kochaną koleżankę, przyjaciółkę oraz niepowtarzalną pisarkę i poetkę. Nietuzinkowa twórczość poetki jest lustrzanym odbiciem Jej kryształowego charakteru. Wypracowała swój niepowtarzalny styl pisarski pozbawiony wszelkich wpływów mód i trendów, rozumiały dla każdego.

Wiersze poświęca: tęsknocie, przeznaczeniu, skazańcom, ginącym plemionom, zapomnieniu, akceptacji śmierci, umarłym, rozstaniu, poprawie, litości, ucieczce, porzuceniu, nieudanym związkom, zawstydzeniu, współczuciu, krzywdzie, smutkowi, powrotom.

W zbiorze *Monologi pamięci* jest przepiękny wiersz *Prośba o wierność*, który napisała poetka jak by dla siebie na tę smutną chwilę zadumy o Niej.

bo jeśli śladu mego
dotknie inna stopa
w pamięci śniegu
już istnieć przestanę
i ślad będzie niczyj
gdy nie zostanie
tylko po mnie znakiem
nawet
jeśli pomieści trop sarny
ze wzgórz lesistych
splątany z drzew cieniem

jak gdyby chciała
las zabrać ze sobą

Jesień

Wiatr

Nastała jesień. Jesień nieunikniona. Uroczystość odchodzenia, która nie sprawia zawodu. Jak rok temu te same krótkie dni, mniej światła, liście, mgła, chłodne powietrze. W ludziach prawie niezauważalny lęk, bo dociera do świadomości, że apogeum lata (apogeum egzystencjalne, bo o to tu chodzi) już było. Ptaki odleciały. I co teraz? To, co było jasne, mocne i dobre w zasobach lata, weszło w przemijanie. Progi z każdym dniem większe. Ciemności potwierdzone. Przed barem Turysta, w którym niekiedy jem fasolową, w oczach bezdomnych niepokój. Oni wiedzą najlepiej, jaki to czas. Życia etap. Uderza chłód, wieje wiatr. Ławki zimne. Mokre. Doskwiera brak grosza, pojedynczo, po dwóch stoją na chodniku, widać ich czekanie z daleka, chcą kupić talerz gorącej strawy. A nie mają. Znają smak życia, które teraz dotkliwie przenika ostateczność. Życie zdaje się powiadamiać, że nic nie możesz, bo wszystko może właśnie ów wiatr.

Tokarska

Ania odeszła w ostatnim tygodniu października. Po rozstaniu się z mężem, przez całe dalsze życie mieszkała na poddaszu w domu przy placu Słowiańskim. Długo jej nie widziałem. Ostatnimi laty już tylko bardzo sporadycznie pojawiała się publicznie na spotkaniach literackich. Miała fobię przed tego typu bywaniem. Czowała się wtedy bezradna i zagubiona. Jakoś zakłopotana. Zawstydzona. Speszona. Nie znosiła oficjalności, a zwłaszcza bycia w centrum uwagi. Po śmierci napisano w internecie, że była animatorką życia kulturalnego w Zielonej Górze, a to jest nie za bardzo prawda. Zawsze pracowita, ale nie

na pierwszym planie, a w zaciszu życia. W zaciszu pokoju. W pokornej zgodzie i w wycofaniu. Cała istota jej poezji i jej funkcjonowania oparta jest/była na kameralności usposobienia i ściszym głosie, w którym bez jakiegokolwiek uciekania się w natarczywość lub epatację wyrażała siebie, swoje nastroje, zaskoczenia życiowe i uczucia. Także chwiejność swojego ja. Nie dbała o pozycję literacką, zwłaszcza w późniejszych latach. Raz po raz widywałem ją, prowadzącą od Elżbietanek pod rękę staruszkę-zakonnice. Szły bardzo wolno. Potrzebowała być potrzebną. Komuś pomagać, z kimś rozmawiać. Trzeba było od niej wiersze wręcz wydobywać, jeśli się chciało coś Anny Tokarskiej wydrukować. Inna rzecz, że pisała mało, zapewne przeświadczona i przeniknięta dystansem do ich wartości. Liryzm jej wierszy, zwłaszcza nawiązujących do mowy potocznej, w których rezygnuje z uroczystej, lekko klasycyzującej retoryki, brzmi autentycznie. Tam najpełniej można ją samą odnaleźć, z jej codziennością, samotnością, kruchością życia, i cenieniem rzeczy prozaicznych tudzież drobnych. Z jej zdziwieniem. Dozą prostoty, trochę franciszkańską, która mogła się podobać. Myślę teraz, że przez całe życie zmagala się z poczuciem niespełnienia i nietrwałości podmiotowego stanu posiadania. Oczywiście próbowała pójść czasami do końca. Miała jeden z rzadkich darów, dar wysłuchiwania ludzi, o czym kilka razy mogłem się przekonać.

Mietek

Z Mietkiem spotykam się mniej lub więcej regularnie. Już nie w Palomnie, bo kawiarni nie ma. Umówiliśmy się przy kinie Nysa i zaledwie zdążyłem. Szyby zaciągnęły się przez noc mrozem i musiałem

się szybko z tym uporać, by jechać. Na domiar złego nie było miejsca na parking. Zostawiłem auto na chodniku bez opłaconego biletu. Lekko spóźniony dobiegłem na miejsce. Poszliśmy do klubu dzien-
nikarza. Mietek lubi piwo, a poza tym ma szerokie rozeznanie w wielu sprawach. Pogadaliśmy o aktualnych drobiazgach, telefonach od Ł., kłopotach ze zdrowiem, wspominaliśmy chęć napisania dramatu, co Mietek pamiętał, ja już nie. Trochę o literaturze, o Papuszy, redakcjach, redaktorach, dyrektorach, kolegach, życiu bez pieniędzy (to zawsze dobry temat), zdrowiu (gdy nie masz siły), i mimowolnie o śmierci bliższych lub dalszych poetów, pisarzy. I poszliśmy. Spod wycieraczki wyjąłem mandat za nieopłacony bilet, który na moment zdołował mnie psychicznie, w Bibliotece Ewa dała autorskie egzemplarze najnowszego „Pro Libris”. Minęły dwie godziny.

Papusza

Sława Papuszy utrwała się. Teraz każde jej słowo lub biograficzny epizod jest na przystawiającą wagę złota. Mitologia postaci służy rosnącemu zainteresowaniu jej wyjątkową poezją i życiowym losem. A przy okazji kulturą i taborową egzystencją Cyganów. Wszystko tu jest owiane tajemnicą oraz dozą niezwykłości. Nie można sobie wyobrazić lepszej sytuacji dla żadnego artysty. Niektórzy celowo dążą do stworzenia takiej sytuacji, ale w przypadku Papuszy nie było żadnej kombinacji. Po prostu było jak było, jak podyktowało samo życie. Tego już nic nie wymaże ani nie unieważni. Jej miejsce w encyklopedii jest pewne. Pola interpretacji jednak są ograniczone. Rola Ficowskiego w miarę wyjaśniona. Jej maleńki, czysty lirycznie, przejmujący, smutny wierszyk *Piosenka* był jednym z pierwszych utworów poetyckich, jaki na początku swej drogi literackiej czytałem nie jeden raz.

Myśli

Myśli o przetrwaniu chlebem powszednim. Najważniejsze, by w domu nie było zimno. Nie zabrakło obiadu ani herbaty. Nie dopadła choroba. Ani samotność. Smutek. I poziom życiowego minimum był stabilny. Tyle tylko pośród wielu ważności. Są jeszcze inne ważności, ale z nimi można, gdy trzeba, dojść do kompromisowych uzgodnień.

Różne

Ścierają się doznania. Śmierć i pragnienie życia, piękno i brzydota. Złoty dzień i ciemny, deszczowy. Czyjś dostatek i czyjaś bieda. Złość i uśmiech. Przyjaźń i jej koniec. Ostatni listek szarpie się na gałązce, jeszcze chce się utrzymać, lecz jego jutro jawi się groźnie. Póki co lęk, trwoga wzmagają pragnienie uwznioślenia każdej chwili. Ono ma być tarczą przeciw wszelkiej marności. A poza tym...?

Spojrzenia

Czyjeś spojrzenie otwiera, czyjeś zamyka. Czyny wyrwę. Wsącza noc. Teraz otwiera mnie spojrzenie mglistego, porannego światła, ledwo widocznych we mgle drzew, gdzieś przy drodze, wiodącej przez rozległe pola. Wysoko nad głową jednak błękit. Teraz wolę nic nie wiedzieć o spojrzeniu, które zamyka.

Okolo południa

Kolejny dzień. Doszedł mnie fluid jesienno-
ciepła oraz wielkiej jasności. Nad drzewami, nad dachami. Jasność szeroko oddaje się oczom, jak to bywa w dobrych powieściach, na wielu stronicach, które nie domagają się szybkiego zakończenia żadnego z wątków. Nad równiną rozciąga się szeroka przestrzeń, która patrzącemu coś obiecuje. Ramiona niemal same wyrwywają się ku niebu w dziękczynnym geście. Za wszystko. Taka to jesienna łaskawość chwili, po której zaraz zimne tchnienia. W radiu Niemien śpiewa wiersz Tuwima *Mimozami*...

Jesiennienie

Noc jest wielka. Gwiazdy wysoko. Komputer otwiera się z trudem, coś go zatyka i spowalnia. Serce niedomaga. Ktoś się odwraca. Tak nagle. Kot ma katar i prycha. Mały kotek wtula się w drugiego, większego. Lubią ciepło. Pies całą księżycową noc biega po okolicy. Woda w wiadrze lodowata. (Włóżcie na kilka sekund rękę do takiej wody, odczujecie.). Rano mgła nasycza przestrzeń. Jesiennienie. Szron na poręczce, na kamieniu, na liście się pokładł. Cicho. Jest w tym jakieś piękno. Wolnym krokiem idzie zamyślony, nostalgiczny Vivaldi i dotyka niewidzialnych strun, które dzień zaopatrują w muzyczny sens. Słońce mgłą zabarwia na żółto. Niejaka D. jest nie

tylko stara, ale i przebiegle niesympatyczna ze swoim skrzywionym, nieżyczliwym spojrzeniem. To właśnie – w tym i w tamtym, i wszędzie – także jesień.

Jechałem

Jechałem wczesnym wieczorem, miałem przed sobą niskie słońce. Większe, jakby zatracające swoje granice w otaczającej je poświacie. Promienie za-
lewały cały krajobraz. Niebo łączyło się z ziemią. Kosmos i ocean światła obejmował znak równania. Na polach żdźbła oziminy jawiły się mocno zielono, a więc ich roślinna żywość była szczególnie intensywna. Zupełnie prześwietlona zieleń pól iluminowała. Nie widziałem horyzontu, ogarnięty światłem, czułem, tak, czułem, bo jak to inaczej określić, cudowność kończącego się dnia. Za nim zaraz czerń. Jechałem.

Mirek

Przysłał mi Mirek Kuleba wielkie, kilkusetstronicowe dzieło (1150 str.) pt. *Enographia Thalloris*, nad którym sporo czasu pracował. Szukał, więc znajdował. Tylko chwalić taki zapał i wytrwałość. Dzieło kolorowe, rzetelne, zachwycające. Najogólniej

mówiąc, chwalcące kulturę wina. Uprawę, wytwarzanie i sztukę, i poezję. Takiego dzieła tutaj jeszcze nikt wcześniej nie zrobił. Stronica po stronicy przeglądam, podczytuję i nikt mi tego nie odmawia. Jeśli robi się coś wielkiego, to jest szansa, że to się osiągnie. Trzeba chcieć.

Dzień

Dzień był dobry. Chmury odchodziły. Bieżące sprawy uregulowałem, popłaciłem co trzeba. Wysłałem list do Gdańska, kupiłem na złomie potrzebną mi starą rzecz, kupiłem worek węgla, popatrzyłem na niebo, na drzewa, na pola, pojechałem do urzędu po dokument urodzenia i go dostałem, zrobiłem udane zakupy, mimo że drobne, rozmawiałem z kolegą, potem z koleżanką, po latach niewidzenia się. Ktoś zadzwonił z radosną nowiną o ładnej okładce książki. Był telefon w sprawie posłowania do wielkiego i potrzebnego tomu poezji Zdzisława Morawskiego, który ukazuje się w Gorzowie. Napaliłem niezbyt późno w piecu, zająrzałem do poczty. Wieczorem nie miałem już sił cokolwiek literackiego pisać, ale światu było to obojętne. A poza tym dokonano się przebiegunowanie Słońca i żyjemy.



Fale gorąca uderzają w skały rozgrzane do czerwoności
Ukryty diament pod ziemią jasno świeci
Wiosna nadchodzi także dla niego
Bzy zakwitną pachnące
słońce ociera się o listki młode
diament z głębin ziemi
przepuszcza kryształową wodę
ona sączy się u źródeł i wylewa
wiosno młoda, panno radosna,
gdzie się podziewasz?
Idziesz bosymi stopami po rozgrzanej skale
w ciemnościach ciepłem majaczysz
w zimnej kąpieli otoczysz się diamentem
kropla po kropli dla listków młodych wzięta
Ziemio, już pachniesz świeżością
wkrótce życie na Tobie zatętni
a Twoje serce będzie bić mocno
i tłoczyć będzie krew w głębinach,
która pulsem myśli przepłynie

(23 lutego 2012, Steve Roach, A Deeper Silence)

Tchnienie przez mgłę

Pierścień Boży wypalił swój znak
w przestrzeni gór ponad skrzydłami mgieł
Rozpostarł błysk świeży ślad,
ruchome mgły-brązowy cień padł
w szklane serce deszczu
W oku drzew, w ustach wiatru
brzmi, wibruje krew
nozdrzami białych Apostołów
biała przestrzeń wydychana i wdychana
mokra i płacząca w Duchu
Ale znakiem Pierścienia Bożego obietnica złożona
Nadzieję przechowa w płucach Ziemi
Mgły odpływają
i gałązki radośnie zaśpiewają
Moc Pana ujawni się w świetlanych śladach
co to na śniegu zostawią Apostołowie
Dla pamięci, dla wierności przyrzeczeniu
złożonym przez szczyty gór skrzydłom Ducha
rozpostartym nad Doliną Oddechu

(5 września 2013, Steve Roach, Journey of One, dysk 2)

Tchnienie odnowienia

Na Twoich oczach zapadam w pamięć ziemi
Spod ziaren brunatnych szybkość dłoni
unosí mnie po Niebo, wysoko
Błysk jasnej myśli stał się zaczątkiem
nowej erupcji serdecznego serca,
które tłoczy krew niczym lawę gorącą
w nieznane rewiry i miejsca nienazwane
Powiało od wschodu, wiatr, który uniósł
zapach kwiatów Niewinności
rzeźbi powietrze i maluje wiosnę dostojną
I otworzyła się przestrzeń,
do której wrota rzekłbyś, zmrożone cyklem uśpienia
Spojrzałem ku dołowi i ku górze
Fantazyjne zdobienia na skrzydłach Tchnienia nowego
rosną i mnożą się tłoczone przez krew w krwioobiegu
I biegną, oby tylko odsłonić scenerię Światła
A tam żyją tacy, co to z naszej głębi wzięci
choć przemienieni, nasyceni pewnością
płyną z cyrkulacją prądów Ducha
Głowy zdało się dawno pękły
pod ciśnieniem Nieśmiertelności umiejętności
Takim to jest czas wiosny,
co Światłem pośród ciemności się zaczyna

(13 listopada 2013, Steve Roach, Groove Immersion)

Twoje czarne włosy uchwycone w ramiona nagich drzew
w Tchnieniu żywej kory
biegnij na spotkanie ze Światłem
Na białej łące jak myśli milionów
utkały fascynację ukrytą w Twoich ramionach
tak, dziś Dzień Miłości
w lesie echo cicho gra
by Dusza śpiewała o wonnościach
Ciemny cień ukłuł,
gdy jadłaś słodką jeżynę,
a kropla gorącej krwi popłamiła kartki pamiętnika
z opisami podróży w Świetle
dodając nutę melancholii
do wcielenia w Jasność

Błade ciało oplata Duszę
Wspomina łóżce
pomiędzy łzami ze smutku
a rosą poranka
Chce posiąść klucz do Snu Stuletniego

(2 października 2011, Klaus Schulze, Live @ Klangart)

Drugie życie Józefa

Siedział w fotelu głęboko w niego wciśnięty; ponad wyłysiałą głową, nienaturalnie wysoko, sterczało oparcie z bocznymi uszami. (Był czas, kiedy sprzedawano takie niepraktyczne w małych pokojach, okazałe, jak uważało wielu, fotele). Za plecami, w rogu pokoju, stały dwie butle, z pokrętłami zaworów, manometrami i maską do ust (tyle dostrzegłem jednym, krótkim spojrzeniem). Józef patrzył na wprost przez przestrzeń pokoju i ciemnego, przedzielonego padającą z kuchni plamą światła, przedpokoju. Gdy wszedłem, nasze spojrzenia się spotkały, a może tak mi się tylko zdawało. Może mnie nie widział w półmroku. Patrzył przed siebie matowymi, wygasłymi oczami. Może już wtedy widział to, czego ja po chwili mogłem się tylko domyślić. Zatrzymałem się w drzwiach. Wtedy on oderwał się – nie miałem wątpliwości, uśmiech nagle wskoczył mu na usta, twarz pojaśniła, jakby wyszła z cienia – oderwał się od swoich wspomnień i tajemnych, jemu wiadomych, myśli. Przez długość mrocznego i wąskiego korytarza zdążyłem – mam nadzieję – zetrzeć z twarzy niepokój wywołany cylindrami stalowych butli (widziałem takie u węzłowia łóżka kogoś, kogo już nie ma). Te z tlenem i acetylenem stały dotychczas w jego garażu. Jednak tamte nie wywoływały, jak te dzisiaj, chłodu na moich plecach.

Wnikliwiej niż zawsze przyjrzałem się jego twarzy i odniosłem wrażenie, że nie różniła się od tej sprzed kilku miesięcy, kiedy szliśmy w stronę nieodległego lasu, wąską, łagodnie się wijącą pośród wiosennych traw ścieżką. Rozmawialiśmy jak zawsze, o tym, co mieliśmy przed oczami: o łące na pagórkach, której już nikt nie kościł, o wycince buków, o ściąganiu dłużyc po stromych zboczach gór, o małym stawie z boku ścieżki, bajorku właściwie, pośród dziczających traw, który zarybiał karaskami, linami i inną drobnicą, a ktoś – Józef nawet nie zlorzeczył na niego – systematycznie je wyławiał. Czuliśmy na twarzy ciepły południowy wiatr. Powoli, nie spiesząc się (ścieżka wspinała się po zboczu), zbliżyliśmy się do ściany lasu. Było przyjemne niedzielne przedpołudnie. Luki odsłaniał od nas, to znowu powracał z białym w pysku, upuszczał przed nami i szczekał prowokując. Józef się pochylał, brał kij do ręki i po szerokim zamachu odrzucał; za każdym razem w inną stronę. Pies orientował się co do kierunku i sadził susami, po chwili zziębnięty wrócił ze zdobyczą. Widziałem, że ta zabawa obydwóm sprawia przyjemność. Ścieżka w pobliżu lasu się zwężyła. Szedłem z nim. Usiłowaliśmy jeszcze rozmawiać, ale wiatr porywał słowa i rozrzucał pośród traw, za naszymi plecami. W lesie podążaliśmy ramię w ramię. Rozdzielała nas głęboka na co najmniej pół metra, wyżłobiona przez nocną ulewę, szczelina, po której dnie spływał jeszcze strumień wody.

Było to wiosną, jak wspominałem. Dzisiaj już jesień. Za oknami nie ma słońca. W mieszkaniu ciemno, choć w pokoju świeci się światło. Jednak nie doceniłem spostrzegawczości Józefa. Przechwycił moje, muskające obły kształt stalowych cygar, spojrzenie i zdobył się na żart.

– Co, jesteś zdziwiony? Kiedyś tlenu używałem do spawania, teraz zasila moje płuca.

Co miałem powiedzieć? Coś tam bąknąłem nieudolnie. Nie sądzę jednak, by to było mądre czy budujące. Pewnie przytoczyłem odpowiedni do sytuacji jakiś banał, a pomyślałem – nie jest dobrze. Przypomniała o sobie kopalnia, tyle lat pod ziemią, jak kret. Przyszedł czas zapłaty za wysokie w porównaniu z innymi,

apanaże, za wczasy w górniczych ośrodkach nad morzem i w górach, z których, o ile mnie pamięć, nie myli nigdy nie skorzystał, za uprzywilejowane – w czasach ogólnego niedostatku – zakupy na kartę „G”, w specjalnych, tylko dla górników, sklepach. Co za dziwactwo? – karta „G”. Górniczy gnom wymyślony przez czerwonych kacyków! Dla zwiększenia wydobywania. Ile trzeba mieć lisiej przebiegłości, by delikatnie, niemalże w rękawiczkach, wysłać w niedzielę i wolne soboty ludzi pod ziemię. Wykorzystano zasadę kija i marchewki. Kijem była dobrowolna praca, za podwójną stawkę oczywiście, w niedzielę czy w soboty, a marchewką – artykuły w rzeczonym sklepie, nieosiągalne gdzie indziej.

Na Moniuszki, przy rynku, był taki Pewex dla górników – ze wszystkim, czego dusza zapragnęła. Pamiętam na wystawie (byłem właścicielem starego trabanta) czarne, głęboko żłobione radialki różnych rozmiarów i akumulatory, duże i małe. Nieraz widziałem, zatrzymywał się taki nie-górnik, szczęśliwy posiadacz jednego z wytworów demoludów – syrenki, malucha, wartburga, rzadziej dużego fiata czy daciai, z nosem rozpląszczonym na szybie, jak dziecko przed cukiernią, jedząc oczami tortowe ciastko, i przełykał ślinę. Żółć takiego zalewała, gdy miał pecha i przystanął akurat w momencie, kiedy ze sklepu „pan górnik” wynosił nówki opony i z satysfakcją pakował do przepastnego bagażnika swojego wartburga 353 (najczęściej kupowany na otrzymanych z kopalni talon).

Te i inne obrazy, które przywołała moja pamięć, przewinęły mi się teraz przed oczami. Czy Józef choć raz pomyślał o tych sztychach przez dwie dekady na nocne zmiany, ponadto w niedzielę, by być klientem tego wydumanego sklepu? Nie wiem.

Podniósł się tylko na chwilę, przywitał i znowu opadł na siedzenie. Raz po raz nieznacznie się poruszył, jakby go coś uwierało, potem trwał w martwym bezruchu, obojętny na wszystko wokół; zwróciłem uwagę na spokój w głosie i zachowaniu. Patrz, mówiło jego spojrzenie: co mnie obchodzi, kto jaki samochód kupił, co mówią w telewizorze, czym denerwuje się żona, za czym gna, będący ciągle poza domem, syn. W czasie rozmowy nie wracaliśmy do tematu butli z tlenem.

Jak zwykle wyszliśmy na przechadzkę. Luki, drzemający dotychczas przy kaloryferze pod oknem, poderwał się. Psim instynktem wyczuwał, kiedy Józef wychodził się przejść, natomiast gdy tylko wstawał, by rozprostować kości – leżał nieporuszony. Innych domowników wyraźnie lekceważył, zachowywał się, jakby ich nie było.

Był to średniej wielkości, może trochę większy, mieszaniec; z dużym prawdopodobieństwem można rzec, że suka, jego psia matka, skundliła się z... dzikiem. Dokładnie tak – z dzikiem, jednym z tych, które jesienią podchodzą do bloków. Szczeciniasta bura sierść i wydłużony pysk przywodzą jednoznaczne skojarzenia. Było jak było, prawdy się nie ustali – można jedynie snuć domysły. Dzikowy wygląd nieprzysparzający człowieczej sympatii, psi los zrekompensował mu wyjątkowym psim szczęściem.

Michał K., sąsiad z klatki obok, uchodził za miejscowego hycła, i tę ksywę poczytywał sobie za należny mu szacunek. Przecież czyścił okolicę z niebezpiecznych psów. Istniejące, w jego przekonaniu, zło, niszczył w zarodku. Z krwawym błyskiem oczu wyłuskiwał z ogrodowych i piwnicznych gniazd psie mioty, pakował do worka, zarzucał go potem na plecy i połą, wijącą się zboczem ścieżką zmierzał w stronę bukowego lasu. Rzucając przekleństwami (miał ich całe bogactwo) tłukł workiem o najbliższy ścieżki świerk albo buk. Potem, gdy przeraźliwe piski ustawały, wyrzucał zawartość do najbliższego dołka. Wracał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Zatrzymywał się w połowie drogi przy stawku, dokładnie płucał worek, a potem suszył na dachu komórki.

Pewnego deszczowego dnia, późnym wieczorem, Józef natknął się na Michała K. przy garażu. Zaskoczeni byli obaj. Józef nie miał wątpliwości, dokąd sąsiad się wybiera – płótno worka się poruszało. Niespodziewany żal ogarnął go od środka, najchętniej to przyłożyłby mu trzymaną w rękę siekierą, był to odruch... Powstrzymał się, przez zaciśnięte zęby wycedził w twarz K.: – Jednego wezmę. – I nie czekając na

odpowiedź wyciągnął rękę w stronę ramienia, przez które przewieszony był zaciśnięty w jego dłoni koniec worka. Małe popiskiwały, kiedy worek stawiał na ziemi. Wsadził rękę i na chybił trafił wyciągnął jednego szczeniaka. Tym szczęśliwcem był Luki.

Drugi raz uśmiechnęło się do zwierzęcia psie szczęście przed dwoma laty. W ciągu trzech dni stopniowo przestał jeść, pić, stał się mniej ruchliwy, nie chciał wychodzić na dwór, nie wstawał z postania – zobojętniał na wszystko, co się wokoło niego działo.

– Pewnie się czymś struła – powiedział Józef, bardziej do siebie niż domowników.

– Szlag go nie trafi, nie martw się, przejdzie samo – ucięła krótko żona i siadła przed telewizorem.

Czy zatrucie, czy co innego, coś mu jest – myślał Józef, ale samo, miał jakieś osobliwe przeczucie, to mu nie przejdzie. Na czwarty dzień zawiózł go do weterynarza. Poprosił syna, by ten zaniósł psa do samochodu. Kiedy leżał jak martwy na tylnym siedzeniu i Józef usiłował położyć na kanapie jego zwisające nogi, Luki ociężale podniósł łeb i otworzył zamknięte dotychczas powieki, spod których wypłynęło kilka łez. Brązowe oczy patrzyły żałośnie.

– Nie bój się, nie dam ci zrobić krzywdy.

Prześwietlenie wykazało w przewodzie pokarmowym sporej wielkości kamień.

– Umrze z głodu – rzekł stary weterynarz. – Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że go zoperujemy. Powinien przeżyć.

Józef bez wahania wyłożył dwie stówki i po trzech godzinach wrócił z Lukim do domu. Żałował tylko, że powiedział prawdę żonie, bo w zamian usłyszał, że jest wariatem. – Dwieście złotych dawać za operację psa! – Palcem znacząco postukała się w czoło. A on nawet słowem się nie odezwał, chodził po mieszkaniu do wieczora, uśmiechając się pod wąsem.

Luki przeciskał się między naszymi nogami do drzwi. Ledwie się uchyliły, wybiegł, radośnie szczekając. Józef wziął do ręki stojący na korytarzu duży sękaty kostur.

– Bez tego teraz nie wyjdę na dwór – powiedział.

Na łące pies starym zwyczajem chciał aportować, ale pan ostudził jego zapał. Nie miał sił. Zrozumiałem, że mnie przypadł obowiązek zabawiania psa. Podjąłem się zadania. Józef wspierał się na kijach i powoli posuwaliśmy się do przodu. Szliśmy obok siebie, nie rozmawiając. Zatrzymywał się i głęboko oddychał. Brakowało mu powietrza, którego wokół było pod dostatkiem. Bynajmniej się nie skarżył i nie użalał nad sobą. Miałem wrażenie, że coś mu gwizdże w krtani.

Przed nami płożyła się łąka, dalej wyrastała ściana lasu. Obejrzałem się. Za nami zapomniany, porośnięty chwastami ogród i zamknięty garaż; opatrzony numerem własności kopalni po dziesięciu latach użytkowania. Ile samochodów i ludzi przez niego się przewinęło.

Zbyt dawno było, żebym nie pamiętał.

Józef mieszkał na krańcu miasta. Na ostatniej krzyżówce ostry zakręt w prawo, potem przyhamować i zjechać przez chodnik na szutrową drogę, z rowkiem pośrodku wyżłobionym deszczówką. (Gdyby trzymać się drogi głównej, przyhamują nas dwa wznoszące się ostro zawijasy, wyskoczy się na grzbiet i koniec miasta). Skoro tylko przejechalismy przez chodnik, słyszymy dzwonięcie kamyczków o podwozie, samochodem najpierw zakołysze na boki, potem uniesie się lewa strona (z boku mamy dwie mocno podgryzione zębem czasu kamienice, z prawej ogródki) i zaraz wyrówna, przy bloku. Kilkadziesiąt metrów dalej otwarte na oścież, najczęściej, jak paszcza wieloryba garażowe drzwi. W środku na kanale jakiś rozbebeszony wóz, albo oklejona i zaciągnięta podkładem karoseria. Mogło być wszystko. Jeden – dwóch w smarach albo w pyłe fachowców i po bokach kibice, doradcy. Opowieści samochodowych i wędkarskich zdawało się nie być końca. Męskie dowcipy i żarty. Nie rzadko na taborecie napoczęta flaszka, obok jeden kieliszek, może

i musztardówka, o przedłużonej żywotności. W szafce kilka butelek piwa. Puste leżą pokotem tu i tam. Przed garażem zawsze stały, oczekując swojej kolejki jakieś auta. Ustalenia sięgały niekiedy i tygodni. Takich garaży w pobliżu nie ma. Są narzędzia i fachowcy: Józef potrafi zająć się blacharką, mechaniką, nawet prosty spaw pociągnie, Mirek robi elektrykę, Janusz rękę ma do pistoletu, lakierniczego ma się rozumieć. Z każdym można się dogadać, ustalić termin tak, by wszystkim pasowało. W szczególnych przypadkach trzeba rozbebeszyć silnik albo i skrzynię biegów w drobny mak i zawieźć do jeszcze lepszego fachowca. Przy takim remoncie różne części walają się dokoła w kurzu, trochę w jakiej skrzynce, w kartonie, na posadzce, przestawiane z jednego miejsce w inne, przez tydzień, dwa albo i dłużej. Potem przychodzi czas i powoli, sukcesywnie, wydobywane z różnych zakamarków, po umyciu i wyczyszczeniu, wracają, o dziwo, na swoje miejsce.

Swoim wartburgiem 353 (jego pierwsze, po jawie i junaku, auto) Józef zanadto się nie przejmuje. Lata świetności pięciolatka (gdy go przyprowadził) dawno już minęły i, nie za często, ale to i owo się psuje, trzeba naprawić, wymienić, jak to w samochodzie. Raz w roku, zazwyczaj przed urlopem, robi generalny przegląd. Przygotowuje się do tego przedsięwzięcia odpowiednio wcześniej. W Polmozbycie na Tuwima jest częstym gościem, w zasadzie przy każdym pobycie w mieście i, obowiązkowo, zaraz po dostawie towaru, o której dowiaduje się jemu tylko wiadomymi kanałami. Bierze wtedy jak leci: potrzebne, niepotrzebne, nie szkodzi – kiedyś się przyda. Nie szczędzi grosza. Czasami kobieta mu zrzędzi: „Kurtkę byś sobie kupił nową”, on się tylko uśmiechnie, mając w pamięci ostatnie zakupy, i powie, że w samochodzie nikt go nie widzi, to i w starej jeszcze pochodzi. Kolor (samochodu – nie kurtki) zmienia średnio co pięć lat. Na remont poświęca wtedy urlop. Na kołach pozostają tylko rama i szkielet – którego nie da się rozkręcić, pozostałe blachy, zżarte przez rdzę, z dziurami i wgniotami po stłuczkach lądują w pokrzywach za altaną w ogródku, a te trochę lepsze, które komuś mogą się przydać wrzuca na półkę. I wcale się przy tym nie certoli. Lekką ręką kwalifikuje jedno w pokrzywy, drugie – na półkę.

– Potrzebujących jest dużo. Kiedyś kto się zgłosi – mówi, wiedząc, co mówi.

Pewnego lata widziałem pomalowane blachy. Grzały się w słońcu na zboczu przed garażem, jak rozwinięte skórki pomarańczy. Józef stał i gładził je swoim dobrotliwym spojrzeniem, pochylał się, kucnął, przyglądał z dołu, z boku. Odwrócił głowę. W oczach widziałem zadowolenie i, nie boję się użyć tego określenia, satysfakcję. Powiedział, żebym dotknął. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, zaskoczony propozycją. – Nie bój się, lakier już wysechł. – Nie miał skłonności robienia przykrych dowcipów, toteż uczyniłem, co zaproponowałem. Ostrożnie przyłożyłem do wypukłości drzwi wewnętrzną stronę dłoni i w tym momencie zrozumiałem jego żart: blacha była gorąca jak wyjęta przed chwilą z paleniska. – Od rana grzały się w słońcu. Lakier się czepiał jak kładziony w komorze – wyjaśnił, a tym samym usprawiedliwił swoją propozycję, choć ja i bez tego wiedziałem, że on nie chciał, bym się sparzył.

Mieszkaliśmy w sąsiednich blokach, miałem dziewiętnaście lat – on był przed czterdziestką. Dla mnie już stary facet. Obserwowałem ich, Józefa i jego kolegów, ich żony, kumpłowałem z ich synami, podobała mi się córka jednego z nich. Tutaj wszyscy o wszystkich dużo wiedzieli. Spotykali się w drodze do i z pracy, w sklepie, na przystanku, przed blokiem, w piwnicy, w ogrodzie. Głośno obchodzono imieniny. Mięso na kartki, wódka, słodycze... – wszystko na kartki było. Mało tego – należało mieć zdrowie i pokorę, by spędzać godziny w licznych kolejkach. Robotnicy narzekali na rząd, na tych z komitetu na alei Wyzwolenia (tacy sami, a bliżej byli), dyrekcję kopalni, sztygarów, kierowników – tych wszystkich, którzy, w ich mniemaniu, się do takiego stanu rzeczy przyczynili. Na przekór wszystkiemu i wszystkim (wymienionym), przy imprezach stoły były zastawione. I pieczone, i sałatki, i szynka się znalazła, grzybki i korniszony, kawa prawdziwa, Orient, i ciasto, i, bez tego trudno mówić o udanej imprezie, wódka oczywiście, często własnej produkcji. W przekonaniu niektórych lepsza od tej ze sklepu. Latem, najczęściej w niedzielne popołudnie, zbierali się u Józefa (i altanę miał, i pergolę, nutrie pluskały się w wodzie). Odświętnie ubrani: spodnie na kant, czarne

pantofle, biała, niebieska albo żółta koszula – jakby inne kolory jakie trefne były – z podwiniętymi do łokcia rękawami. Zaczynało się spokojnie, z upływem czasu wszystko nabierało tempa. Napięcie mijało; szarość tygodnia nabierała barw, rozrzedzona krew dawała poczucie siły: sprawy jeszcze przed paroma godzinami trudne zatławiano od ręki, a te niemożliwe – w widocznej perspektywie.

Z dala od centrum, na peryferiach, łatwiej i weselej mijał ten czas.

Józef przystanął przy swoim ulubionym stawiku. Wpatruje się w zieloną toń i głęboko oddycha. Ja tuż za nim. I czekam. Czekam, aż się mu oddech uspokoi. Potem chwili się odwraca, oczy mu błyszczą, twarz pojaśniała, wyciąga rękę i ścisłym głosem mówi:

– Popatrz! – Podążam wzrokiem we wskazanym kierunku i zatapiam spojrzenie w nieruchomą zieloną toń. – Widzisz?! – dopytuje zniecierpliwiony moim milczeniem.

– Widzę – kłamię bez zastanowienia, by zrobić mu przyjemność. Kregi na wodzie dowodzą, że coś pod powierzchnią się porusza, że powinienem widzieć. Ciekawość wciąga go w kaczęce; boję się, że wpadnie, ale on najpierw ostrożnie wysuwa nogę i bada grunt, dopiero potem w tym miejscu staje pewnie obydwojema stopami. Przykuca i się wpatruje.

Nie było drugiego, z trzech bloków po tej stronie drogi, od lasu, który by mu dorównał w jego pasji wędkowania. Od późnej wiosny do jesieni (też późnej), każdy wolny czas spędzał nad jeziorem, szczególnie upodobał sobie to pod Mietkowem. Dwóch-trzech do towarzystwa, a jak nie było chętnych to sam, łódkę na lawetę i od tej chwili do powrotu nic więcej poza wędką, spławikiem, haczykiem i przynętą (żona kilka dni przed wyjazdem przygotowała różne jej rodzaje i smaki) nie istniało, nie było godne jego uwagi.

Józef mówi, że urosły – te jego karaski w stawiku; uśmiecha rozjaśnia mu twarz.

– Prawie jak w Mietkowie – wyrwam się bezwiednie i kieruję jego myśli ku przeszłości. Odległej jak sen, nierealnej już do powtórzenia.

– Taaa... – urwane słowo ma mi wystarczyć za całą odpowiedź. I starcza. Patrę na Józefa i widzę w jego oczach tamte przybrzeżne szuwały i kaczęce i pośród nich kolebiącą się od niechcenia na wodzie drewnianą łajbę. „Materac na spód, ja w śpiworze, nade mną gwiazdy, raz po raz plusk wody, w krzakach odgłosy kaczek, popiskiwanie...” – przypominam sobie odległą jego opowieść. Pokazywał mi, pamiętam, dopiero co zakupioną przyczepę kempingową. „Już nie te lata, żeby spać pod namiotem” – opowiada, pokazując jednocześnie wewnątrz. Ze szczegółami mówi co trzeba wymienić, naprawić, a co tylko podmalować. „Wszystko się zrobi, tylko trzeba zacząć, trzeba się za to zabrać. Miesiąc i gotowe” – kończy i patrzy na mnie. Przyczepa stoi w ogrodzie w tym samym, co i wtedy, pośród wybujałych pokrzyw i nawłoci. Już z pewnością jej nie wyremontuje, tak myślę.

Znowu idziemy. Za dużo powiedziane, posuwamy się powoli. On opowiada o rybach. Znam wszystkie historie, ale i teraz słucham z udawanym zaciekawieniem.

Wrócili kiedyś znad jeziora. Przepastny bagażnik wartburga wypełniony sprzętem: namioty, materace, śpiwory, kurtki, bluzy, wędki, torby z drobiazgami, siatki, podbieraki... – wszystko utyłane w błocie śmierdzącego jeziornym mufem. Po prawej kolega, z tyłu na kanapie kobiety. Połów okazały: klenie, szczupaki i kilka węgorzy w torbie na podłodze. Droga przez wioski kręta, wóz na miękkim zawieszaniu kładzie się raz na jedną, raz na drugą stronę. Torba z żywą zawartością poddaje się tym przechyłom i raz bardziej, innym razem mniej przesuwając po płaskiej podłodze. W rozmowie mężczyzn dogasają wędkarskie emocje, kobiety rozprawiają o smażeniu i marynowaniu, o praniu, o przywróceniu do jako takiego wyglądu nadjeziornego ekwipażu. Ni stąd, ni zowąd rozlega się przeraźliwy wrzask i pisk kobiet, i rozpaczliwe „stój!”. Kolega natychmiast odwraca się do tyłu, Józef jednym okiem patrzy na drogę, drugim – zezuje we wsteczne lusterko. Obaj widzą to samo: przerażenie w oczach, paraliż twarzy i uniesione w górę nogi; i nie mniej przestraszone miotające się po podłodze węgorze.

Do ściany lasu było już niedaleko. Pięćdziesiąt, może sto metrów. Jeden obok drugiego leżały, czekając na zwózkę, kilkanaście bukowych beli. „Siądziemy, on odpocznie i wrócimy; z góry będzie mu lżej” – pomyślałem. Wtedy on się zatrzymał, postać nieruchomo, potem się odwrócił.

– Dalej nie pójdziemy – powiedział spokojnie, lecz stanowczym, niepodlegającym dyskusji głosem, starając się uśmiechnąć, przeprosić za swoją słabość.

Ostatni raz szedłem z nim tą ścieżką.

* * *

Dzisiaj, kiedy spojrzałem na szarą elewację budynku chlastanej deszczowymi strugami, obudziły się uśpione w mej pamięci wspomnienia.

Nowa dzielnica, nowy szpital, w nim nowe sprzęty, wszystko nowe i chorzy, niekoniecznie starzy, górnicy. Wkrótce potem mówiono w mieście, że to umieralnia ten górniczy szpital. Słyszałem tę frazę wiele razy, jak również o pylicy – nieuniknionej przypadłości pracujących pod ziemią mężczyzn. Znałem takich wielu, lecz nie przypominam sobie przypadku, by który z powodu tej wyroczni się zwolnił. Byłem wtedy w wieku, kiedy nie myśli się o ostateczności, o drugiej stronie horyzontu. Co najwyżej ogląda w kinie, czyta w książkach. Stawianie tezy, że to umieralnia, było z pewnością zwykłym nadużyciem; podobnym jak upatrywanie przyczyn ówczesnych gospodarczych trudności obecnością – wiara ta była bardzo silna – w rządzie „Żydów”. To było dawno... bardzo dawno.

Padało i wiał porywisty wiatr. Za drzwiami wstąpiłem w ciszę, za murem której czuje się strach; egzystencjalny, ludzki. Jakież odgłosy dochodziły z głębi korytarza, zza oszklonych drzwi. Nie pamiętam, czy była to pora odwiedzin, czy przypadkowy dzień. Pewnie to drugie, stąd i mój niepokój, że ktoś w białym fartuchu potraktuje mnie jak persona non grata. Pusty korytarz wypełniał nieprzyjemny szpitalny zapach zapadający we włosy i ubranie. W pewnej chwili usłyszałem za plecami: „Pan do kogo?”. Powiedziałem. Potem wszedłem do sali obok, białej jak pierwszy śnieg.

Józef siedział na łóżku „po turecku”; odniosłem niemiłe wrażenie jakby był bez nóg. Pochylony nad talerzem jadł obiad. Mając pełne usta, kiwnął do mnie głową. Zobaczyłem uśmiech – taki jak dawniej – pod siwym wąsem. Twarz miał okrągłą, pełną – wyglądał lepiej, niż kiedy wiedziałem go ostatnim razem. Przywitałem się tak jakoś nieporadnie, bo ani uścisnąć mu dłoń (nie wiedział co zrobić z łyżką) ani objąć ramieniem. Stałem obok jego żony i syna. Czekaliśmy, kiedy zje. Na dwóch sąsiednich łóżkach nie było nikogo, chwilowo nikogo – były rozbebeszone.

Mimo dobrego wyglądu, wiedzieliśmy wszyscy, każdy po swojemu, że to tylko pozory, oby jak najdłużej. Każdy dzień, tydzień, miesiąc... są wtedy ważne, bardzo ważne i cenne. Czuje się ich wartość, niekiedy nawet przecenia. I chciałoby się dużo powiedzieć, ale coś ważnego i istotnego, stosownego do powagi chwili, i nie wiadomo co; wtedy wszystko wydaje się błahe wobec ostatecznych wyroków, i się milczy i wszyscy się męczą nicniemówieniem. I kiedy się przypomni, o co chciało się zapytać albo co powiedzieć, jest już – zazwyczaj – za późno.

(II nagroda w XIV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” w Kargowej)

Zima pod Tatrami

Posmutniałeś Giewoncie a i moje słowa
kiedyś perliste
potoczyste
dziś w sople zakłète
skute lodem
Smreki w białej poświacie
milczą do mnie uroczyście
jak obcej religii kapłani
nie pojmiesz ich gestów
modłów nie zrozumiesz
Szlaki górskie co były mi drabiną Jakuba
odepchnęły
patrzę na szczyty niedościgłe dalekie
jak zdradzona kochanka

Posiwiiałeś Giewoncie a i moje włosy
kolor zgubiły w kartkach kalendarzy
marzę by zaszyć się w skalnej kolibie
zasnąć jak legendarni rycerze
niech sen obudzi mnie do baśni co była
drugą naturą
miłością moją
Potok zanuci pieśni o Janicku
wyniosłe drzewa zaszumią w borze
przemówią szczyty bielą otulone
i znów wierchowe wołanie usłyszę
Niech we śnie wejdę granią
w ciszę

ars longa

Myśl ostra jak odłupany kawałek krzemienia
kaleczy umysł
nie ocalisz go bielą śniegu
przyjdą czarne roztopy
powróci brzydota

Nikt nie naprawi świata
nie ofiaruje ci czasu na zachwyt
niebem rozgwieżdżonym
pulsującym rozkwitem zieleni
smakiem poziomki
jesiennym płaczem brzoź

Tylko szewc Makowskiego
z małej reprodukcji na ścianie
jak zawsze reperuje buty

dwie świątynie

pod trójkątnym okiem opatrzności
wśród alabastrów złożonych
modlitwa ufności pełna
i bluźnierstwo modlitwie nieodległe
płacz cichy i wołanie natarczywe
pod kopułę wzlatują nie znajdując drogi
ku niebu
szept pacierzy od stuleci
wtapia się w kamienną posadzkę

w świątyni pod kopułą nieba potęga natury
wspiera twórczą wyobraźnię
ostrołuki oparte o błękit
opisują żywe witraże
z zielenią liści
rysunkiem gałęzi
zmiennością chmur
stary ołtarz zachował pamięć ofiary
koniecznej by przebłagać bogów
za nasze winy od dawna bezspreczne
słoneczny zajązek na kamiennej płycie
każe spojrzeniu dążyć za promieniem
ten uśmiech bóstwa zda się zapewniać
o wybaczeniu

koncert

tam gdzie zmierzasz mgła nieprzenikniona
zatrzymaj się
posłuchaj
niech muzyka wypełni twoje serce
zmieni wszystko

głosy organowe niosą potężną harmonię
uciszają oszalałe tam-tamy krwi
klaszcza pyzate aniołki
gdy piszczałki ścigają się w wariacjach
brodaci święci z powagą wtórują
głębokim głosem fugi a-moll
malowana dźwiękami rzeczywistość dojrzewa
jak płód w łonie matki
by z ostatnim akordem urodzić się jako życie
tęskniące za współbrzmieniem

Kto czyta, nie jest samotny (II)

Jaś i Małgosia

Mariuszowi Bojarowi

Pomyślałem ten wiersz z Szymborską w dłoni. Pomyślałem, bo często przed napisaniem wiersza jest myśl, pomysł na niego. Jechałem pociągiem do pracy z przyjacielem. O czym mogą rozmawiać kolejarze, którzy spotkają się w drodze? My często opowiadamy o tym, co ostatnio czytaliśmy. On mówił o tekście Ingi Iwasiów w „Tygodniku Powszechnym”, ja o refleksji s. Marii Grażyny od Ducha Świętego i Matki Kościoła OCD w artykule *Tajemnice Bogurodzicy Maryi* w „Głosie Karmelu”:

Święta Teresa od Jezusa zwracała szczególną uwagę na wyrzeczeniu się wszystkiego, co nie prowadzi do Boga, a nawet na wyrzeczeniu się własnego „ja”. Doświadczenie ikonograficzne podpowiada nam, że nie można pisać ikon, będąc jednocześnie skoncentrowanym na sobie, na własnych odczuciach, przeżyciach, wrażeniach, na własnej woli, na własnej woli wizji obrazu.

Mówiąc o tym, zastanawiałem się, czy taka postawa jest możliwa podczas pisania wierszy. Poeta, który rezygnuje z „ja”? Pewnie jest, ale chyba rzadko. Rozmawialiśmy też o pośmiertnie wydanym zbiorze wierszy Wisławy Szymborskiej *Wystarczy*. „Przeczytałem go już trzy razy, więc mogę ci go pożyczyć” – powiedział.

Nie przybywa gromadnie.
Nie zbiera się tłumnie.

Nie uczęszcza masowo.
Nie obchodzi hucznie.

Kartkowałem, jak mam w zwyczaju, książkę, szukając jakiejś frazy. Krótkie wiersze przeczytałem w całości. Między innymi *Do własnego wiersza*:

W najlepszym razie
będziesz, mój wierszu, uważnie czytany,
komentowany i zapamiętany

W gorszym przypadku
tylko przeczytany.

Rozmawialiśmy też o tym, co ostatnio się wydarzyło w naszym życiu. Kiedy opowiadałem o spacerach na plażę moich córek z dziećmi z domu dziecka nad jezioro, pomyślałem o małym chłopcu z ich opowieści, że to dobry temat na wiersz. Wiedziałem od razu, że będę miał z nim kłopot. Wszak cykl moich „Pocałunków Judasza” otwiera wiersz „Ars poetica”:

nie przeklnę
dla potrzeb wiersza
moja żona mogłaby go przeczytać
sztuka nie jest najważniejsza.

Dalekie to od moich pierwszych fascynacji poetyckich, od Rafała Wojaczka: „mój brat byłby skurwysynem / gdyby nie był moim bratem”. Gdybyż on wiedział, że uważam go za jednego z największych liryków XX w. Czytałem w tamtym okresie także wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, której wybór poezji przyniósł do domu mój brat. Dwa

światy poezji. Rozdarcie jest częste w moim życiu. Nieraz stoję tyłem, często patrzę w niebo.

Już raz przeżywałem podobne uczucie. Szedłem przez most nad Wisłą w Toruniu z aparatem fotograficznym w dłoni. To był stary FIED. A tak przy okazji, skrót ten pochodzi od Feliksa Edmunda Dzierżyńskiego. Na końcu mostu są schody prowadzące do ulicy przebiegającej pod nim. Na ścianie przy zejściu był napis, który zamierzałem sfotografować, ale zastanawiałem się, czy powinienem go utrwalić. Zacząłem rozumieć, co mogą czuć twórcy, którzy przekraczają granice. Ile wolno zrobić dla sztuki? Zdjęcie, które wykonałem, nie jest dziełem artystycznym. Widziało je dotychczas kilka osób, a od tamtego dnia minęło sporo lat. Napis: „Jezus nikomu nie powie-dział spierdalać.” podczas konserwacji mostu został zamalowany. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, odczytałem to jako wyrzut skierowany do mnie. Nie jestem wolny od złych słów. W nerwach, w złości potrafię użyć słów, których należy się wstydić. Mógłbym usprawiedliwiać się, że już chyba w drugiej klasie szkoły podstawowej często używałem słowa wulgarne. W jednym zdaniu po kilka, a że często się wymądrzałem, to i okazji było wiele. Pamiętam, jak moi koledzy raz zwracali mi uwagę, kiedy indziej śmiali się ze mnie. Dlaczego tak było? W moim domu najbliżsi nie przeklinali. Czy ktoś oprócz mnie utrwalił na fotografii toruńskie graffiti? Zdjęcie to tylko dokument. A może ktoś patrząc na nie, namalował obraz? Byłby obrazoburcą? Można by jego wystawienie uznać za podstawę do protestowania? Moich uczuć religijnych nie można obrazić, bo uczuciem religijnym chrześcijanina jest miłość, a miłość się nie obraża. Wiem, miłość też nie przeklina, ale moja miłość niedoskonała jest. Teraz na tym moście wiszą kłódki z imionami zakochanych. Jasia i Małgosia wśród nich nie znalazłem. W moim wierszu, inaczej niż w baśni, bohaterowie nie są rodzeństwem, a imię jednego z jego z bohaterów jest prawdziwe. On mógłby być jej wnukiem. Obydwoje nie wiedzą, że pozują do wiersza. Ciekawą interpretację baśni napisała Kinga Mazur, poetka z pokolenia moich dzieci:

Tych dwoje tak naprawdę
nie było zgodnym rodzeństwem

– chłopiec często ciągnął siostrę za warkocze
które mama zaplatała
na przekór Małgosi
i jej cienkim włosom

czarownica – owszem
miała domek z pierników
ale nie były one
pierwszej świeżości

Jaś połowę bajki
spędził w wychodku
ale potem do tego się
nie przyznawał
– podobnie zresztą
jak do operacji plastycznej uszu

Małgosia zaś po bajce
wyremontowała domek
czarownicy
i adoptowała jej kota

Na początku miał być to wiersz tylko o Jasiu. Kiedy o nim usłyszałem, zrobiło mi się smutno. Wszystko, co zamierzałem napisać, wystarczyłoby na trzy, cztery wersy. Chciałem nadać mu tytuł *Pierwsze słowa* i tak miał się zaczynać. Potem przypomniała mi się Małgosia. Już po napisaniu wiersza dowiedziałem się, że wyjechała z rodziną do Szkocji.

Jaś i Małgosia

pierwsze słowa
małego Jasia
który trafił
do domu dziecka
to mama i chuj
sam nie jestem bez winy
pamiętam
jak dziesięcioletni
z rówieśnikami
uczyłem dwuletnią
Małgosię
mówić kurwa
i ile mieliśmy radości

gdy wymawiając
słowo je zniekształcała

Istnieje napięcie, cienka granica między wolnością sumienia, a byciem Judaszem. I poeta może zdradzić.

Judasz napisał kolędę
opłatek trzyma w dłoni
kiedy wszędzie pierwsza gwiazda
będzie prosił o przebaczenie

(*Wigilia Judasza*)

Nie podobał się ten wiersz s. Grażynie. Poznaaliśmy się w pociągu. Rozmawialiśmy od Łodzi do Sosnowca. O poezji, o Kościele, o „Tygodniku Powszechnym”, o Edycie Stein, o nas. Siostra Grażyna jest karmelitanką bosą, autorką biografii św. Rafała Kalinowskiego, pisze wiersze, pisze ikony. Stąd lektura cyklu jej artykułów w „Głosie Karmelu” i myśl przytoczona na początku tego tekstu. Czy wolno mi było napisać ten wiersz? Czy jakimś wyjściem jest ucieczka w krótki esej? Skoro nie wybrałem ani trzeciej, ani czwartej propozycji Szymborskiej dla wiersza:

Trzecia możliwość –
wprawdzie napisany,
ale po chwili wrzucony do kosza.

Masz jeszcze czwarte wyjście do wykorzystania –
znikniesz nienapisany
z zadowoleniem mrucząc coś do siebie.

Nie jestem zadowolony. Może powinien pozostać tylko Jaś? I to bez imienia?

Pierwsze słowa
małego chłopca
który trafił do domu dziecka
to mama i kurwa.

Oto mam dwa wiersze, można pomyśleć alternatywne. Który wybrać? Lubię i krótkie wiersze, i baśnie.

Ucieczka w inny tekst, w nie wiersz.
Przypominając sobie myśl Jerzego Stanisława Leca „łatwiej powiedzieć na kogoś k...a, niż być nią”.

Pocałunek Judaszów zamyka usta poetom.



Samotność

Przyznaję, nie jestem wierny.
Gdy wychodzisz, siada obok mnie.

Podaje kartkę,
Zaparza herbatę,
Patrzy przez firankę.

Gdy jest blisko,
Odbijam się w jej źrenicach, cały ja,
Z radościami i lękami.

Jest nam dobrze.
Rozumiemy się bez słów.

Głoskami ciszy rozmawiamy o tym,
O czym z tobą milczę:

O poezji nieba i poezji śmierci,
Otwartych ranach
I zaszyfrowanych nocach.

Umacniamy mury własnych sekretów
I planujemy to co minione.

Jest mi tak bliska,
Z wszystkimi swoimi humorami
I wadami.

Wiem, że ten romans będzie trwał wiecznie.

Nie możesz jej poznać,
Znika, gdy tylko się pojawiasz.

Jakikolwiek kontakt z tobą,
Byłby dla niej i dla nas
Nagłą śmiercią.

Wigilia

przepraszam za ten bałagan
kurz
i zakręcone kaloryfery

wiem
brakuje tu kobiecej ręki

nie zwracaj uwagi na
porysowane ściany
zaduch
i zwiędłe liście na parapecie

okna wychodzą tu na północ

wybacz
tak mi wstyd
nie sądziłem że tu będzie ci najlepiej

w miejscu tak niepewnym
odciętym od świata
zapomnianym

na sianie
mojego tak zwanego
serca

Wieczność

Kolejna kartka z kalendarza ląduje w koszu

Jakby dzień nic nie znaczył

Jakby istniała wieczność

Perspektywa

Jestem na orbicie.

Pode mną żadnych państw
I rozlanej krwi.

Tylko Ziemia.

Stąd łatwo wybaczyć
Ludzkości

Ludzkość.

Oczekiwanie

(fragment powieści)

Autorka snuje losy bohaterek II wojny światowej. Przedstawia losy młodych kobiet, które przed wybuchem wojny wiodły bez troskie życie, a działania wojenne bezpowrotnie przerwały ich dobry los...

Czurhuny

Wóz lekko kołysał się, a konie parskały i uderzały kopytami o mokrą ziemię. Były to głuchoe uderzenia o zwilżoną po nocnej ulewie polnej drodze. Mijane drzewa miały jeszcze na sobie pozółtkę liście, a stojące w polu jarzębiny czerwieniły się obfitymi kiściami jagód. Powietrze było rześkie, ale jeszcze nie mroźne. Rozalia otulona w ciepły pled, mająca za oparcie nieduży kufer, rozmyślała nad swoją przeszłością. Za jej długiego życia wydarzyło się na świecie i w bliskim otoczeniu wiele zmian. Urodziła się w polskiej rodzinie, jeszcze w carskiej Rosji w majątku rodzinnym na Ukrainie. Skończyła szkołę „Białych Manaszek” – Białych zakonnic. Przebywały tam dziewczęta z bogatych i arystokratycznych rodzin. Uczono je nie tylko przedmiotów, obejmujących program ogólnego nauczania w Rosji, ale również obcych języków, dobrych manier i gry na fortepianie. Wcześniej wydano ją za mąż za Bogusława Cistę współwłaściciela dużej cukrowni niedaleko Odessy. Mieszkało tam duże skupisko Polaków, którzy trzymali się razem, więc życie towarzyskie kwitło. Małżeństwo ich było udane. W 1910 roku przyszedł na świat syn, któremu dano na imię Leopold, a w 1918 (już na wygnaniu) urodziła im się Marysia. Z początkiem rewolucji nastały ciężkie czasy. Rodzina musiała uciekać z dworu przylegającego do cukrowni. Bogusław dając łapówki wielu ówczesnym funkcjonariuszom wystarał się o powrót do Polski. W tę trudną podróż wyruszyli w 1924 roku. Jazda koleją wówczas była bardzo niebezpieczna. Na pociągi napadali bolszewicy, anarchiści i wszelkiego rodzaju rozbójnicy podszywający się pod nową władzę. Musieli więc udawać ubogich skromnie ubranych podróżnych, a ona miała na sobie biżuterię o niskiej wartości, przeznaczoną na łapówki dla kolejarzy. Kosztowną biżuterię i złote monety wszyte były w palto Marysi, a akcjami amerykańskich kolei zawinięte zostały kanapki na drogę. Po długiej podróży znaleźli się w Wilnie, gdzie siostra matki Bogusława miała duże ładne mieszkanie na pierwszym piętrze luksusowej kamienicy, którą przepisała swojemu siostrzeńcowi zaraz po ich przyjeździe. Sama zaś już bardzo leciwa i mająca wiele dolegliwości zdrowotnych zamieszkała u siostr zakonnych, ofiarowując im spory majątek w gotówce. Mieszkanie, które dziedziczył Bogusław od ciotki Hortensji (bo tak miała na imię), było całkowicie urządzone. Pachniało w nim wieloma zapachami, łącznie z lawendą, walerianą i naftaliną, a meble, bibeloty, obrazy i dywany świadczyły o zamożności byłej mieszkanki. Rozalii i Bogusławowi, którzy przyjechali bez żadnych rzeczy, zachowując życie i mając świadomość, że wielu Polakom to się nie udało, byli szczęśliwi. Wilno swoim pięknem ich oczarowało. Bogusław, jako specjalista od rolnictwa, dostał posadę w banku rolnym. Pensja była skromna, więc musieli pozbywać się amerykańskich akcji, a nawet biżuterii, by utrzymywać dom na przyzwoitym poziomie. Rozalia w prowadzeniu domu miała dwie osoby do pomocy.

Najbardziej zżyła się z Litwinką mieszkającą w suterenie tej samej kamienicy – Grażyną, zwaną przez domowników Grażką. Do rąbania i przynoszenia drewna i węgla na opał był jeszcze dorywczo zatrudniony starszy mężczyzna. Dużo pieniędzy pochłaniały korepetycje z języków obcych, a później czesne w prywatnym gimnazjum, do którego uczęszczał Leopold. Wydatki na kształcenie Marysi również były pokażne. Korepetycje z języków obcych, nauka gry na fortepianie i czesne w szkole SS Nazaretanek wymagały sporych nakładów. Mimo trudności finansowych był to najszczęśliwszy okres w ich życiu. Często z Bogusławem chodzili na koncerty i spektakle w Reducie. W domu rozlegał się wesoły gwar dzieci i przychodzących do nich rówieśników. Ta sielanka skończyła się nagłą śmiercią Bogusława. W 1935 roku pochowany został obok ciotki Hortensji w rodzinnym grobowcu na Rossie. Świat dla niej nagle się zawalił. Myślała, że tego nie przeżyje. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, gdyż dzieci potrzebowały jej wsparcia i troski. W tym też roku Leopold zrobił dyplom lekarza. Został zatrudniony w klinice na Antokolu i wyprowadził się z domu. Rozalia mogła jego pokój wynająć, co stanowiło dodatek do skromnej, wdowiej renty. Oddaliła kucharkę i sama zajęła się gotowaniem posiłków dla siebie i Marysi. Zaczęły żyć bardzo skromnie. W 1937 roku Marysia zrobiła maturę. Wstąpiła na filologię przy Uniwersytecie Wileńskim i zaczęła udzielać korepetycji z języka francuskiego i angielskiego. Dobre i wczesne podstawy, które otrzymała z domu teraz bardzo się jej przydały. Rozważania Rozalii przerwał cieniutki głosik, siedzącej przy jej nogach, Kamilki: – Babciu, chce mi się pić – patrzyły na nią dwie „niezapominajki” wielkich oczek wnuczki, w których była prośba i zarazem filuterność zmuszająca babcię na zwrócenie na nią uwagi. Tak naprawdę pić jej się nie chciało, ale długą jazdą była znudzona i chciała, by się ktoś nią zajął. Wnuczka była jedyną radością rozświetlającą smutne jej życie. Patrzyła w oczy Kamilki, widząc wielkie jej podobieństwo do Leopolda. Wnuczka urodziła się w styczniu 1940 roku. Było to już po śmierci jej ojca, który zginął w pierwszych tygodniach wojny, pełniąc funkcję wojskowego lekarza. W namiot sanitarny uderzyła bomba, zabijając rannych i personel medyczny. Tym razem Rozalia i ten cios przeżyła, ale uśmiechu na jej twarzy nie było. Pojawiał się tylko wówczas, kiedy miała kontakt z wnuczką. Wjechali w las, który jarzył się kolorami jesieni, a promienie słońca igrały na różnobarwnych liściach. Ten zachwycający widok nie poruszył zbolatego serca Rozalii. Wyjeżdżała z Wilna w nieznane, jak się później okaże, by nigdy do niego nie powrócić.



Zanim...

Zanim rozpocznie się rozmowa
chciałbym przez chwilę побыć w ciszy
może w altanie nad jeziorem
patrzac jak pnie się dzikie wino
lub pod jabłonią w szczerym polu
gdzie jabłka jak maleńkie słońca
a w każdym z nich jest sens ukryty
kiedy spadają tam gdzie trzeba

Zanim zagości ziarno słowa
które było na początku
chcę zebrać myśli, poukładać
by dać świadectwo dniom minionym
mówiąc po prostu i zwyczajnie
co było dobre w nich co nie

Święty nie byłem dobrze wiesz
żyłem jak umiałem
czasem się brałem z życiem za bary
gdy przychodziła taka pora
i odrzucałem, obrywałem
tak jak bywa w każdej walce
ale starałem się iść tak
bym mógł za siebie spojrzeć
ze sobą zawsze w zgodzie
Niczego w zamian nie żądałem
wybacz jeżeli to za wiele
ja tego wcale nie odmienię
bo to jest wszystko co posiadam
Ty lepiej przecież o tym wiesz
że ja już taki pozostanę
Ty mnie wysłuchasz i zrozumiesz
bo jesteś ponad wszystkim... Panie

Wietrze

Gdzie jesteś wietrze co śpiewałeś
w koronach drzew
pobiegłeś za góry za rzeki
teraz nie wiem gdzie szukać ciebie

Zabrałeś ze sobą dym
zgasileś płomień ogniska
żar rozsypał się w pył
spłukały go deszcze

Dziś cisza mieszka na polanie
w strumieniu gwiazdy kąpią się
do świtu
nie słysząc parskania koni
i jakiś dziwnie pusto jest

Nowy wokoło rośnie las
gniazdo wije inny ptak
tabory nie przyjeżdżają
Cyganie nie wędrują

Spadają liście
kolorowe jak w tańcu sukienki
cygańskich dziewcząt

W słońcu jesieni
przędzie się babie lato

Wirują wspomnienia

Na ścieżce

Przystaję na ścieżce
podziwiam lot obłoków i ptaków

nimi nie będę
bom przyziemny
nielot

wkoło płowieją trawy
czerwienieją owoce głogu

ruszam
bo iść trzeba
dalej

jesień jest wszędzie

Las jesieni

Pajęczyny
misternie utkane
ozdobione kropelkami
rosy
rozstawione jak sieci
wśród pni i gałęzi

Dopalały się wrzosy

Modrzewie rozjaśniały
półmrok

Liść po liściu
gubiły brzozy

Pachniało mchami
żywicą
i grzybami
gdy zagłębiałem się

w las jesieni

Wizyta w czytelni

Kwietniowy, sobotni poranek przywitał całe miasto piękną, wiosenną pogodą. Niebo było prawie całkowicie bezchmurne, a promienie ciepłego słońca odbijały się od czerwonych dachów zielonogórskich kamienic. Grzesiu już od czterech semestrów wynajmował kawalerkę na rynku i ze swojego okna mógł podziwiać właśnie takie widoki. Stał i patrzył przez okno, popijając poranną, mocną kawę. Przyglądał się jeszcze nielicznym o tej porze spacerowiczom, którzy przechodzili wokół ratusza i gołębią, które wydłubywały pożywienie spomiędzy szczelin szarego bruku. Po wielu miesiącach zima w końcu odpuściła i takie poranki sprawiały, że znów chciało się żyć.

Zajęcia na uczelni skończyły się już w czwartek po południu, jednak były tak wymagające, że wolne dni spędzał w większości na ślęczeniu nad podręcznikami. Przyjeżdżając i dostając się na swój wymarzony kierunek, nie sądził, że będzie tak ciężko. Od najmłodszych lat uwielbiał historię i jak na razie poświęcił dla niej dość sporo swojego życia. Starał się nie zmarnować czasu i pieniędzy, które zainwestowali w jego naukę rodzice. Pochodził z niewielkiej miejscowości pod Zieloną Górą, a studia w tym mieście były jego życiową szansą. Jeszcze do końca nie wiedział, czym dokładnie chce się zająć po obronie pracy magisterskiej, ale głód wiedzy, jaki go ogarniał, wskazywał, że jego studia mogą się przedłużyć. Myśląc o tym czasami, wcale nie miał nic przeciwko związaniu się dłużej z uniwersytetem. Już teraz miał dość dobre stosunki z wykładowcami i doktorantami, których poznał w czasie ostatnich semestrów. Spotykali się wspólnie na zajęciach, wykładach i seminariach, na których regularnie starał się bywać. Dość często wymieniali też poglądy i informacje mailowo, lub na wspólnym forum. Łączyła ich pasja, której oddawali całą duszę.

Grzegorz dopił kawę i poszedł do łazienki na poranną toaletę. W myślach układał sobie plan zajęć na dzisiejszy dzień. Wieczorem miał spotkać się ze znajomą koleżanką z rusycystyki, wcześniej jednak musiał zrobić podstawowe zakupy i zejść do księgarni. Pozostawało kilka godzin na odwiedzenie biblioteki i zrobienie początkowego rozeznania do ważnego referatu. Historia Zielonej Góry to był konik jednego z jego ulubionych profesorów. Nie raz chwalił się on podczas wykładów swoimi publikacjami na ten temat. Dostał to zagadnienie i wiedział, że musi stanąć na wysokości zadania i zrobić to naprawdę porządnie. Zresztą temat wydawał się dość zajmujący i nie widział przeszkód, żeby się w nim nie zagłębić. To miasto powoli stawało się też jego miastem, więc warto dowiedzieć się o nim coś więcej.

Po kilku minutach wyszedł z łazienki i usiadł na krześle przed komputerem. Sprawdził pocztę i odpisał na kilka pilnych wiadomości. Otworzył jedną z szuflad, w poszukiwaniu ołówka i natknął się na starą, pogniecioną paczkę z dwoma papierosami. Nie palił już kilka miesięcy i zupełnie zapomniał już o tym nałogu. Wyjął jednego i powąchał. Po chwili zakaszał. Od razu przypomniały mu się momenty, w których nie mógł powstrzymać się przed paleniem. Nie, nie zrobię tego – pomyślał, zgniótł paczkę i poszedł do kuchni ją wyrzucić. Zapakował do torby zeszyt z poczynionymi wczoraj wieczorem notatkami, ubrał się i zamknął mieszkanie.

Na dworze było zadziwiająco ciepło, jak na tą porę roku. Na twarzach mijanych ludzi widać było z tego powodu zadowolenie i radość. Nastrój udzielił się również jemu i szedł, uśmiechając się do całego otaczającego świata. Postanowił najpierw odwiedzić swoją ulubioną księgarnię, później pójść do czytelnicy, a wracając zrobić spożywcze zakupy. Z koleżanką umówiony był już wcześniej, więc nie musiał już potwierdzać tego spotkania.

Księgarnia dopiero co otworzyła swoje podwoje, więc Grzegorz był tam zupełnie sam, co mu bardzo odpowiadało. Przywitał się z obsługującą dziewczyną i skierował na dział dotyczący historii. Nienawidził tłumów i przeciskających się klientów, którzy go rozpraszały i irytowali. Starał się więc bywać we wszelkiego rodzaju sklepach w godzinach porannych. Mógł wtedy spokojnie zastanowić i ewentualnie zdecydować na zakup. Przystanął i obejrzał kilka nowości, ale nic go na dłużej nie przyciągnęło. Schylił się więc i zaczął szukać czegoś na najniższej półce, gdzie już nie raz znalazł kilka interesujących pozycji. Wyciągnął kilka książek i zaczął czytać. Niestety, to nie było to, o co mu chodziło. Na jego twarzy odmalował się grymas zniechęcenia. Zaczął więc wędrówkę po innych działach księgarni z nadzieją, że coś wpadnie mu w oko. Romans, obyczaj, coraz bardziej promowany i komercyjny kryminał. Chodził w kółko pomiędzy regałami. W końcu przystanął. A może komiks? Wziął do ręki jeden z zeszytów i zaczął go wertować. Dawno już nie miał do czynienia z tego typu literaturą. Oczywiście w latach młodości czytał wiele komiksów, ale od tamtego czasu, ten gatunek również zmienił się i ewoluował. Ciekawe, ciekawe – mruczał do siebie, przeglądając kolejne kartki.

Po chwili zauważył ruch przy regale po lewej stronie. Przerwał czytanie i spojrzał w tamtą stronę. Przy półkach z fantastyką stała długowłosa blondynka. Niecierpliwie oglądała po kolei każdą pozycję. Miała ładny profil, a jej twarz zdobiły okulary w grubych, pomarańczowych oprawkach. Ubrana była w przewiewne spodnie i buty na niskim obcasie. Złapała kolejną książkę, ale tym razem zatrzymała się na niej chwilę dłużej. Trudno przegapić taką okazję – pomyślał Grzegorz i podszedł powoli do zaczytanej nieznanym.

– *Gra Endera*, klasyka science fiction – odezwał się, uśmiechając jednocześnie.

– Tak? – odparła, ledwo spoglądając na niego.

– Może pomóc w wyborze? Trochę znam się na tym.

– Czytasz fantastykę? – spytała.

– Nawet sporo. Naprawdę mogę ci coś polecić – nie dawał za wygraną.

Dziewczyna w końcu oderwała wzrok od książki i spojrzała mu prosto w oczy.

– Dzięki za dobre chęci, ale powiem ci, że czytasz załosną literaturę.

Grzesia zamurowało i stanął jak wryty. Stał i bez słowa patrzył, jak jego obiekt podrywu bierze książkę z półki, płaci w kasie i w końcu nawet bez spojrzenia w jego kierunku wychodzi z księgarni. Na jego twarzy znów pojawił się grymas i to większy niż kilka minut wcześniej. Nie mógł zaliczyć tego poranka do udanych. W końcu zezłoszczony na siebie złapał przy wyjściu Magazyn „Gazety Lubuskiej”, zapłacił i szybko wyszedł.

Gdy znalazł się na zewnątrz, uspokoił się trochę i po chwili maszerował leniwie, chwytając po drodze promienie ciepłego słońca. Przyszło mu na myśl, że najchętniej przysiadłby na jednej z wielu ławek i oddał się w pełni delectationowi dzisiejszej pogody. Jednak próżniactwo nie było w jego naturze i były to tylko chwilowe impulsy. Zdawał sobie sprawę, że musi popracować i przyłożyć się do zadanego referatu. Po kilku minutach stał już w drzwiach budynku miejskiej biblioteki.

Wszedł do holu i podszedł do znajdującej się po lewej stronie szatni. Oddał kurtkę i torbę, wyjmując z niej wcześniej notatniki. Odwrócił się i spojrzał na znaną mu już przestrzeń, która dziś zastawiona była stelażami. Podszedł z zainteresowaniem i zaczął oglądać prezentowane zdjęcia. Często spędzał tu kilka minut nad różnego rodzaju wystawami. Zazwyczaj były to fotografie bądź rysunki mniej lub bardziej znanych autorów.

Po chwili spojrzał na zegarek i postanowił jednak przerwać oglądanie. Czekano na niego dość sporo pracy i nie mógł dziś pozwolić sobie na dłuższą ucztę duchową. Postanowił w myślach, że zajdzie tu w tygodniu i obejrzy zdjęcia jeszcze raz.

Skierował się więc żwawo na pierwsze piętro, na którym znajdowała się czytelnia. Przywitał się z bibliotekarką, którą znał już z widzenia i która często zza biurka posyłała mu namiętne spojrzenia. Gdyby nie dzieląca ich spora różnica wieku, pewnie już dawno zaprosiłby ją na kawę. Z uśmiechem odebrał od niej zamówione wczoraj materiały i rozejrzał się po sali. Na szczęście nie było dziś wielu osób i jego ulubione miejsce było wolne.

Chwilę później sadowił się przy biurku, które usytuowane było na końcu, tuż przy oknie. Miał tutaj dobre oświetlenie z okien po lewej stronie i pełne spojrzenie na to, co dzieje się w całym pomieszczeniu. Rozłożył notatki i zaczął wertować pierwszą z książek.

Praca pochłonęła go całkowicie i pierwszą przerwę zrobił dopiero po dwóch godzinach, gdy musiał pójść do toalety. Przy okazji napił się też kupionej w automacie, mocnej i gorzkiej kawy. Po piętnastu minutach był już z powrotem przy biurku.

Po czterech godzinach spędzonych na intensywnym studiowaniu podręczników poczuł lekkie zmęczenie i znużenie. Tekst zaczął mu się lekko rozmazywać, a myśli biegły już wolniejszym torem. Wyprostował się na krześle i przetarł zmęczone oczy. Poczuł też lekki głód, ale postanowił, że zje coś później. Musiał maksymalnie wykorzystać dzisiejszą wizytę w czytelni. Po chwili wrócił więc do pracy.

Czuł się jednak zmęczony i zupełnie nie szło mu wyszukiwanie potrzebnych informacji. Przewracał kolejne strony ociężale, zmuszając się do intelektualnego wysiłku.

Swoją zmęczoną wzrok zatrzymał dłużej, na stronie jednej z książek, która przedstawiała rycinę z czarownicami. Jej cierpiący i krzyczący wyraz twarzy wydawał mu się nieziemsko prawdziwy. Wpatrywał się długo w rysunek, wyobrażając sobie to wydarzenie. Czasy średniowiecza, kamienne zamki, rycerze i wojny, w których uczestniczyli. Słyszał też odgłosy kajdan, palącego się stosu i torturowane kobiety.

Nie wiedząc kiedy, stracił poczucie rzeczywistości. Ogarnęło go zmęczenie i senność.

Obudził go dźwięk zepsutego startera w jarzeniówce, która paliła się nad jego biurkiem. Spojrzał zaspanym wzrokiem na czytelnię. Była pusta. Nie było śladu po bibliotekarce ani po żadnym czytelniku. Zauważył też, że za oknem zrobił się już wieczór. Trochę wystraszony wyjął z kieszeni telefon. Wcisnął szybko przycisk zasilania. Wyświetlacz pozostawał jednak wciąż zgaszony.

– Co jest?! – krzyknął, ściskając ze złości komórkę.

W tej samej chwili zgasły wszystkie światła w pomieszczeniu. Zapanował mrok, który rozświetlały tylko uliczne lampy, znajdujące się na zewnątrz budynku. Nagle całe pomieszczenie nabrało złowrogiego wymiaru. Cienie przeskakiwały pomiędzy biurkami, tworząc niespotykane figury. Grzesiu zamarł na krześle, nie wiedząc co zrobić. Patrzył w ciemność, wsłuchując się w odgłosy wciąż działającej wentylacji.

W końcu powoli wstał i powoli zaczął iść w stronę wyjścia. Cały czas trzymał się lewej strony, przy oknach, skąd padało odrobinę światła. Czuł wewnątrz, jak wzbiera w nim strach i panika. Zupełnie nie wiedział, co się dzieje i co ma zrobić.

Znalazł się w końcu przy biurku bibliotekarki, które znajdowało się w centralnej części czytelni. Nie wiedział, dlaczego to robi, ale obszedł je ostrożnie, a po chwili usiadł przy nim. Poruszył myszkę i wbił wzrok w wybudzony ekran. Ktoś przeglądał jego biblioteczny profil, bo w systemie widniały wszystkie jego prywatne dane. Co tu się dzieje? To wcale nie jest śmieszne – pomyślał, spoglądając jeszcze raz na pogrążoną w mroku czytelnię. Po chwili zauważył w rogu biurka stacjonarny telefon. Złapał szybko za słuchawkę, ale usłyszał w niej tylko odgłos swojego przyspieszonego oddechu. Ze złości zaczął naciskać po kolei wszystkie cyfry telefonu, aż w końcu rzucił słuchawkę na biurko.

Czuł ogarniającą go niepewność i strach. Znajdował się sam, w pogrążonym w ciemności budynku, gdzie nie działał żaden telefon. Za oknem zapadła już noc, a on nie miał ochoty błąkać się po omacku, w poszukiwaniu wyjścia. Wszystko wyglądało teraz zupełnie inaczej niż za dnia, kiedy pomieszczenia wypełnione były przez krzątających się ludzi. Puste i ciemne przestrzenie przerażały swoją pustką i ciszą. Raz po raz słyszał odgłosy z rur i żyjącego swoim życiem budynku, które wcale nie były przyjemne.

Przypomniało mu się dzieciństwo, które spędził, mieszkając w bloku. Wtedy, zawsze przerażały go spacer po piwnicy, gdzie zwykle nie było oświetlenia. Podobnie jak teraz słysząc było w niej wodę przepływającą w instalacjach wodnych i powietrze świszczące w tunelach wentylacyjnych. Największy strach budziło jednak spotkanie na swojej drodze szczurów. Pomimo, że co kilka metrów były rozsypywanie trutki, spotkanie z tym stworzeniem nie należało do rzadkości.

Teraz zdawał sobie sprawę, że raczej tych stworzeń nie spotka, ale ogarnęło go podobne uczucie. Nie wiedział, czego może się spodziewać. Przez ciało przeszedł mu dreszcz. Wzdrygnął się, siedząc nadal na fotelu i myśląc, co ma dalej zrobić.

Po kilku minutach wstał i skierował się niepewnym krokiem w stronę wyjścia. Otworzył drzwi i znalazł się na korytarzu. Od razu zauważył, że z parteru wydobywa się przytłumione światło. Oznaczało to, że ktoś musi tam być i w końcu pomoże mu się stąd wydostać. Zaczął ostrożnie i powoli schodzić z piętra, trzymając się dla pewności poręczy.

Będąc na ostatnich stopniach schodów, usłyszał odgłos pracującego urządzenia. Gdy znalazł się już na parterze biblioteki, zobaczył oddaloną o kilka metrów kobietą sylwetkę, ubraną w niebieski roboczy fartuch. Postać była odwrócona do niego plecami i leniwie, jakby od niechcienia trzymała lewą ręką rurę od wielkiego, przemysłowego odkurzacza. Grzesiu powoli zbliżał się do niej, czując, że cała ta sytuacja jest dość dziwna. Po chwili znalazł się tuż za nią.

– Przepraszam panią – odezwał się na tyle głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Kobieta odwróciła się nagle, ale zupełnie nie była zaskoczona jego widokiem. Dopiero teraz dojrzał jej twarz. To była bibliotekarka, którą spotykał często, przesiadując w czytelni i która dziś wydawała mu książki. Na twarzy miała ciemny, wyzywający makijaż, kontrastujący z krwistą czerwienią na ustach. Uśmiechnęła się, ukazując swoje równe i białe zęby.

– Witaj, Grzesiu – odezwała się powoli, sącząc namiętnie słowa.

– Co tutaj się dzieje? Dlaczego nie ma światła? – zaczął pytać zdeorientowany.

Kobieta nie odpowiedziała od razu, tylko rzuciła rurę odkurzacza na podłogę, pozbywając się jej, jak dziecko niechcianej zabawki. Dopiero teraz zauważył, że w prawej ręce wciąż trzyma książkę. Włożyła zakładkę i zamknęła ją. Zdążył dojrzeć, że była to *Czarodziejka z Kastylii* Szaloma Asza.

– Nie wiem, co się dzieje. Ja tu tylko sprzątam. Boisz się? – odparła w końcu, patrząc mu prosto w oczy.

Grzesiu poczuł jej świdrujący wzrok w całym swoim wnętrzu. Był uwodzicielski, ale zarazem zimny i przerażający. Po raz kolejny poczuł strach, który zupełnie go unieruchomił.

– Zawsze miałam na ciebie ochotę. Nikogo tu nie ma, możemy to zrobić nawet tutaj. Chyba, że ci się nie podobam? – pytała nadal bibliotekarka.

Grzesiu stał osłupiały i całkowicie zdeorientowany. Gdy kobieta zbliżyła się, poczuł jej kwaśny i odrzucający zapach, przypominający środki na owady, którymi latem spryskiwał sobie skórę. Skrzywił twarz i zrobił mały krok do tyłu.

– Nie chcesz mnie?! – krzyknęła, a uśmiech zniknął z jej oblicza. Rzuciła trzymaną w ręce książkę na podłogę.

Nagle z jej pełnych ust zaczęły wydobywać się czerwone, długie, oślizgłe robaki. Najpierw pojedyncze, a za chwilę całe stada, które powoli przemieszczały się w górę twarzy. Gdy znalazły się wokół oczu, zaczęły zjadać jej powieki, dostając się szybko do gałki ocznej i oczodołów. Krew sączyła się po jej całym ciele, spływając i tworząc na podłodze sporą kałużę.

– Gdzie jesteś? Nic nie widzę! – krzyczała kobieta, próbując złapać go rękoma.

Grzesiu szybko odszedł kilka kroków, nachylił się i wymiotował. Nie był w stanie powstrzymać swojego obrzydzenia. Po chwili bibliotekarka była znów przy nim. Złapała go od tyłu obydwoma rękoma za szyję i zaczęła dusić. Niewielkie dłonie okazały się wyjątkowo mocne i z niebywałą siłą oplótły gardło chłopaka.

Wczepiła w niego swoje długie, czerwone paznokcie. Ten poczuł, jak traci powoli przytomność. Przed oczyma widział dziwne, białe, pulsujące gwiazdy. Zdał sobie sprawę, że jeśli nie zdobędzie się na jakieś działanie, to będą jego ostatnie chwile.

W końcu, ostatkiem sił zdołał poluznić ucisk i wstał z powrotem na nogi. Jego twarz była sina, a oczy nabrzmiałe i wyłupiaste. Złapał rękoma za głowę, uczeptionej od tyłu postaci i zaczął ją potrząsać z całych sił. Stwór powoli tracił swoją energię, a jego ciało nie przypominało już człowieka. Robaki żerowały w szybkim tempie skórę twarzy i pozostałe części ciała.

Po kilku minutach walki Grzesiu zdecydował się na ostateczne uderzenie. Zrobił zamach i łokciem prawej ręki zadał silny cios w brzuch. Postać zachwiała się na moment i uwolniła ucisk. Na to właśnie czekał. Zerwał się z miejsca i pobiegł w stronę najbliższego pomieszczenia. Niestety, drzwi do czytelnicy prasy, oddalonej o kilka metrów były zamknięte. Odwrócił się i zobaczył, jak jego prześladowczyni otrząsa się i kieruje w jego stronę. Rzucił się więc w stronę wypożyczalni ogólnej, która znajdowała się po jego lewej stronie. Złapał rękoma uchwyt przezroczystych drzwi. Te również były zamknięte. Zupełnie opadł z sił i nadziei, że uda mu się z tego wyjść cało. Odwrócił się plecami do drzwi i zamknął oczy, w oczekiwaniu na swój koniec.

Ktoś trącił go za ramię. Otworzył powoli zaspane oczy. Stała nad nim bibliotekarka-potwór i po raz kolejny uśmiechała się do niego. Przestraszył się, nie wiedząc, o co chodzi.

– Proszę pana, za pół godziny zamykamy – powiedziała cicho i odeszła.

Grzesiu rozbudzał się, powoli rejestrując otaczającą go rzeczywistość. Czytelnia była w pełni oświetlona, a w niej jeszcze kilka osób kończących swoją pracę. Wyciągnął komórkę i włączył ją. Miał dwie wiadomości od koleżanki, z którą był umówiony na wieczór. Jak zwykle, przełożyła o pół godziny spotkanie. Pozostało mu jeszcze sporo czasu, żeby zrobić zakupy i podejść w umówione miejsce. Zebrał książki z biurka i ruszył w stronę wyjścia. Bez słowa położył książki i nie patrząc na bibliotekarkę, wymamrotał przy wyjściu „do widzenia”.



Pomyśl...

Więc...
zanim mnie odwiedzisz,
zastanów się,
proszę,
by ta wizyta nie była bolesna.
Za każdym razem
gorzej je już znoszę,
a ty
nie będziesz mogła
w końcu odejść,
przestać.

To jest, jak
taniec w klatce
dwóch motyli,
co, pyłek tracąc barwny
łamią sobie skrzydła.
Jakbyśmy
możność lotów
wszystką powoli tracili,
a jasność w naszych wnętrzach
ciemniała i stygła.

Proszę więc,
pomyśl,
zanim do mnie przyjdiesz,
by ta wizyta nie była cierpieniem.
Nim drzwi otworzysz,
nim staniesz tuż przy mnie,
bo
przecież w ciebie
nie mogę,
nigdy się nie zmienię.

Platonicznie...

Codziennie chodzę tą moją uliczką.
Ona się zmienia, ja się zmieniam...
Nawzajem przyglądamy się naszym obliczom;
znikają bezpowrotnie gdzieś w czasoprzestrzeniach.

I jej, i mi przybywa nowych zmarszczek,
i mi, i jej cera szarzeje, czas ją psuje;
łypimy z niepokojem: ja na nią, ona na mnie,
gdy peeling podeszwami zbyt rzadko jej funduję.

Ona ma szczęście! Starczy jej nieco szminki,
fluid i cienie, by znów jaśnieć wystawnie.
Ja, idąc, rozpamiętuję przeszłe, ludzkie uczynki;
wciąż przypominam sobie, jak bywało z nią dawniej.

I nie wiem już doprawdy, kto jest bardziej czyj;
ja jej będę jedynie, ona na zawsze moja.
Wystepowuję bez przerwy, spacerując – Ty żyj!
Ona mi odpowiada, zwłaszcza nocą – Kto?! Ja?!

Rozmawiamy ze sobą, jak starzy kochankowie –
prawie Romeo i Julia, tyle że nie z Werony.
Wśluchuję się uważnie, co też mi dzisiaj opowie –
czy wciąż darzy uczuciem, choć już nie tak szalonym?

Szeptuchy w Czeremsze

Czeremcha to duża wieś w powiecie hajnowskim, tuż przy granicy z Białorusią (nie mylić z Czeremchą leżącą przy granicy ze Słowacją, opodal przejścia granicznego w Barwinku). Czeremcha, do której się udajemy, to wieś z tradycjami carskimi. Zawdzięcza swą rozbudowę carowi Rosji, który uczynił w tym miejscu duży węzeł kolejowy. Do jego obsługi ściągnięto tutaj ludzi z całej okolicy, dojeżdżali nawet z odległego o półtorej godziny drogi Białegostoku. W najlepszym dla stacji momencie pracowało tutaj 2000 ludzi. „Car założył kolej w Czeremsze, wszystko rozbudował, a Polska kapitalistyczna zniszczyła” – powiedział przez telefon Mirek Samosiuk, który nas tutaj zaprosił.

Z Puław do Czeremchy okazało się całkiem blisko. Myślałem, że trzeba jechać przez Warszawę, Białystok i Hajnówkę, a tymczasem znalazłem znacznie krótszą drogę – przez Łuków i Siedlce. Po drodze mijaliśmy takie egzotyczne nazwy jak Mordy, Niemojki, Nurzec. Kiedy byłem po raz pierwszy na Podlasiu, w 2011 roku, w Sokółce, też tak się zachwycałem nazwami tutejszych miejscowości. Choćby Krynki, sama poezja. Żył tutaj wybitny białoruski pisarz, zmarły niedawno Sokrat Janowicz.

Do Czeremchy docieramy w mroźną marcową noc. Dworzec jest imponujący, chociaż wygląda na opuszczony. Pociąg dalej nie pojedzie. Kiedyś jechał na Białoruś, ale Białorusini rozebrali tory. Prawdziwy koniec Europy. Idziemy gigantycznym pomostem nad torami. Z góry, w dole, widać wiele wagonów. W większości zardzewiałych, zniszczonych. Kierujemy się do Gminnego Ośrodka Kultury, na zaproszenie którego tutaj przyjechalśmy. Trzeba zgodzić się z tym, co powiedział przez telefon Mirosław Samosiuk, mąż dyrektorki GOK – ośrodek leży w samym centrum

osady i stanowi tutaj ważny punkt odniesienia, nie mniej ważny niż pobliskie kościół i cerkiew. GOK co roku, od prawie dwudziestu lat, organizuje Festiwal Wielu Kultur i Narodów „Z wiejskiego podwórza”. Piękna nazwa. Świetne miejsce, żeby następnego dnia pokazać tutaj wiejski film, jakim jest *Księżstwo*.

W drzwiach do ośrodka grupka roześmianej młodzieży. Dobrze, że stoją tutaj, a nie w wiacie dworca. W GOK-u działa jedyna kawiarenka we wsi, ma być też pizzeria. GOK niedawno został wyremontowany, za pieniądze z Unii, które zmieniły polską, a zwłaszcza podlaską wieś. Tutaj nie zostały zmarnowane. Kwaterujemy się w pokoju gościnnym, jednym z wielu, w których dom kultury gości uczestników swych imprez folkowych i nie tylko, a także wynajmuje robotnikom za niewielkie kwoty, bo z agroturystyką tutaj ciągle słabo, mimo że okolica piękna, „pogańsko-prawosławna”, cokolwiek to znaczy. Słyszeliśmy co nieco o szeptuchach, podlaskich wiedźmach, trzeba się mieć na baczności.

W przytulnym pokoju czeka na nas laptop podpięty do internetu. Pospiesznie sprawdzam wynik meczu Polska–Ukraina, który właśnie rozgrywany jest na Stadionie Narodowym w Warszawie – o awans na mundial, który odbędzie się za rok w Brazylii. Spodziewam się kłopotów, pamiętając, jak dobrze Ukraińcy grali podczas zeszłorocznego Euro (pechowy mecz z Anglią) i jak kiepsko grali Polacy (dwa wymęczone remisiki z Grecją i Rosją, bezradność z Czechami). Ta bezradność zdaje się być kontynuowana przez ekipę prowadzoną przez Waldemara Fornalika. Polacy już do przerwy przegrywają 3:1. Oby tylko nie było pogromu, martwię się. Ostatecznie przegrywamy 3:1 i bardzo sobie utrudniamy

drogę do Brazylii. Tylko po co tam jechać w takiej dyspozycji? Dlaczego chłopaki z Borussii z łatwością niszczą potężny Shachtar Donieck, a dostają od tych samych piłkarzy baty jako reprezentanci Polski? Coś tu nie gra. Ktoś tu nie gra.

W Czeremsze prawie wszyscy trzymają za swoimi... Ukrainą. Większość tutejszych to Ukraińcy z pochodzenia, prawosławni, chociaż jest też kościół katolicki. Dominują nazwiska o końcówce -uk, Kowalczuk, Lewczuk, Sawczuk, czy nasi gospodarze, liderzy zespołu Czeremsyna – Samosiuk. Trudno jednoznacznie stwierdzić – Białorusini czy Ukraińcy? Bo czy ktoś wie, kto to prawdziwy Białorusin? Aż 80% słów języka białoruskiego jest tożsamyh ze słowami ukraińskimi. Mój znajomy poeta i prozaik białoruski, Siarhiej Pryłucki, gdy miał kłopoty w swoim kraju (na Białorusi to częste zjawisko), wyemigrował do Kijowa, gdzie z powodzeniem pracował dla ukraińskich gazet, pisząc po ukraińsku.

Myślę o piłkarzach z Ukrainy. Znam jednego z Puław – Nazara Lituna, wychowanka Karpat Lwów – grałem z nim często. Facet trenuje dwa razy dziennie, to na Ukrainie standard. Jak Andrij Szewczenko poszedł z Dynama do Milanu, też sobie zażyczył drugi trening, bo Włosi ćwiczyli tylko raz dziennie. Może naszym tego brakuje? Dlatego nie starczyło im ogrania i sił na mecz z Ukrainą?

Zjadamy kolację czekającą w lodówce, przygotowana przez gościnnych gospodarzy (Samosiuk pojechał do Warszawy na mecz) i kładziemy się spać, bo jesteśmy z żoną zmęczeni podróżą, a następny dzień będzie pracowity.

Zaczynamy od śniadania – Mirek zawozi nas do swego domu. To prawdziwa pracownia artystów.

Gdy chwalimy dom, Mirek mówi, że pracuje na dobrobyt na czterech etatach – jako kolejarz w Polskich Liniach Kolejowych, prezes klubu Kolejarsz Czeremcha, basista folkowego zespołu Czeremsyna oraz szef Stowarzyszenia Miłośników Folkloru. Jego żona także gra i śpiewa w Czeremszynie, którą założyła, oraz jest dyrektorką domu kultury, organizuje również festiwal „Z wiejskiego podwórza”. Cóż za pracowitość jak na ludzi Wschodu, łamanie stereotypów funkcjonujących w Polsce.

Jemy lekkie śniadanie – zupa grzybowa z prawdziwków zebranych jesienią w pobliskim lesie, należącym do otuliny puszczy Białowieskiej – czasem się zdarza, że zapuszczają się tutaj żubry.

Rozmawiamy o tutejszej młodzieży.

– Młodym się tutaj nudzi – mówi Mirek. – Najgorsze są młode dziewczyny, jeszcze gimnazjalistki. Dużo się teraz w Czeremsze buduje, za unijne pieniądze. Przyjeżdża sporo robotników z całej Polski. Dziewczyny się puszczają. Z nudów i dla pieniędzy.

Na warsztaty scenariuszowe przyszło sześćcioro dzieciaków. Opowiedziałem im trochę o swojej drodze w świat z małej świętokrzyskiej wsi, jeszcze mniejszej niż ich wioska, a potem – o sztuce pisania scenariuszy. Następnie kazałem napisać swój pomysł na scenariusz filmu, którego akcja rozgrywałaby się w Czeremsze bądź okolicach. Taki synopsis na maksymalnie półtorej strony. O dziwo nie mieli pytań, chociaż jak wcześniej zapytałem, ile może kosztować produkcja filmu w Polsce, to jeden z dzieciaków odpowiedział, że 100 zł... Scenarzystów współczesnych też nie znali, ale tych w Polsce nikt nie zna (niektórzy kojarzą Łepkowską). Lubię takie warsztaty, bo szukam talentów do rozwijania. Ktoś kiedyś poświecił



swój czas Justynie Kowalczyk i Adamowi Małyszowi, dzięki czemu mamy w Polsce sporty zimowe. Może ja rozwinę w Polsce scenarzystów? Rocznie mam między 70 a 100 takich spotkań, zwykle w małych miejscowościach. Niekiedy zaskakują pomysłami. Najlepsze mieli we wsi Waksmund pod Nowym Targiem. Na 15 aż sześć tekstów było rewelacyjnych.

Gdy pisali, zwiedzałem galerie. Dom kultury ma się czym pochwalić. Tutaj upamiętnia się lokalne tradycje. Kultuwuje stare, ginące zwody jak tkactwo, garncarstwo, wypłacanie ze słomy. Organizowane są warsztaty ze starszymi ludźmi, którzy potrafią się tym zajmować, żeby przyuczali młodych, wydaje się specjalistyczne publikacje dotyczące znikających zawodów.

Rozmawiam z dziećmi. Trochę im się tutaj nudzi, ale da się żyć. Szkoda, że nie ma liceum i trzeba dojeżdżać do Bielska Podlaskiego albo Hajnówki. Albo iść tam do internatu. Większość z tej szóstki ma nazwiska na -uk. Ale jeden chłopak nazywa się Navarro.

– Mój ojciec jest rodowitym Włochem – wyjaśnia. – Matka pojechała tam do pracy i wróciła ze mną. Chłopak zajmuje się hip-hopem. Dyrektorka domu kultury pomogła mu wydać dwie płytki. Mówię, że jak byłem w jego wieku, wiedziałem, że z mojej rodzinnej wsi wyrwę się tylko jak będę dobrym sportowcem, albo jak będę się uczył. Albo miał jakieś hobby, które stanie się moją pracą. Słucha mnie uważnie. Mimo że ubrany na hip-hopaka, jest inteligentny. Píše pomysł o wojnie gangów w Czeremsze, pomiędzy osiedlami. Wyróżniam jego tekst oraz drugi, gimnazjalisty, o powrocie Hitlera do władzy. Albo hip-hop, albo fantastyka. W większości małych wsi i miasteczek dzieciaki piszą o depresji, niechcianych ciążach, samobójstwach, wyjazdach rodziców do pracy za granicą.

Wręczam dzieciakom dyplomy i zbieram się szybko, bo za pół godziny mam trening w miejscowym Kolejarzu Czeremcha. Przyjeżdża Mirek, który jest jego piłkarzem, a także prezesem. Opowiada o swojej przygodzie z piłką.

– Kiedyś byłem w technikum w Warszawie. Przez półtora roku grałem w Polonii Warszawa, w juniorach. Chcieli, żebym poszedł do seniorskiej drużyny.

Wtedy się wypiąłem, powiedziałem, że wolę grać w Kolejarzu. Ale wiem teraz, że po prostu to była wymówka, strach przed tym, że sobie nie poradzę.

Szatnia Kolejarza mieści się – a jakże by inaczej, w przypadku klubu kolejowego – w wagonie, zaadaptowanym na potrzeby zawodników. Jest podniszczony, ale jeszcze w dobrym stanie. Podzielony na dwie szatnie, dla gości i gospodarzy. Brakuje WC i pryszniców.

W środku siedzi kilkunastu młodych chłopaków i około 50-letni mężczyzna, trener. Na dworze kilkunastopniowy mróz. Boisko jest duże, są trybuny, pamiętające znacznie lepsze czasy. Przypomina mi się mój OKS Opatów.

– Kiedyś mieliśmy tutaj IV ligę, obecnie byłaby to III liga... – mówi Samosiuk. – Przeszedłem z tą drużyną od B-klasy, wszystkie szczeble. Dwa lata temu zostałem grającym prezesem. Załatwiłem chłopakom nowe dresy, mamy nawet torby treningowe z logo drużyny.

Rzeczywiście, tego brakuje w niejednym zespole z wyższych lig.

Mirek przedstawia mnie kolegom – że gram w Reprezentacji Polskich Pisarzy. Patrzą nieco podejrzliwie, jak niedawno patrzyli na mnie koledzy w MKS Puławiak Puławy.

– Powiedz im, że grałem kiedyś w Koronie Kielce, w kilku innych klubach – zachnąłem się, żeby przed młodymi nie wyjść na mięczaka.

– Nie chcę ich straszyć przed treningiem... – śmieje się Mirek.

Podczas rozgrzewki ucinam sobie z kilkoma z nich pogawędkę. Że kiedyś dla mnie piłka była szansą na ucieczkę ze wsi. Opowiadam o kontuzji. Mówię o Jacku Krzynówku, byłym zawodniku m.in. Bayeru Leverkusen i reprezentacji Polski, który jeszcze jako 18-latek grał w B-klasowym LZS Chrzanowice. Przed nimi też szansa, tylko trzeba próbować.

Zaczynamy grę. Trochę niepokoję się o swoją formę, bo w tym roku mało trenowałem – jest jeszcze okres zimowy, głównie biegam po lesie. Ostatni mecz grałem w tydzień wcześniej, na zaśnieżonym, oblodzonym orliku. Zdobyłem chyba 11 bramek, a graliśmy do 30 goli, z młodzieżą KS Góra Puławska. Tutaj też radzę sobie przyzwoicie. Przegrywamy 10:7,

ale zdobywam 4 gole, biorę udział w każdej akcji. Uczę tych młodych, z którymi gram, jak mniej kiwać, grać na jeden kontakt, co w takich warunkach jest naprawdę trudne. Nabierają do mnie respektu – jak do piłkarza, nie do pisarza.

Po treningu Mirek odwozi mnie do domu kultury, gdzie biorę szybki prysznic. I znowu do gościnnych Samosiuków – na bliny, bardzo mi smakują. Przy obiedzie słuchamy muzyki zespołu Czeremszyńska, który gra ludową muzykę ukraińską, określającą tożsamość narodową ludzi, którzy tutaj żyją. Bo obywatelstwo mają polskie, ale większość deklaruje narodowość ukraińską. Jak był mecz Polska–Ukraina o awans na mundial w Brazylii, tutaj kibicowano Ukrainie.

Staje się dla mnie jasne, jak bardzo muzyka tego zespołu pomaga w podtrzymywaniu świadomości własnych korzeni wśród lokalnej społeczności. W każdym regionie Polski powinni znajdować się tacy animatorzy kultury, jak liderująca Czeremszyńska rodzina Samosiuków. Są to ludzie z pasją i pomysłami, którzy pragną zachować i upowszechniać tradycję, kulturę, obrzędy, umiejętności i to, co najciekawsze zostało w danym miejscu.

Często do rdzennej, chociaż i tak już bardzo przetworzonej kultury, która może się przejawiać w sztuce czy muzyce, animatorzy dodają swoje inspiracje i fascynacje podobne w swoim charakterze do obrzędów z innych regionów świata. Najwyraźniej widać to w muzyce.

Muzyka ludowa, tak znakomicie przyswojona przez czeremszyńskich wykonawców, miksuje się w swych aranżacjach z muzyką węgierską i huculską, a nawet afrykańską i azjatycką (Czeremszyńska gościnnie występowała w Nepalu i stąd inspiracje).

Muzycy wybierają motywy przyswajalne dla ucha i dostosowane do możliwości wykonawców. Niekiedy zdarza się, że instrumenty zapożyczone z innych, odległych obszarów kulturowych (koboz albo djembe), na których opracowany został dany utwór, świetnie wkomponowują się w polską muzykę ludową, odnajdując swoje brzmieniowe podobieństwo.

Myślę, że mimo powszechnej globalizacji, kultury różnych regionów świata są tak różnorodne, że z pewnością nie tracą swej wyjątkowości. Dlatego tak ważne jest, aby jak największej liczbie młodych osób przekazać tradycję. Możemy dokonywać tego właśnie dzięki takim festiwalom jak odbywający się rokrocznie w Czeremsze „Z wiejskiego podwórza”. To właśnie podczas takich spotkań twórców, dzięki muzyce, sztuce, koncertom, przekazywaniu umiejętności poprzez warsztaty, dokonuje się transmisja treści kultury ludowej. Niebagatelną rolę w promowaniu rodzimej kultury odgrywają także lokalne media, takie jak radio i telewizja.

Należałoby się uczyć od naszych wschodnich sąsiadów – Ukraińców (tych, którzy niedawno pokazali nam, jak się gra w piłkę nożną). Tam muzykę tradycyjną, ludową czy też folkową, można usłyszeć w radio, w wielu knajpkach, a w dyskotekach gra się utwory rodzimych wykonawców. Dlaczego u nas (myślę o Kielecczyźnie) tak nie jest? Czyżbyśmy się wstydziли własnych korzeni? Granie kawałków spod Świętego Krzyża na kieleckim deptaku byłoby obciachem?

Wychowałem się na muzyce kieleckiej – chcąc czy nie chcąc. Mój ojciec był fanem przyśpiewek „Oj dana, oj dana”. Słuchaliśmy tej muzyki z kaset i radia – bodajże w niedzielę Polskie Radio Kielce emitowało kawałki kapel ludowych z okolic Świętego Krzyża.



Ta muzyka musiała się gdzieś we mnie zakorzenić, zbudować świętokrzyską tożsamość. Nie znam kieleckich strojów i obyczajów, bo z tymi już niewielki miałem kontakt, znam muzykę.

Kieleccy pieśniarze śpiewają o sprawach powszechnie znanych, najchętniej o miłości – tej spełnionej i tej nieszczęśliwej. Ale dużo w ich pieśniach także o rodzinnej ziemi i ważnych dla niej wydarzeniach. Ludowe pieśni przywołują całe obrazy, które dzięki muzyce zapadają w pamięci. W różnych fazach życia wracają one jak refren. *Wszystko się żytko zazieleniło, Rozszumiały się wierzyby, Wesela nie będzie* – oto tylko niektóre tytuły piosenek, które zawierają obserwacje zbierane przez kielecki lud przez pokolenia, przetworzone na muzykę.

Gdy wyruszyłem spod Świętego Krzyża w świat, tylko kielecka muzyka we mnie pozostała. Starałem się o niej zapomnieć, odrzucić, ale do mnie wracała. Bo odrzucając ją, odrzuciłbym ojca i matkę, i całe świętokrzyskie dzieciństwo. W końcu zrozumiałem, że najważniejsze jest to, żeby nie zatracić siebie i wiary w to, że nasze, to znaczy kieleckie jest dobre. To się liczy najbardziej. Żeby w głowie zostało choćby kilka nut z kieleckiej muzyki.

Następnie jedziemy na pokaz *Księstwa*. Jest już 20.00. trochę czuję się zmęczony, ale bywało gorzej. Na przykład jechałem całą noc do Wrocławia, a stamtąd na spotkanie na 10.00 do Pieszyc pod Dzierżoniowem. O 16.00 już byłem na pokazie *Księstwa* w bibliotece Dolnośląskiej, a o 18.30 w bibliotece w Wiszni Małej. O 22.45 wracałem już autobusem do Puław. W domu byłem około 5 rano. Trzy godziny snu i o 8.00 jechałem pod Kielce, do Końskich, na spotkanie z młodzieżą. Takie eskapady zdarzały mi się często, trzeba mieć kupę zdrowia, żeby w dzisiejszych czasach móc być pisarzem.

Przychodzi ze 40 osób, w różnym wieku, co jak na tak małą miejscowość, i w dodatku weekend, jest dobrym wynikiem. Nieraz w Warszawie miałem trzech-czterech czytelników. Ale bywało też lepiej – raz w Wąchocku przyszło ponad 200 osób. Ale to dlatego, że poprzedniego dnia byłem gościem *Teleexpressu*. Rozmawiam z człowiekiem, który prze-

niósł się tutaj za żoną spod Sandomierza, jest moim krajanem. Widzi tutejszych ostrzej od nich samych, ale jest nimi zachwycony. Jedna ze staruszek opowiada mi na korytarzu, jak się przygotowuje stomę do wyplatania koszyków.

Zapowiadam film i jedziemy zwiedzać okolicę – *Księstwo* trwa prawie 2 godziny, jest czas, żeby obejrzeć kilka cerkwi w okolicy, jechać na przejście graniczne.

Najbardziej imponują mi cerkwie, zwłaszcza te stare, z XVII wieku. Odnowione za ułojną kasę.

Potem jedziemy pogadać z miejscową wiedzmą – szeptuchą. Szeptuchy pomagają ludziom od setek lat, nie pobierając za to żadnych opłat, a jeżeli uzdrawiany uprze się by wynagrodzić im pracę, zgadzają się z oporami na symboliczny gest. Posiadają ogromną wiedzę na temat zielarstwa, którą przekazują z pokolenia na pokolenie, lub wybranej przez siebie osobie. Zdarza się, iż wiedza ta przekazywana jest także innym, którzy wykazują chęci zajęcia się tym rzemiosłem.

W skład wyposażenia takiej wiedźmy wchodzi głównie: świeca gromniczna święcona podczas Święta Gromnic oraz kłaczki lnu przypalane jej ogniem. Kłaczki te zwane są „lubczykami” od rosyjskiego słowa „liubow”, czyli miłość. Do obrzędów używane są także suche liście topoli, lipy i mięty. Wyjmowane są z bukietu święconego w cerkwi na Święto Jana Chrzciciela, siódmego dnia lipca. Babki są nie tylko lekarkami, lecz mogą też odczyniać lub oddalać uroki. Jednym ze sposobów oddalania uroków jest zaszywanie w ubrankach dziecięcych wężelka ze święconą solą i gałązką z drapaki, czyli miotły z brzoźowych witek. Innym sposobem jest przypinanie agrałki lub broszki, lub zakładanie kaftanika na lewą stronę. W przypadku gdy dziecko wzbudza zachwyty i jest zbyt długo chwalone, należy pomyśleć taki odczyn: „sól w oczy a brzoźową miotłę w bok na cały rok”.

Podjeżdżamy przed chałupę szeptuchy – stoi przed nią cały ciąg nowoczesnych aut na numerach z Warszawy i Białegostoku. I tak to tradycja miesza się w Czeremsze z nowoczesnością.

Autobus

Na wzniesieniu nagość
owinięta prześcieradłem
na dole w ciemnościach
chodzą ludzie w świetle
widać tył autobusu
do którego nikt nie zdążył
wsiąść
To jeszcze nie pora
na drugi brzeg

4 sierpnia 2013

Symfonia samotności

Po szybach spływają krople
w oknie zasłona
przy stole dębowym
siedzi Stara Kobieta
wpatrzona w wyblakłą
fotografię sprzed lat
oczekuje kroków
tylko cztery ściany grają
symfonię samotności
której nikt nie słyszy

18 lipca 2013

Liść serca

Promienie słoneczne otaczają
Ciebie
Słomkowy kapelusz maluje
znak czasu
pijesz złocisty napój
unoszę dłonie
podaję ci liść serca
A w zamian dostaję
zaproszenie na koncert

24 lipca 2012

Ścieżka kropli

Nadchodzi noc
Światła gasną w oknach
Moje miasto zasypia
zegar wybija północ
Tylko księżyc spogląda
Z obłoków na róg
Ulicy gdzie suche
Drzewa ma na gałęziach
kroplę deszczu
Pójdę ścieżką kropli
Odnaleźć Muzę która cierpi

23 listopada 2012

Małgorzata Mikołajczak

Juwenilia

O niewykorzystanym potencjale twórczości lubuskiej

Kiedy Redakcja „Pro Libris” zaprosiła mnie do dyskusji wywołanej artykułem Roberta Rudiaka (*Stan literatury lubuskiej w pierwszej dekadzie XXI wieku, czyli diagnozy i prognozy*, „Pro Libris” 2013, nr 1), wybierałam się na Kongres Dydaktyki Polonistycznej do Krakowa. I teraz, pisząc te słowa w ciągu relacji Kraków – Zielona Góra, myślę, że trudno byłoby rozprawiać o kondycji twórczości lokalnej bez uwzględnienia tych pytań, które przez cztery dni Kongresu stawiali sobie jego uczestnicy (a byli

wśród nich pisarze – Stefan Chwin, Olga Tokarczuk, Wojciech Bonowicz). Przytoczę dwa, które wydają mi się tu najbardziej istotne: „Czy w świecie późnej nowoczesności literatura jest jeszcze potrzebna?”, „Czy książka to produkt atrakcyjny dla »cyfrowych tubylców«, »lekturowych emigrantów«, którzy masowo uciekają dziś w świat nowych mediów?”. Bo jeśli – i to już jest moje prywatne pytanie – nie czyta się dziś Tokarczuk czy Chwina, to czy sięgać się będzie po książkę lokalnego autora? A jeśli tak,

czy warto biadolić nad losem regionalnej literatury, rozdierać szaty nad jej „geriatyzacją”, „uwiązaniem”, „słabością”? Zwłaszcza że w obszarze nowych mediów życie literackie ma się całkiem dobrze – młode, prężne, rumiane rozwija się w egalitarnej przestrzeni internetu i – za nic mając geografii i nisze lokalne – anektuje wirtualny, a zatem ponadregionalny obszar. Tą konkluzją całą dyskusję na temat literatury lubuskiej można by właściwie zamknąć.

* * *

A jednak sprawa wcale nie jest taka oczywista. I żeby tę nieoczywistość uoocznic, przywołam dwa zapewne znane „mniejszości intelektualnej” (tak Chwini określił czytelników książek) fakty: Nagroda Nike 2013 dla powieści *Ciemno, prawie noc* Joanny Bator, Nagroda Gryfii 2013 i Gdyni 2013 dla książki Zyty Oryszyn *Ocalenie Atlantydy*. Bohaterem wymienionych powieści jest prowincja na Ziemiach Zachodnich, a ściślej – średniej wielkości „poniemieckie” miasto, jakim jest (liczący około 120 tys. mieszkańców) Wałbrzych. Przywołuję obie te pozycje nie po to (nie tylko po to), by stwierdzić, że uwagę czytelników przyciągają dziś tzw. Ziemie Odzyskane oraz usytuowane na nich miasta i miasteczka (raczej te mniejsze i bardziej prowincjonalne niżeli Gdańsk czy Wrocław, o których sporo już w kontekście ich niepolskiej przeszłości pisano). I nie po to (tylko), żeby wieszczyć triumfalny powrót tematów lokalnych. Chcę zwrócić uwagę na zjawisko, które sprawia, że także Ziemia Lubuska staje się dzisiaj nader atrakcyjna.

* * *

Znamienne, że wśród nazwisk pisarzy lokalnych wymienionych przez Roberta Rudiaka nie padły dwa, które powinny były się tutaj pojawić: Krzysztofa Fedorowicza i Marii Sidorskiej-Ryczkowskiej. Pierwszy za napisaną w roku ubiegłym powieść *Grünberg* uhonorowany został Lubuskim Wawrzynem. Druga jest autorką *Stacyjki na wschodzie i zachodzie*, którą do druku rekomendował Jacek Łukasiewicz i o której Henryk Waniek napisał: „książkę Marii Sidorskiej-Ryczkowskiej wziętem do ręki z niesprawiedliwą rezerwą, a potem nie potrafiłem odłożyć”

(„Przegląd Polityczny”, 1 kwietnia 2005). Dodam, że w tym roku ukazał się ciąg dalszy tej opowieści pod tytułem *Klucze do rzeki*.

Obie książki wyrastają z pytania o miejsce, które po transformacji w roku 1989 ujawniło dotąd tłumione palimpsestowe oblicze i zaczęło mówić o swojej przeszłości wieloma bardzo różnymi językami. To miejsce, którego tożsamość budowano przez lata w oparciu o homogeniczną politykę historyczną oraz mit piastowski, dopiero niedawno odsłoniło swą heterogeniczność i dopiero w ostatnich latach zaczęło inspirować pisarzy, którzy sięgają po niewyjaśnione tajemnice, traumatyczne przeżycia z czasów końca wojny i z okresu tużpowojennej migracji. Na tabuizowane narracje o wydarzeniach, które działy się tu w pierwszych powojennych latach, nakładają się wcześniejsze historie – polskie, niemieckie, czeskie i żydowskie. Te „zachodzące na siebie terytoria, splątane historie”, jak określa to Edward Said (w książce *Kultura i imperializm*, tłum. M. Wyrwas-Wiśniewska, 2009), stanowią dzisiaj temat literacko atrakcyjny z wielu względów, m.in. z uwagi na specyficzną aurę pogranicznych przestrzeni, ich „magiczność”.

Magizacja pogranicza stanowi wyjątkowo nośny kulturowo koncept. Pod hasłem „magiczności” np. Dolny Śląsk promowany jest jako obszar „magicznych szlaków turystycznych”, a w ten nurt recepcji dolnośląskiej przestrzeni wpisuje się zarówno książka, poświęcona tajemniczemu i niezwykłemu miejscu Wrocławia (*Magiczne miejsca. Wrocław*, 2009), jak publikacja *Niezwykłe i tajemnicze miejsca Ziemi Lubuskiej* (2010), zarówno magizacja miejsca we wspomnianej już książce Bator, jak i niezwykle opowieści o Bytomiu Odrzańskim Sidorskiej-Ryczkowskiej i o Zielonej Górze Fedorowicza.

* * *

„Miejsce istnieje wówczas, gdy jest nawiedzane przez rozliczne przyczajone w nim duchy, które można bądź nie »wywoływać«. Mieszkamy wyłącznie w miejscach nawiedzonych” (*Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Nańczuk, 2008), twierdzi Michael de Certeau. Trzeba przyznać, że na Ziemi Lubuskiej tych duchów jest sporo – głównie niemieckiej proveniencji, choć nie chodzi tu tylko

o kwestie etniczne. Sidorska-Ryczkowska pisze np. o Złym Duchu, który uosabia swoisty *locus horridus* tej ziemi. W jej opowieści miejsce rozwarstwia się, fabuła usytuowana jest kilku równoległych czasach – na XVII-wieczną legendę o spalonej na stosie czarownicy nakłada się opowieść o zgwałconej, a potem zabitej przez niemieckich chłopców Rosjance i – jako jej powtórzenie – historia gwałtu dokonanego przez radzieckich żołnierzy na niemieckiej dziewczynie. U Fedorowicza *genius loci* skupia się wokół podzielonogórskich przedwojennych winnic. Na traumatycznym doświadczeniu, jakim było zniszczenia niemieckiej arkadii, pisarz funduje nową mitologię Zielonej Góry, nazywanej „ciepłą wyspą”, „miastem permanentnej jesieni”. To tutaj właśnie ma szansę odrodzić się bogata winiarska tradycja. Obie książki uświadamiają, że w tym, co zdawać by się mogło dobrze znane, swojskie, czai się i – wywołane przez pisarza – objawia, niczym Freudowskie „niesamowite”, Inne, Obce. Jak pisze cytowany wyżej de Certeau,

Miejsca są fragmentarycznymi i zwiniętymi historiami, przeszłościami pozbawionymi czytelności przez innego, nagromadzonymi czasami, które mogą się rozwinąć, ale które występują tu raczej jako potencjalne opowieści, zagadki do rozwikłania.

Między innymi takimi zagadkami karmi się lokalny kryminał, w lubuskim wypadku – książki Alfreda Siateckiego i Krzysztofa Koziółka. Ten ostatni na polsko-niemieckiej historii osnuwa fabułę kryminałów rozgrywających się w lokalnych realiach. Razem z jego bohaterami można więc nie tylko zdążyć tropem zbrodni, ale też – ten wątek jest tu najciekawszy – badać zagadki regionu, poznawać fascynujące historie z przeszłości.

Nieprzypadkowo Koziółek tak konstruuje kryminalną fabułę, by była ona interesująca dla mieszkańców regionu, np. dla kibiców najpopularniejszego w Zielonej Górze klubu sportowego Falubaz. Nieprzypadkowo też Fedorowicz czyni głównym bohaterem swojej powieści wino, nazywane przezeń „solą ziemi”, *sanctum vindum*, „osią Grünbergu”. Dzięki

temu jego książka umacnia strategię marketingową regionu, a przy tym funduje regionalny gatunek literacki, tj. powieść enologiczną (od gr. *oinos* – wino), której genealogię wywieść można z lokalnych tradycji winiarskich.

Twórczość lokalna, czy tego chce, czy nie chce, staje się dzisiaj (musi się stać) chodliwym produktem, po który chętnie sięgają mieszkańcy regionu. Dla pokolenia urodzonych po wojnie literatura okazuje się ponadto – ciekawie pisze o tym ciekawie Elżbieta Rybicka w artykule *Czy możliwa jest „polifonia pamięci” w literackich badaniach regionalnych? Na przykładzie pogranicza polsko-niemieckiego* (*Nowy regionalizm w badaniach literackich: badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, 2013) – fundatorką pamięci. Pokolenie ludzi wolnych od traumy związanej z przesiedleniem i od propagowanych w czasach PRL-u mitów, intryguje nieznana historia. Literatura, znacznie ciekawsza niżeli podręcznik, oferuje więc młodej generacji pamięć protetyczną i możliwość nowej identyfikacji z miejscem, a zarazem fascynującą podróż do własnych korzeni. Do takiej wędrówki zapraszają nie tylko wspomniani autorzy, także Marek Lobo Wojciechowski, Alfred Siatecki w swoich *Kluczach do bramy*, Janusz Werstler, a wymieniam tu tylko niektóre nazwiska.

* * *

Dlaczego zatem jest tak źle z literaturą lubuską, jeśli jest tak dobrze? Dlaczego książki Koziółka nie funkcjonują na rynku czytelniczym tak jak wrocławskie kryminały Marka Krajewskiego, a *Stacyjka* czy *Grünberg* mają szansę najwyżej na Lubuski Wawrzyn? Nie rozwijając kontestacyjnego wątku, spróbuję wskazać dwie z grubsza rzecz biorąc przyczyny.

Pierwszej upatrywałam w braku zainteresowania (to temat na osobny artykuł) lubuską twórczością. Podczas gdy np. w Gdańsku corocznie odbywa się publiczne czytanie prozy poświęconej temu miastu (a wtedy przez kilka dni Chwinem i o Chwinie, Huellem i o Huelle mówią jego mieszkańcy), podczas gdy np. Kraków ma swój literacki odpowiednik w internecie („Literacki Kraków”), w lubuskiej kulturze literackiej niewiele się dzieje, nie ma już „Nocy Poetów” w Teatrze Lubuskim, lokalne media

ograniczają swą aktywność na tym polu do krótkiej wzmianki dotyczącej Lubuskiego Wawrzynu. I nie ratują tej sytuacji lubuskie czwartki literackie w Bibliotece Norwida z udziałem regionalnych autorów czy audycje Czesława Markiewicza, który na antenie Radia Zachód z niesłabnącą energią upomina się o twórczość lokalną (to może już ostatnie publiczne forum – czy jeszcze istnieje? – na którym można rozmawiać o lubuskiej literaturze). Przy czym nie chodzi tylko o niechęć instytucjonalną. Znamienne, że na temat książki Fedorowicza środowisko milczy, że na spotkanie z autorką *Kluczy do rzeki* przyszła ledwie garstka osób.

Ale jest także inna, znacznie ważniejsza przyczyna i żeby ją uzmysłowić, postawię tezę, która będzie zarazem polemiką z opinią Roberta Rudiaka na temat geriatryzacji twórczości lubuskiej. Otóż w moim przekonaniu literaturę lubuską trawi nie przypadłość geriatryczna, ale choroba młodzieńcza. Powiem więcej: literatura lubuska znajduje się nie w kondycji starca, lecz – wciąż i nieustannie – w stadium dziecka. To, można by powiedzieć, wieczne „juwenilia”. Tym mianem określa się utwory pisarzy, pochodzące z okresu, w którym dopiero zaczynali swą pisarską drogę, zazwyczaj znacznie słabsze od dojrzałych wierszy. Wczesna Szyborska, wczesny Różewicz, Miłosz, Herbert to twórcy inni od tych, których obdarzamy dziś etykietką „wielkiego pisarza”. Rzadko bowiem zdarza się talent samorodny i tak doskonały, że nie wymagający udoskonalenia.

Literatura lubuska zdaje się jednak uważać inaczej, zdaje się także rządzić innymi prawami. (Może czas w tym miejscu upływa odmiennie? Może następuje tu jakieś zakrzywienie przestrzeni?). Jej „wyobraźnia onieśmielona”, jak nazwał ją Tomasz Burek (*Wyobraźnia jeszcze nieośmielona*, „Nadodrze” 1964, nr 8) w latach 60., w dużej mierze taką pozostała. Metaforyczną puentę tej sytuacji można by znaleźć w nazwie Zielonej Góry, którą – w nawiązaniu do XVI-wiecznego teologa i historyka, Abra-

hama Buchholzera – propaguje Mirosław Kuleba: *thalloris*, czyli „zieleniejąca”. Wiecznie niedojrzała. Młodzieńczo zielona. Niezmiennie obiecująca. Ale czy można być „wciąż obiecującym” po siódmej wydanej w krótkim czasie książce?

Jeżeli jednak, trzymając się symboliki zieleni, szukać stron pozytywnych, to może trzeba zawierzyć nadziei, że to zapładniające wyobraźnię miejsce, jakim jest Ziemia Lubuska, wyda literaturę, która konkurować będzie z powieściami Chwina, Huellego, Krajewskiego, Odiji, Tokarczuk. Że nie tylko mój mąż będzie zamawiać pod choinkę najnowszą książkę Krzysztofa Koziółka i nie tylko doktoranci, przygotowujący dysertacje na temat twórczości lubuskiej, będą dyskutować o wierszach Lobo Wojciechowskiego, komentować najnowsze tomiki Małgorzaty Stachowiak, Beaty Patrycji Klary, Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk, Doroty Grzesiak czy starszych – Janusza Koniusza, Henryka Szylikina, Marka Piechockiego, Jolanty Pytel, Eugeniusza Kurzawy, Władka Klepki, Czesława Sobkowiaka, Czesława Markiewicza *etc.* Wierzę, że pojawi się w końcu, bo pojawić musi, literatura, która ufunduje nową opowieść założycielską regionu i że nie trzeba będzie czytać o Wałbrzychu, żeby zafascynować się palimpsestowym pograniczem. Marzy mi się taka trzymająca w napięciu, uwodząca narracją, warsztatowo i myślowo dojrzała opowieść o Zielonej Górze. Pióra autorów młodszych albo starszych (chodzi o dojrzałość artystyczną, więc wiek nie gra roli). Twórców, którzy być może piszą dzisiaj do szuflady (znam taki przypadek), bo ich tekstów, dobrych tekstów, nikt nie chce drukować (wśród powodów, o których powyżej, powinna się jeszcze pojawić lokalna „polityka wydawnicza”).

I zamykając te refleksje jednym zdaniem, powiem, nieco tylko wyostrażając problem, że symboliczny kapitał kulturowy Ziemi Lubuskiej wciąż stanowi potencjał niewykorzystany. Wierzę, że prędzej czy później sięgną po niego lokalni autorzy. To może już się dzieje. Trzeba się rozejrzeć.

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961–1981 (część III)

Historię zielonogórskiego oddziału KKMP można niejako podzielić na dwa etapy – pierwszy, obejmujący lata 1962–1975 (od chwili przenosin z Gorzowa do momentu nowego podziału administracyjnego kraju i utworzenia województwa gorzowskiego) i drugi, przypadający na lata 1976–1981, tj. od momentu przejścia ośrodka przez ZSMP, aż do rozwiązania jego struktur wraz z ogłoszeniem stanu wojennego. W 1978 roku Klub wyszedł z jedyną inicjatywą, która znalazła swój szczęśliwy finał w postaci wydania zbiorowej publikacji wierszy swoich członków. Okazją do tego była I Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza ZSMP i właśnie delegatom tej konferencji dedykowano czterdziestostronicowy almanach poetycki zielonogórskiego ośrodka KKMP zatytułowany *Zachłannie porywa nas czas*, wydany przez Zarząd Wojewódzki ZSMP przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Znalazły się w nim teksty poetyckie szesnastu członków, zarówno młodych, jak i już starszych stażem: Benedykta Banaszaka, Jerzego Chłodnickiego, Jana J. Dębka, Jerzego Habicha, Romana M. Jabłońskiego, Zbigniewa M. Jelinaka, Eugeniusza Koniecznego, Eugeniusza Kurzawy, Gustawa A. Łapszyńskiego, Czesława Markiewicza, Jolanty Pytel, Jerzego Rządckiego, Leona Staśkiewicza, Piotra A. Szmigieła, Mieczysława J. Warszaw-

skiego i Andrzeja Webera. Redaktorem almanachu był Alfred Siatecki, a konsultantem literackim Janusz Koniusz z ramienia ZLP. W nocy od wydawcy A. Siatecki o historii i teraźniejszości zielonogórskiego Klubu napisał:

Od 1961 roku, pod opieką Związku Młodzieży Wiejskiej, a ostatnio Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej działa zielonogórski ośrodek Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. W latach sześćdziesiątych, okresie najchłubniejszym dla Klubu, młodzi pisarze rozwinęli szeroką działalność kulturalną, potem nastąpiło osłabienie prężności spowodowane wyjazdem wielu aktywistów z terenu województwa. Teraz znowu KKMP wsparty siłami studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej, wchodzi w okres twórczej i organizacyjnej działalności. W Klubie dorastali znani dziś literaci, m.in. Anna Tokarska, Andrzej K. Waśkiewicz, Zygmunt Trziszka. Tomik „Zachłannie porywa nas czas” jest pierwszą zbiorową prezentacją młodych poetów skupionych w zielonogórskim KKMP. [...] Niektórzy spośród autorów mają za sobą debiut książkowy, inni prezentowali swoje utwory w prasie społeczno-kulturalnej. Wszystkich łączy jednak chęć pisania, mówienia o sprawach ważnych. Autorzy wierszy

są studentami, nauczycielami, pracownikami administracji; ukończyli szkoły średnie i wyższe [...]. Są działaczami organizacji społecznych i stowarzyszeń regionalnych¹.

Można powiedzieć, że po wydaniu pierwszej i jak się niebawem okazało – ostatniej publikacji członków KKMP, działalność w jego strukturach osłabła. Wielu młodych, szukając szans na debiut książkowy, przechodziło równocześnie do innych instytucji czy ugrupowań literackich, które wówczas funkcjonowały w Zielonej Górze. A było ich niemało, co powodowało istne rozwarstwienie w ruchu młodoliterackim. Już w 1975 r. na bazie zlikwidowanego Koła Młodych Pisarzy przy Zarządzie Oddziału Związku Literatów Polskich zaistniał Klub Początkujących Literatów. Ten z kolei działał tylko do 1978 r., tj. do czasu, kiedy reaktywowano Koło Młodych Pisarzy przy Lubuskim Towarzystwie Kultury, które przetrwało tylko dwa lata. W 1979 r. Koło Młodych Pisarzy przy LTK przekształcono w Koło Młodych Twórców, które funkcjonowało już przy Zarządzie Wojewódzkim ZSMP w Zielonej Górze. Większość członków tych klubów stanowiły osoby należące również do KKMP. W latach 1976-77 na zielonogórskich uczelniach rodziły się pierwsze grupy i kluby poetyckie, jak Studencka Grupa Poetycka „54” i Studencki Klub Literacki „Kometa” w Wyższej Szkole Pedagogicznej oraz Grupa przy Klubie „U Jana” w Wyższej Szkole Inżynierskiej, które zapewniały młodym twórcom więcej swobody organizacyjnej i niezależności artystycznej niż zinstytucjonalizowane związki młodzieżowe. W grupie „54” działali m.in. Markiewicz, Kurzawa, Weber i Jabłoński, natomiast w „Komecie” jej założyciel Konieczny.

Bezskutecznie próbowano wówczas zespolić młodzieżowe organizacje literackie, nad którymi mecenat sprawował ZSMP, w jeden organizm, tym bardziej iż w KKMP i w Kole Młodych Twórców znajdowały się praktycznie te same osoby. KKMP

pod auspicjami ZSMP starał się też zintegrować i wchłoniąć pod swoje skrzydła ugrupowania studenckie z WSP, zwłaszcza klub poetycki „54”, lecz i ta próba okazała się bezowocna². Nie udało się również – po organizacji spotkania młodych poetów z przedstawicielami redakcji „Poezji” i „Nowego Wyrazu” – wydać w 1977 roku zeszytu z wierszami członków KKMP i klubu „54”, który miał się ukazać nakładem „Nowego Wyrazu”. Nie powiodły się także fuzje z innymi organizacjami czy też współpraca z redakcjami innych czasopism. Przynależność do KKMP nie była w tamtych latach nobilitacją nawet dla początkujących literatów. Koło Młodych czy grupa studencka natomiast jawiły się jako elitarne ugrupowania, mające własną strategię i program działania. Próbowaly one izolować się od dużych środowisk twórczych, chcąc zachować własną autonomię i tożsamość, dlatego też dostać się do nich komuś z zewnątrz nie było łatwo. Ugrupowania studenckie w WSP stawiały sobie za cel wyjście poza ciasne mury uczelni poprzez szerokie uczestnictwo w akademickim ruchu kulturalnym i prezentację twórczości w ogólnopolskiej prasie studenckiej, społeczno-kulturalnej („Nowy Medyk”, „Orientacje”, „Student”, „Radar”, „Nowy Wyraz”, „Razem”, „itd.”, „Integracje”, „Zarzewie”, „Na Przełaj” etc.) lub druk w popularnych antologiach i seriach arkuszy Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Koła Młodych zakładane przy ZLP czy LTK stanowić miały tylko jeden ze szczebli w karierze literackiej, której kolejnym etapem mogło być przyjęcie do struktur ZLP. Przynależność do KKMP nie gwarantowała żadnych tego typu korzyści i przywilejów. Organizacja ta skupiała wszystkich, nie tylko młodych, których zajmowało pisarstwo i interesowała popularyzacja literatury³.

To właśnie dzięki innym instytucjom, głównie LTK, doszło w 1976 r. do debiutów członków KKMP w serii Lubuskich Arkuszy Poetyckich, kiedy to pojawiły się tomiki Pytel, Warszawskiego i Banaszaka, starsi zaś literaci, byli członkowie KKMP

1 Nota od wydawcy, [w:] *Zachłannie porywa nas czas. Almanach poetycki zielonogórskiego ośrodka KKMP*, red. A. Siatecki, Zielona Góra 1978, s. 38.

2 Zob. A. Buck, *Literacki ruch młodych w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 1998, t. 4, s. 117.

3 Zob. R. Rudiak, *Życie literackie w Zielonej Górze w drugiej połowie lat 70. XX wieku*, „Studia Zielonogórskie” 2005, t. 12, s. 147-172.

wydali wówczas swoje kolejne książki poetyckie, np. Tokarska, Chłodnicki, Łapszyński i Sobkowiak. Z tego też powodu uczestnictwo w ruchu KKMP przestało być atrakcyjne dla początkujących pisarzy. Słabość organizacyjna, społeczna inercja i ogólna apatia panująca w ruchu KKMP odziedziczonego po ZWM, dawała się coraz bardziej we znaki, zwłaszcza pod koniec lat 70. Jeszcze w 1979 r. zorganizowano, głównie za sprawą LTK i ZLP drugą edycję Zielonogórskich Spotkań Literackich, w których wzięli udział także członkowie KKMP, a których ideą była m.in. integracja różnych środowisk młodoliterackich i prezentacja ich dokonań. Również dzięki staraniom Lubuskiego Towarzystwa Kultury w 1980 r. wydano almanach-folder z wierszami, zdjęciami i notami biograficznymi członków Koła Młodych. Do Koła Młodych LTK należały praktycznie te same osoby, które były członkami KKMP, stąd w zbiorze wierszy młodych pt. *Zaproszenie* zamieszczono utwory jedenastu poetów: Benedykta Banaszaka, Jerzego Chłodnickiego, Jerzego Habicha, Romana M. Jabłońskiego, Zbigniewa M. Jelineka, Ryszarda Jonaczyka, Eugeniusza Kurzawy, Czesława Markiewicza, Jolanty Pytel, Mieczysława J. Warszawskiego i Andrzeja Webera.

Po wydaniu tejże publikacji Koło Młodych przy LTK uległo rozwiązaniu, a jego członkowie przeszli do zawiązanego pod koniec 1979 roku Koła Młodych Twórców przy ZW ZSMP. Znaleźli się w nim niemal ci wszyscy autorzy, którzy jednocześnie należeli do KKMP, a wcześniej do innych klubów przy ZLP i LTK czy grup studenckich. W Kole Młodych Twórców znaleźli się zatem: Benedykt Banaszak, Jerzy Chłodnicki, Jan J. Dębek, Jerzy Habich, Romuald M. Jabłoński, Zbigniew M. Jelinek, Eugeniusz M. Konieczny, Eugeniusz Kurzawa, Gustaw A. Łapszyński, Czesław Markiewicz, Jolanta Pytel, Jerzy Rządski, Alfred Siatecki, Leon Staśkiewicz, Piotr A. Szmigiel, Mieczysław J. Warszawski i Andrzej Weber. Prezesem był Alfred Siatecki. Z inicjatywy Koła od 1980 r. przyznawana była przez ZW ZSMP coroczna Nagroda Twórcza

Młodych „Zielone Grono” dla autorów, którzy nie ukończyli 35 roku życia⁴.

Działalność pod szyldem ZSMP Koła Młodych Twórców sprawiła, że zanikła działalność ośrodka KKMP, które także funkcjonowało przy tej samej organizacji młodzieżowej. Formalnie jednak ośrodek zielonogórski, podobnie jak i gorzowski KKMP, przestały istnieć wraz z wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 r. W okresie blisko dwudziestoletniego istnienia KKMP w Zielonej Górze zrzeszał około 40 członków. Przynależność do KKMP, jak też innych środowisk twórczych, sprawiła, że pod koniec lat 70. lub w pierwszej połowie lat 80. XX wieku kilku młodych literatów zdążyło zaistnieć na rynku wydawniczym zarówno regionalnym, jak i krajowym. Najważniejszymi postaciami wywodzącymi się z zielonogórskiego ośrodka KKMP byli: Siatecki, Warszawski, Sobkowiak, Pytel, Kurzawa i Markiewicz, którzy wydali po kilka lub nawet kilkanaście książek i byli laureatami wielu nagród, w tym Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Alfred Siatecki (ur. 1947 w Warnikach pod Kostrzynem nad Odrą), ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Szczecinie, debiutował w 1969 r. w „Wiadomościach Zachodnich”. Był członkiem KKM w Szczecinie, potem w Zielonej Górze. Pracował jako dziennikarz w „Nadodrze” i „Gazecie Lubuskiej”. Wydał opowiadania: *Podzwonni ręczniacy* (1980), *Piaszczysta ziemia* (1985), *Przekłęte wykopki* (1986), *Podróż do piaszczystego wzgórza* (1987), *Drugie przykazanie miłości* (1996) i *Sława po zmroku* (2004), powieści: *Jubel* (1987), *Gość z volkswagen* (1992), *Zmowa pułkowników* (2000), *A jednak będzie noc poślubna* (2007), *Psie kochanie* (2010), *Szajbus* (2012), *Postrzelony* (2013) oraz szkice i reportaże: *Znaki graniczne* (1988), *Klucz do bramy* (2009), *Drugi klucz do bramy* (2010), *Trzeci klucz do bramy* (2011), *Tajemnice naszej ziemi* (2011, współautor), *Czwarty klucz do bramy* (2012), *Aleja Niepodległości 15. Przechadzki po zielonogórskim muzeum tożsamości* (2012). Ponadto jest auto-

4 Nagrody „Zielonego Grona” otrzymali byli członkowie KKMP: Czesław Sobkowiak w 1980 r., Mieczysław Warszawski w 1981 r., Alfred Siatecki w 1982 r. i Wojciech Czerniawski w 1983 r. Później nagrodę przyznano m.in. Waldemarowi Mystkowskiemu w 1984 r. i Annie Kwapisiewicz w 1989 r.

rem słuchowisk radiowych i czterech leksykonów literatów lubuskich, a także wielu opracowań pamiętników, wspomnień, katalogów itd. Otrzymał Nagrodę Wydawnictwa „Iskry” w 1980 r., Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” w 1982 r., Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1986 r., Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry w 1989 r. i Lubuski Wawrzyn Literacki w 2001 r. Był działaczem organizacji młodzieżowych, m.in. ZMW. Został członkiem ZLP w 1985 r. Obecnie mieszka w Raculi pod Zieloną Górą, przebywając na emeryturze.

Czesław Sobkowiak (ur. 1950 w Jaromierzu pod Wolsztynem), ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracował w Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz jako dziennikarz w „Nadodrze”. Zadebiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 r. Zajmuje się poezją, eseistyką i krytyką literacką. Wydał tomy poezji: *W białej koszuli* (1970), *Powieść w odcinkach* (1974), *Razem* (1976), *Potrzeba zjednoczenia* (1976), *Bezsensowność* (1977), *Okolice słońca* (1979), *Pokaż się tobie* (1984), *Słowa do troski* (1989), *Na własny rachunek* (1993), *Wstęp do milczenia* (1993), *Wszystko tu jeszcze* (1994), *Wybór wierszy* (1996), *Postać w bieli* (1999), *Światło przed nocą* (1999), *Rozmowa z Rimbaudem* (2002), *Podziemne słońca* (2004), *Coraz mniej* (2010) i *Powieść ze snu* (2012). Był też redaktorem kilku antologii poetyckich i tomików wierszy. Otrzymał Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” i Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1980 r., Lubuskie Wawrzyny Literackie w 1997 i 2003 r. W latach 1977-1992 był członkiem ZLP, a od 1992 r. należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Zawadzie pod Zieloną Górą, utrzymując się z renty.

Mieczysław Jan Warszawski (ur. 1950 r. w Laskach Odrzańskich pod Zieloną Górą), ukończył liceum ogólnokształcące. Pracował jako magazynier, zaopatrzeniowiec i referent. Píše poezję i opowiadania. Zadebiutował wierszem w 1967 r. w „Nadodrze”. Wydał zbiory wierszy: *Otwarcie żył* (1976), *W otwarte karty* (1978), *Poranne wygnania* (1981), *Odwieczne* (1986), *Cztery ściany bezdomności* (1995), *Gość samego siebie* (1996), *Na przekór żywiołom* (1997), *Dziennik poetycki* (1998), *We własnej skórze* (1998), *Przyziemność* (2002), *Zaledwie niczyj* (2002), *Odrzańskie* (2005), *Umiejscowienia* (2007), *Persona non grata* (2009) i *Zamieszkałość* (2009) oraz opowiadania: *Codzienna podróż pociągami* (1986) i *Bezrobotny Syzyf* (1997). Otrzymał Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” w 1981 r., Lubuską Nagrodę Kulturalną w 1987 r., Lubuskie Wawrzyny Literackie w 1996 i 2003 r., Zielonogórskiego Czarta Kulturalnego w 1995 r., Nagrody Kulturalne Prezydenta Zielonej Góry w 1996 i 2008 r. oraz statuetkę Winiarki w 1998 r. Mieszka w Laskach Odrzańskich, przebywa na rencie.

Jolanta Pytel-Marciniszyn (ur. 1952 r. w Zielonej Górze), studiowała polonistykę z historią w Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Zielonej Górze. Pracowała jako nauczycielka, bibliotekarka i dziennikarka. Wydała tomiki wierszy: *Opowieść o Gabrielu* (1976), *Tyle światła wokół* (1978), *Destiny* (1994), *Oko śmierci* (1994), *Przebudzenie* (1995), *40 i cztery* (1996), *Czarny aptekarz* (1999), *Requiem dla Helenki* (1999), *Włóczęga słońca* (2003), *Wejść w niebo* (2006), *Zegar* (2010) i *Nad urwiskiem* (2011). Jest też redaktorką kilku almanachów poetyckich. Była założycielką Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów



i Uniwersytetu Poezji. W 2004 r. otrzymała Lubuską Wawrzyn Literacki, a w 2013 r. Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Od 2007 r. należy do ZLP. Mieszka w Zielonej Górze i utrzymuje się z renty.

Eugeniusz Kurzawa (ur. 1954 w Kościanie), ukończył pedagogikę kulturalno-oświatową w WSP w Zielonej Górze. Pracował jako dziennikarz „Zielonogórskiej Gazety Nowej”, a obecnie „Gazety Lubuskiej”. Był też redaktorem „Gońca Kresowego” i biuletynu „Komunikaty Nadodrzańskie”. Zajmuje się poezją, krytyką literacką, felietonistyką i eseistyką. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1976 r. Wydał tomiki wierszy: *Wiem* (1979), *Serial Codzienny* (1979), *Wszystko jest ważne* (1984), *Nie jesteś tu* (1986), *Samotnieję* (1986), *Nad Błędnem i Obrą* (1989), *To wszystko nic* (1990), *Zapis* (1990), *Konieczność i nietrwałość* (1995), *Zapis II* (1996), *Gdzie przydrożny Chrystus stał* (1997, współautor), *Ogród sztuk* (2000, współautor), *Wciąż nowa prywatność* (2003), *Autoportret z przyszłością* (2006) i *Ćwiczenia z rozpacz* (2011) oraz szkice: *Miasteczko do życia*, *Wolsztyńskie rozmowy* (2002), *Moje miejsce*, *Zbąszyńskie rozmowy* (2004) i *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone* (2012). Ponadto jest autorem kilku opracowań wspomnień, redaktorem almanachów, katalogów i słownika pisarzy wileńskich. Otrzymał Nagrodę Wojewody Suwalskiego w 1984 r., Nagrodę Młodych im. S. Wyspiańskiego w 1987 r., Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry w 1995 r., Zielonogórskiego Czarta Kulturalnego w 1999 r., Lubuski Wawrzyn Literacki w 2004 r. oraz medal Lubuskiego Animatora Kultury w 2009 r. Należał m.in. do Studenckiego Klubu Poetyckiego „54” i warszawskiego Centrum Literackiego „Gremium”. Od 1987 r. jest członkiem ZLP, a od 1996 r. pełni funk-

cję prezesa zielonogórskiego oddziału ZLP. Mieszkał w Zbąszyniu, Białymstoku, Suwałkach, a obecnie w Wilkanowie koło Zielonej Góry.

Natomiast Czesław Markiewicz (ur. 1954 r. w Zielonej Górze), studiował polonistykę w WSP w Zielonej Górze, zajmuje się poezją, prozą i krytyką. Pracował jako dziennikarz „Zielonogórskiej Gazety Nowej”, a obecnie rozgłośni Radia Zachód. Zadebiutował wierszem w „Nadodrze” w 1976 r. Wydał tomiki wierszy *Modlitwa oszukanych* (1978), *Moja wina* (1998), *Ale i tak* (2007), *Majuskuły* (2009) i *80. urodziny Marilyn Monroe* (2011), opowiadania *Made in life* (1995) i powieści *Przezroczyści* (2002), *Niewinne miasto* (2003) i *Zemsta Fabiana* (2004) oraz szkic *Rozpoznany moment osobności* (2000). Jest też redaktorem almanachu poezji. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry w 1992 r. i Lubuski Wawrzyn Literacki w 1996 r. Był członkiem studenckiej grupy poetyckiej „54”. Mieszka w Zielonej Górze.

W grudniu 1981 r. na mocy dekretu o stanie wojennym zdelegalizowano w PRL wszystkie związki i organizacje, w tym także młodzieżowe i literackie. Idea ani ruch KKMP już nigdy nie odrodził się w obu miastach lubuskich. Jednakże nie zanikła ani sama tradycja, ani działalność ogólnopolskiego KKMP, którego reaktywacja nastąpiła w 1982 r. Przewodniczącym ruchu został Marek Bartnicki z Płocka. Wówczas powołano ogólnokrajowy organ Rady Krajowej KKMP w postaci miesięcznika społeczno-literackiego „Okolice”⁵, wydawanego przez Zarząd Główny ZSMP. Redaktorem naczelnym został Andrzej Żmuda, a jego zastępcami Piotr Wagiel i Jan Tulik⁶. Pismo miało także stałych współpracowników⁷ oraz Radę Programową, której

5 „Okolice” jeszcze jako biuletyn KKMP pod egidą ZMW ukazał się po raz pierwszy w listopadzie 1974 r. Od 1976 r. było zeszytem literackim warszawskiego ośrodka KKMP, wydawanego przez ZW ZSMP do 1978 r. Teksty drukowali w nim m.in. Andrzej Waśkiewicz, Janusz Olczak, Mieczysław Warszawski, Zbigniew Jelinek i Jerzy Hajduga. Zob. też: R. Marciniak, *25 lat KKMP*, „Integracje” 1988, nr 22, s. 104; (JB), *Ośrodek Badań i Dokumentacji Ruchu KKMP*, „Okolice” 1989, nr 2, s. 129; (JB), *Wobec Apokalipsy (KKMP)*, „Okolice” 1989, nr 1, s. 107.

6 Ponadto w skład redakcji „Okolic” wchodził: Kazimierz Arendt, Jerzy Bojanowicz, Andrzej Kosmowski, Krzysztof Kuczkowski, Marzena Laskowska, Waldemar Mystkowski, Tadeusz Olszewski.

7 Stałymi współpracownikami redakcji byli m.in. Juliusz E. Bolek, Adriana Nagórska, Eugeniusz Orłow, Jan B. Balcerowicz, Janusz Drygała, Andrzej Grabowski, Henryk H. Jagła, Marek Jędrzejewski, Józef Komarewicz, Tadeusz Linkner, Stefan Miler, Sławomir Gowin, Alicja Daszkiewicz i Marzena Kiedrowska.

przewodniczył Michał Rybarczyk⁸. Już w pierwszym numerze z grudnia 1982 r. znalazły się wiersze m.in. Waldemara Mystkowskiego, Krzysztofa Szymoniaka, Czesława Szczepaniaka, Jana Jastrzębskiego i Andrzeja Grabowskiego. W każdym numerze zamieszczano prozę, poezję, eseistykę, przekłady, recenzje książek, portrety noblistów, słownik historii literatury, były też informacje o działaniach ruchu KKMP w regionach, a także dział plastyki, muzyki i rozrywki. Ponadto w każdym numerze znajdował się arkusz poetycki promujący nową twarz na scenie polskiej poezji. Tak zadebiutowało w skali ogólnopolskiej wielu członków KKMP z innych ośrodków w kraju, m.in. Marta Klubowicz, Krzysztof Śliwka, Darek Foks, Ewa Cecylia Laskowska, Lech Lament czy Jacek Dobrzyniecki, a wiersze publikowali również starsi lub byli członkowie Klubu, np. Urszula Gierszon, Krzysztof Gąsiorowski, Zbigniew Włodzimierz Fronczek, Janusz Koryl, Czesław Sobkowiak czy Jerzy Fryckowski – poeta z Dębnicy Kaszubskiej, urodzony w 1957 r. w Gorzowie Wlkp.

Ożywienie artystyczne ruchu nastąpiło jednak dopiero w 1986 r. Z lubuskich autorów członkami KKMP w Warszawie byli m.in. Sławomir Gowin, który wówczas studiował na Uniwersytecie Warszawskim, Dariusz Muszer – animator kultury ze Strzelec Krajeńskich i Waldemar Mystkowski pochodzący ze Słupska, który w pierwszej połowie lat 80. zamieszkał w Zielonej Górze. Mystkowski od 1982 r. był w składzie redakcji „Okolic”, natomiast Gowin od 1988 r. był współpracownikiem redakcji. W piśmie swoje wiersze publikowała także Anita Simonjetz z Zawady, która należała wówczas do Klubu Młodego Autora istniejącego przy harcerskim tygodniku „Na Przełaj”. W tym czasie przy redakcji „Okolic” uruchomiono też serię wydawniczą „Biblioteka Okolic” redagowaną przez Stanisława Nyczaję, w ramach której publikowano arkusze poetyckie autorów, którzy nie ukończyli 30 roku życia.

Pismo do 1989 r. ukazywało się pod patronatem Zarządu Głównego ZSMP w Warszawie, a od 1990 r. wydawcą pisma było Stowarzyszenie Korespondencyjnego Klubu Pisarzy. Andrzej Żmuda, szczególnie podkreślając promocyjny charakter miesięcznika „Okolice”, pisma przeznaczonego dla młodych piszących, skupionych zarówno w KKMP, jak i poza nim, napisał:

Ale „Okolice” to nie tylko redagowanie pisma, udział w seminariach, warsztatach literackich i konkursach. To również ten rodzaj działalności organizacyjnej, który pozwala redakcji wychodzić na zewnątrz, jak to się potocznie mówi „ruszyć zza biurka”. Stąd wraz ze Staromiejskim Domem Kultury w Warszawie wydajemy serię artystyczną „Biblioteka Okolic”, a z Centrum Kultury Młodzieżowej „Kaprys” organizujemy cykliczne spotkania autorów „Okolic”, nie tylko poetów, prozaików ale również plastyków, muzyków, reporterów. Ponadto, stały udział w Warszawskiej Jesieni Poezji, wymiany zagraniczne, punkt konsultacyjny porad warsztatowych⁹.

Najprężniej działające ośrodki KKMP w latach 80. były w Częstochowie, Kielcach, Tarnowie (KKMP „Trop”), Ciechanowie, Płocku, Koninie, Siedlcach (KKMP „Nowa Samosiejka”), Koszalinie, Suwałkach, Krośnie (KKMP „Pogórze”) i w stolicy, gdzie funkcjonował Warszawski Klub Młodych Pisarzy. Ośrodki te podejmowały różnorodne inicjatywy, prowadząc warsztaty, seminaria, sesje literackie, konfrontacje, biesiady, konkursy poetyckie czy turnieje jednego wiersza, np. ogólnopolskie konkursy organizowano w Warszawie, Suwałkach i Siedlcach, warsztaty pisarskie w Koninie, Kielcach i Koszalinie, a biesiady w Tarnowie, w których często uczestniczyli członkowie ZLP, przeważnie wcześniej związani z ruchem KKMP.

8 W skład Rady wchodził także: Jan Z. Brudnicki, Tadeusz Chudy, Jacek Kajtoch, Wiesław Krzysztozek, Piotr Kuncewicz, Jacek Marcinia, Stanisław Nawrocki, Stanisław Nyczaj, Tadeusz Mocarski, Stanisław Wiechna i Andrzej Zaniewski.

9 A. Żmuda, *** „Okolice” 1987, nr 12, s. 5.

10 Zob. (AW), Stowarzyszenie Korespondencyjny Klub Pisarzy „Okolice”, „Kresy” 1991, nr 7, s. 162.

Z lubuskich literatów związanych z KKMP po 1982 r. najbardziej znani to Mystkowski i Muszer, choć i Gowin przed opuszczeniem Zielonej Góry miał swoje przystowię „pięć minut”. Każdy z nich wydał kilka zbiorów poezji, niekiedy powieść czy też był autorem różnych antologii poetyckich, szkiców bądź opracowań historycznych.

Waldemar Mystkowski (ur. 1954 r. w Słupsku), studiował polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim oraz reżyserię w PWSFTiTv w Łodzi. Pracował jako redaktor „Okolic”, „Zielonogórskiej Gazety Nowej” i telewizji regionalnej TV-51, a obecnie prowadzi blog informacyjny. Zajmuje się poezją, prozą i krytyką. Debiutował wierszem w 1972 r. w „Studencie”. Wydał tomiki wierszy: *Słowa do fabuły* (1979), *Sceny batalistyczne* (1984), *Treść do romansu prowincjonalnego* (1984), *Czółno czułości* (1987), *Wilgotny język polski* (1988) oraz szkic historyczny *Gdzie depcesz?* (1999). Otrzymał Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” w 1984 r. Jest członkiem zielonogórskiego oddziału ZLP od 1984 r. W latach 1979-1981 należał do grupy poetów realistów „Metro II” w Słupsku. Mieszkał w Słupsku, obecnie w Zielonej Górze.

Dariusz Muszer (ur. 1959 r. w Górzycy), ukończył prawo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracował m.in. jako dyrektor domu kultury w Strzelcach Krajeńskich. Uprawia poezję, prozę, dramat, pisze słuchowiska radiowe, zajmuje się też aktorstwem i reżyserią teatralną, ale przede wszystkim utrzymuje się z przekładów dla „Świata Książki” książek wydanych w Niemczech i Szwajcarii. Debiutował wierszem w 1978 r. w piśmie „Liberum Veto”. Wydał tomiki wierszy: *Zatrzymane wersy* (1987), *Panna Franciszka. Pomyłony akordeon i inne wiersze* (1994), *Jestem chłop* (2004), *Wszyscy moi*

nieznajomi (2004), opowiadania *Ludziojad* (1994) i powieści *Niebieski* (2006) i *Lummick* (2009). Był członkiem ZAKR. Mieszkał w Górzycy, Strzelcach Krajeńskich i Gorzowie Wlkp., a obecnie w Niemczech, dokąd wyjechał w latach 90.

Z kolei Sławomir Gowin (ur. 1965 r. w Krośnie Odrzańskim), ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i pracował jako dziennikarz „Zielonogórskiej Gazety Nowej”, był też redaktorem periodyku „Wizja Lokalna”, potem prowadził prywatną działalność, m.in. wydawniczą. Zajmuje się poezją, publicystą i felietonistyką. Zadebiutował wierszem w 1982 r. w „Nadodrze”. Wydał tomiki wierszy: *Biały tydzień* (1992) i *Estetyczne przyjemności* (2002). Był też autorem antologii poezji bachanaliowej, opracowań wierszy Tuwima i katalogów filmowych. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry w 1998 r. i Zielonogórskiego Czarta Kulturalnego w 1999 r. Jest działaczem ZSMP, a od 2008 r. przewodniczącym tej organizacji, kiedy to objął funkcję po odejściu Bogusława Wontora, lubuskiego posła SLD. Mieszkał w Zielonej Górze, a od kilku lat w Warszawie.

W 1990 r. blisko 1,4 miliona członków ZSMP wystąpiło z tej organizacji, a władze ZSMP zaczęły wyprzedawać majątek, by pokryć długi Związku, który rok później stał się przybudówką młodzieżową Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Natomiast ogólnopolski ruch KKMP w 1990 r. przemianowano na Stowarzyszenie Korespondencyjnego Klubu Pisarzy „Okolice”¹⁰. Jednak po 1991 roku Stowarzyszenie KKP „Okolice” całkowicie zaprzestało działalności. W okresie ponad czterdziestoletniego istnienia ruchu (1959-1991) zrzeszał on około tysiąca członków, z czego blisko 80 z samej Ziemi Lubuskiej.

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia...

Stanisław Kowalski

Muzealnik kochający zabytki w Zielonej Górze. Konserwator strzegący ich przez wiele lat z miną wojownika. Przy tym sam Staszek jest człowiekiem pomagającym w potrzebie, wiecznie uśmiechniętym. Ekslibris wyraża egipskiego Cerbera... Czego strzeże? To taki mały mój dowcip dla Staszka.



*Stanisława ex
Kowalskiego*



Stanisław Dawski

Grafiki czy obrazy mają swoją historię. Czas się w nich zatrzymał. Przypominają nam miejsca znajome i te, w których chciałoby się być. Mam dwie grafiki prof. Stanisława Dawskiego. Patrząc na nie, wracam do czasów studenckich, do pracowni grafiki, do rozmów z profesorem. Odcisnął swoją osobowość na moim rozumieniu sztuki. Wspaniały pedagog i człowiek. Przez wiele lat po studiach utrzymywałam kontakt z profesorem. Ekslibris powstał zaraz po ukończeniu uczelni i został przyjęty z... uśmiechem. W rewanżu otrzymałam grafikę *Kobieta*.

Tadeusz Dobosz

Rzeźbiarz... Trudny, mozolny i fizycznie wyczerpujący zawód. Tajemnicą pozostaje zastygły uśmiech w granitowej twarzy. Marmur, piaskowiec czy granit to tylko pozornie martwe kamienie... Rzeźbiarz wie, że jest w nich świat dźwięcznej ciszy, intrygujący świat zagadek, które tajemnicami powinny pozostać (bo filozofom się o nich nie śniło). Na rysunku ekslibrisowym umieściłam muzę, opiekunkę sztuk pięknych. Dla rzeźbiarza natchnienie do ciężkiej, fizycznej pracy.



Jerzy Fedro

Jaki jest świat? Skomplikowany. Często przypomina grafiki Jerzego. Płatanina linii, chaotyczne nagromadzenie kształtów, zawikłanych konturów, z których na koniec wyłania się czysta forma przedmiotu. Świat w grafikach Jerzego jest piękny i tajemniczy. Lubię jego obrazy graficzne i rysunki. Odnajduję w nich prostotę i spokój tak charakterystyczny dla zaprzyjaźnionego ze mną Jerzego.



Mariusz Kowalski

Urodził się w 1969. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze. Studia: Instytut Sztuki i Kultury Plastycznej (obecnie Instytut Sztuk Wizualnych, Wydział Artystyczny, Uniwersytet Zielonogórski) w Zielonej Górze. Dyplom w pracowni rysunku prof. Izabeli Gustowskiej. Studia podyplomowe z grafiki komputerowej na Politechnice Zielonogórskiej. Od 2009 roku Członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Uprawiane dziedziny: rysunek, malarstwo olejne, grafika cyfrowa.

O swojej twórczości mówi: „Moje prace są efektem zafascynowania się możliwościami grafiki cyfrowej. To odmienne od klasycznych medium, które w postaci graficznego oprogramowania i tabletu staje się równoprawnym narzędziem w procesie tworzenia.

Spod elektronicznego piórka wyłaniają się pełne fantazji obrazy kreowanej na nowo rzeczywistości, w której dominują elementy przyrody przeplatające się z fantastyczną wizją innego świata. Wydawać by się mogło, że technika komputerowa to jedynie zimne i bez wyrazu narzędzie, które dyktuje swoje warunki i samo decyduje o efekcie końcowym wygenerowanej myśli twórczej. Nic bardziej mylnego. Program graficzny traktuję bowiem jak nowoczesny pędzel lub ołówek, który równie posłusznie przenosi moje wizje na ekran monitora, co tradycyjne narzędzia na blejtram czy papier. Wirtualne krainy, wszechświat, nowe technologie... to wszystko jest poszukiwaniem i jakby zaproszeniem do odnalezienia nowego miejsca kontemplacji artystycznej wizji nowego świata.

Tak oto pojawia się nowy aspekt natury tworzenia, digital art, zawarty w budującej się na nowo relacji: twórca człowiek – odtwórca maszyna, gdzie maszyna, jaką jest komputer, staje się narzędziem do poruszania się w cyberprzestrzeni, a więc w obszarze jak najbardziej sprzyjającym realizacji form fantazy. A to, mnie – twórcę, w tym warsztacie pracy najbardziej pasjonuje”.

Wystawy indywidualne: 2008 *Inne światy*, Klub muzyczno-artystyczny, 4 Róże dla Lucienne, Zielona Góra; *Inne światy II*, Galeria Pro Arte w ramach Dni Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra; 2009 *Inne światy III*, Radio Zachód, Zielona Góra; 2013 *To co lubię*, grafika komputerowa, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra.

Wystawy zbiorowe: 2008 Wystawa multimedialna POLKON 2008 – Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra; 2010 *Next*, Galeria Pro Arte, Zielona Góra; 2011 – *100 lat Związku Polskich Artystów Plastyków*, Twórczość Artystów Okręgu Zielonogórskiego ZPAP – Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra; 2011 *Fantastyczne Winobranie*, prezentacja multimedialna na deptaku zielonogórskim.



Bez nazwy, grafika komputerowa, 2012



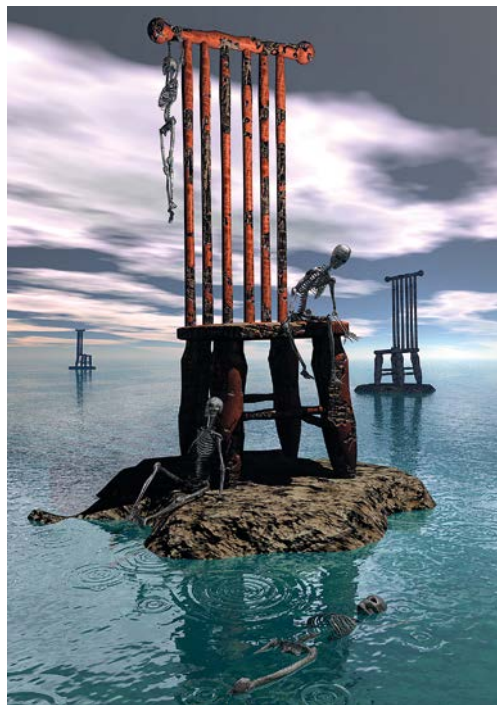
Góry, grafika komputerowa, 2012



Statek, grafika komputerowa, 2012



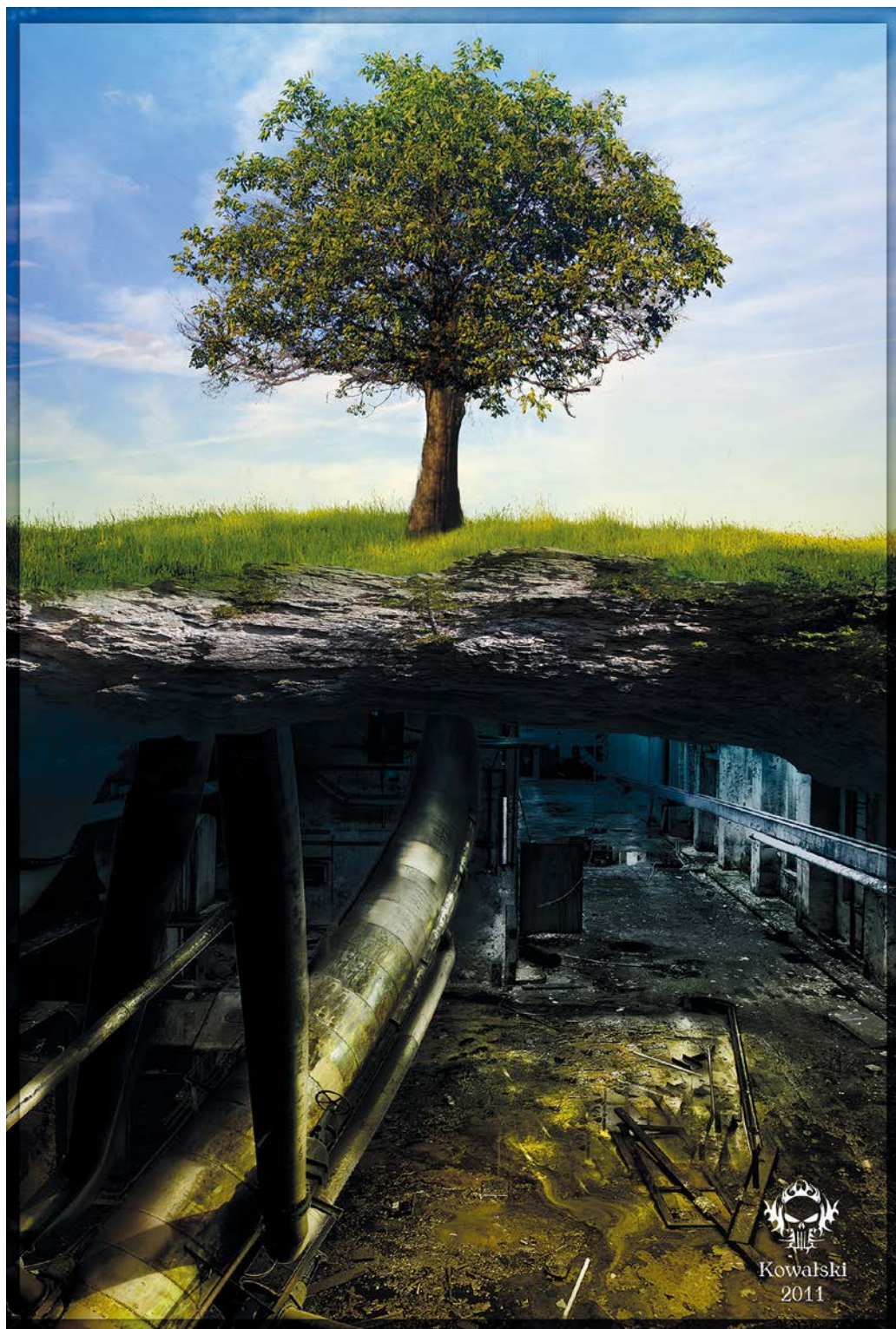
Grota, grafika komputerowa, 2012



Krzeseł, grafika komputerowa, 2012



Fabryka, grafika komputerowa, 2012



Drzewo, grafika komputerowa, 2012



Statek, grafika komputerowa, 2012

To, co lubię

Grafika cyfrowa jest dziś powszechna. Ale nie była taka jeszcze wczoraj. To dokonało się na naszych oczach, w ciągu raptem kilku ostatnich lat. Najpierw była to ciekawostka, dość egzotyczna z racji dawnych cen sprzętu i oprogramowania, wymagających specjalistycznych umiejętności aplikacji. Niektórzy (nie tylko) artyści tamtego czasu próbowali rzecz całą zignorować, widząc w grafice komputerowej chwilową modę bez większego znaczenia... Ale czas mijał, sztuka cyfrowa stawiała się coraz przyjaźniejsza, a cyberprzestrzeń stopniowo otaczała nas, przenikała, z krainy czasem odwiedzanej stała się *de facto* rzeczywistością i niezbędną przestrzenią naszego życia; w jakimś sensie może prawdziwszą. Dziś grafika komputerowa jest medium naturalnym, powszechnym, obecnym bez wątpliwości w polu codziennej aktywności, w kul-

turze i w sztuce. Widzieliśmy to, świat przepoczwarzył się na naszych oczach. Zmiana jest tak naturalna, że niemal jej nie dostrzegamy, ale to metamorfuje sam fundament rzeczywistości. Dziś, w tej chwili. Mariusz Kowalski był jednym z pierwszych artystów środowiska zielonogórskiego (obok twórców zrzeszonych w Korporacji Trylobit), którzy po cyfrowe narzędzia sięgnęli, nie tylko dla zabawy, ale jako po główny środek wyrazu. Artysta kreuje najczęściej fantastyczne krajobrazy i scenerie, znajdziemy tu zarówno odniesienia do surrealizmu i symbolizmu, jak i do estetyki popkultury. Równocześnie Twórca nie zamyka się w ramach jednej konwencji obok fantastycznego realizmu, eksperymentując z ekspresyjnym gestem. To podróż po wciąż niemal nieodkrytym obszarze. Wszystko może się zdarzyć.



Joanna Kapica-Curzytek

Papusza – skazana na legendę

Spotkanie z Angeliką Kuźniak, dziennikarką i autorką książki *Papusza*, było wydarzeniem, które zapoczątkowało tegoroczny III Festiwal Literacki w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. C. Norwida. 19 listopada 2013 zgromadzonych w Sali Dębowej gości przywitała zastępca dyrektora Biblioteki Anna Polus. Wspomniała Annę Tokarską, poetkę i animatorkę życia kulturalnego w Zielonej Górze, która odeszła przed paroma tygodniami. „Pozostawiła po sobie wiele dobrych wspomnień”, mówiła ze wzruszeniem Anna Polus, ogłaszając, że od tego roku Festiwal Literacki będzie nosił imię Anny Tokarskiej.

Po tym pełnym refleksji wstępie przekazano mikrofon Angelice Kuźniak i moderatorowi spotkania

Robertowi Rudiakowi. Zanim jednak zabrali głos, rozległ się na sali głos samej Papuszy. „Nad Niemnem dzieckiem byłam...”, opowiadała śpiewną polszczyzną z kresowym akcentem. Tak oto w niepowtarzalny klimat i nastrój spotkania wprowadziła słuchaczy krótka multimedialna prezentacja.

Robert Rudiak rozpoczął dyskusję z autorką *Papuszy* pytaniem – skąd wzięt się pomysł na napisanie tej reportażowej opowieści o cygańskiej poetce? Okazało się, że pewne znaczenie mają tu więzy emocjonalne: Angelika Kuźniak pochodzi ze Słubic, zna Gorzów Wielkopolski i tamtejszy Park Róż, ten sam, po którym dawniej przechadzała się Papusza – Bronisława Wajs i wróżyła przechodniom. W 2006

roku dziennikarka natrafiła na jej wiersze, które – choć na poezji się nie zna, jak to ujęła – przemówiły do niej swoją kruchością i siłą oraz tęsknotą za wolnością. Po jakimś czasie nastąpiło mozolne zbieranie materiałów do książki, której wydanie w tym roku bez wątpienia okazało się sukcesem, również z racji obecności na listach najlepiej sprzedających się książek. Dla Angeliki Kuźniak ważniejsze jest jednak co innego: to, że jej opowieść jest czytana na różnych płaszczyznach: „dla każdego czytelnika okazuje się ważne co innego: samotność i wyobcowanie, Wołyń, tęsknota do wolności”, opowiadała dziennikarka.

Dzisiaj nader trudno ustalić i zweryfikować jednoznaczne wersje różnych epizodów z życia Papuszy. „Papusza jest skazana na legendę”, stwierdziła Angelika Kuźniak. Zdarzało się, że kontaktując się ze swoimi rozmówcami, autorka słyszała o niej za każdym razem coś innego. To właśnie dlatego tak niewiele jest w książce głosów osób trzecich o cygańskiej poetce.

Są na przykład rozbieżności, jeśli chodzi o chorobę psychiczną Papuszy. Czy poetka już urodziła się chora psychicznie, a może była zupełnie zdrowa, a tylko celowo kierowano ją do ośrodków psychoterapii, by nie dosięgła jej cygańska klątwa? Angelika Kuźniak dotarła do lekarza, który przed laty opiekował się Papuszą podczas jej pobytów w jednym ze szpitali. Nie łamiąc tajemnicy lekarskiej, zwrócił uwagę, że u poetki chorobę wywoływał zawsze jakiś bodziec: po raz pierwszy (Papusza miała wtedy 20 lat) – była to miłość do młodszego o kilka lat od siebie Witolda. Można wyobrazić sobie, ile ją kosztował dramat ich rozstania, „bo cygańska żona nie zostawia swojego męża”, nawet jeśli go nie kochała. W późniejszym czasie nawroty choroby były następstwem odrzucenia Papuszy przez jej rodzimą społeczność. Nigdy nie opuszczała cygańskiej poetki poczucie, że całe zło w jej życiu wzięło się z poezji, z tego, że nauczyła się czytać i pisać. Podczas jednego z ataków choroby Papusza spaliła wiele swoich wierszy, jej mąż Dionizy Wajs ocenia, że mogło być ich nawet trzysta.

Pozostało nam czterdzieści wierszy, przetłumaczonych i opublikowanych przez Jerzego Ficowskiego. To jemu zawdzięczamy, że możemy dzisiaj czytać

i wzruszać się wierszami Papuszy. Ficowski odkrył w cygańskim taborze pokrewną duszę – poetkę. Dzięki niemu pozostały nam nie tylko te wiersze, ale i jej listy (pisane do niego samego i do Juliana Tuwima).

Dla Angeliki Kuźniak ważną rzeczą w pracy nad książką było dotarcie do archiwum Ficowskiego, udostępnionego przez żonę poety Elżbietę. Autorce *Papuszy* udało się także z rozproszonych źródeł złożyć 169 numerowanych stron pamiętnika Papuszy. Wiersze pisane były po romsku, ale listy i pamiętnik – po polsku. Autorka książki opowiadała o swojej kilkumiesięcznej drobiazgowej pracy, polegającej na mozolnym odczytywaniu (często przy użyciu lupy!) rękopisów cygańskiej poetki. Papusza jako samouk nie znała reguł ortografii ani obowiązujących kanonów zapisu, jakimi są marginesy i akapity, dlatego przedzieranie się przez labirynty słów było dla Angeliki Kuźniak sporym wyzwaniem. Lekturę utrudniały także liczne dygresje, zaburzające śledzenie głównych wątków utrwalonych piórem opowieści.

Co łączyło Jerzego Ficowskiego z Papuszą? Angelika Kuźniak nie ma wątpliwości, że wspierał ją duchowo, zachęcał ją do pisania. Był przyjacielem, pomocnym w trudnych chwilach. Cenił poezję Papuszy o wiele bardziej niż ona sama, niedoceniająca swojego talentu, mająca poczucie, że nie dorasta do wielkiego świata poezji i literatury. Ale to przecież dzięki swojej twórczości, spopularyzowanej przez Jerzego Ficowskiego, została przyjęta w poczet członków Związku Literatów Polskich.

Szczególną chwilą spotkania były wspomnienia Janusza Koniusza, byłego długoletniego sekretarza Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze. Zielonogórski literat jako jedyny ze zgromadzonych tego wieczoru w Sali Dębowej znał Papuszę osobiście, choć, jak zaznaczył, tylko powierzchownie. Janusz Koniusz przywołał ze swojej pamięci Czwartek Lubuski z 1958 roku z udziałem Papuszy, prowadzony przez Tadeusza Kajana. Była to zresztą jedyna wizyta poetki w Zielonej Górze. Papusza podczas tamtego spotkania niewiele mówiła, o wiele bardziej rozmowny był jej mąż. Janusz Koniusz dostrzegał tu dramat Dionizego Wajsa: absolutnie niemożliwe było dla niego zaakceptowanie roli „męża swojej żony”,

która cieszyła się (niepojętym dla niego) uznaniem, stale umniejszała jej dokonania, nie rozumiał fenomenu jej sławy. Przyczyną była tu nie tylko jego apodyktyczna osobowość, ale przede wszystkim – mocno osadzone w tradycji kulturowe i społeczne uwarunkowania skrajnie patriarchalnej romskiej społeczności.

Janusz Koniusz wiele razy spotykał się z Papuszą w domu państwa Wajsów. Pamięta, że – jak na swój status osoby niewykształconej – poetka posiadała ogromną i rozległą wiedzę, którą zdobyła samodzielnie, bo bardzo lubiła czytać i ceniła sobie książki. Dzięki Januszowi Koniuszowi mogliśmy się także dowiedzieć, że ówczesni członkowie lubuskiego oddziału Związku Literatów Polskich długo zabiegali – z sukcesem – o przyznanie Papuszy stałego zasiłku, ostatecznie przyznanego jej przez ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza.

Zapytano także Angelikę Kuźniak o zbieżność jej książki z filmem Joanny i Krzysztofa Krauzów. Rzeczywiście, za sprawą romskiej poetki drogi reportażystki i pary reżyserów się zbiegły, autorka książki pracowała nad dokumentacją ich filmu i rozmawiała o Papuszy z Jowitą Budnik, odtwórczynią roli tytułowej w filmie, udzielając jej wskazówek.

Robert Rudiak wspólnie z Angeliką Kuźniak próbowali uchwycić fenomen Papuszy żyjącej w dwóch światach: w kulturze cygańskiej i polskiej, na wsi i w mieście, prowadzącej koczowniczy tryb życia i osiadły. Można raczej powiedzieć, że żyła ona nie tyle w dwóch kulturach i dwóch światach, ile – pomiędzy nimi. Nie mogła się odnaleźć wśród Polaków, a przez swoich była izolowana, co bardzo przeżywała. Angelice Kuźniak udało się sprostować powszechne przekonanie: Papusza, choć odrzucona, nie była przez Romów skalana, jej społeczność nie rzuciła na nią klątwy. Uznano, że już dostatecznie ukarał ją Bóg, zsyłając na nią chorobę psychiczną.

Na pytanie Roberta Rudiaka, czy poetka mogła mieć jakieś życiowe motto, wskazówkę, której mogła być wierna – Angelika Kuźniak odpowiedziała: nie wiem. Są to znamienne słowa, bo jakże często padają one w odpowiedzi na pytania o wiele faktów z życia Papuszy. To dlatego autorka napisała opowieść o jej życiu słowami samej poetki, która już za swojego życia była skazana na legendę. Swoi już jej nie ufali, a obcy – jeszcze nie potrafili poradzić sobie z dzielącą obie społeczności kulturową barierą. *Papusza* Angeliki Kuźniak, czyniąc krok w stronę prawdy o poetce, tę barierę skutecznie przetamuje.



Odeszła gigantka literatury: Doris Lessing in memoriam

17 listopada 2013 roku, w wieku 94 lat, zmarła Doris Lessing. Jedna z najważniejszych, najwybitniejszych i najlepszych pisarek XX wieku. Sześć lat wcześniej Akademia Szwedzka uhonorowała ją Literacką Nagrodą Nobla za „za epicką prozę, która jest wyrazem kobiecych doświadczeń, przedstawianych z dystansem, sceptycyzmem, ale też z ogniem i wizjonerską siłą, która poddaje badaniu podzieloną cywilizację”.

Właśnie temat kobiecych doświadczeń pozostawał najważniejszą ośią, wokół której koncentrowała się cała twórczość Noblistki. Była sejsmografką kobiecych przeżyć, porażek, sukcesów; apologetką kobiecej siły, ale nie stroniła od ukazywania kobiecych słabości w zetknięciu z hegemonią patriarchy. Chętnie mówiła oraz pisała również o własnych doświadczeniach. Na temat decyzji dotyczącej opuszczenia męża i dwójki dzieci w Rodezji, w 1948 roku z żelazną konsekwencją do końca życia twierdziła: „Nie żałuję tego, uratowałam się”.

Wykluczenie jednostki ze świata, zarówno tego indywidualnego, jak i społecznego, jest jednym z wielkich motywów jej książek. Lessing pozostawała zawsze otwarta na to, co inne, obce, odrzucone, nieznanujące zrozumienia i wsparcia. Nadała głos tym, którzy tego głosu w literaturze nie mieli; występowała w ich obronie. Jej *Złoty notes* z 1962 roku jest powieścią przełomową dla XX-wiecznego pisarstwa kobiecego, w której bardzo wyraźnie wprowadzona została żeńska perspektywa jako perspektywa ogólnoludzka, uniwersalna. Wielu literaturoznaw-

ców uznaje także ten utwór za „pierwszą powieść postmodernistyczną”. Lessing wierzyła w sens i rolę literatury zaangażowanej, która odpowiada na najważniejsze problemy współczesności, wierzyła w społeczną moc literatury.

Często powracała do tematyki miłości, pisała o niej oryginalnie, nieschematycznie, niestandardowo, zawsze z empatią, akceptacją, zrozumieniem, bo pisała o miłościach trudnych, często niemożliwych, zakazanych, wyrzuconych poza margines społeczny. Biała, zamężna właścicielka farmy w kolonialnej Afryce Południowej zakochuje się w czarnoskórym służącym (*Trawa śpiewa*); szczere uczucie młodej dziewczyny, po traumatycznych przeżyciach wojennych, zostaje wystawione na ciężką próbę, gdy okazuje się, że jej ukochany ma żonę i dwójkę dzieci (*Ta trzecia*); brat oraz siostra posiadający własne rodziny zaangażowani są w kazirodzcy związek (*Wzajemność*); poukładane życie kobiety w średnim wieku znacząco zmienia się, kiedy od męża i dzieci odchodzi do młodszego kochanka (*Lato przed zmierzchem*); matka poświęca wszystko na rzecz socjopatycznego, agresywnego, upośledzonego syna, zostając zupełnie sama (*Piąte dziecko*); sześćdziesięciopięcioletnia kobieta zakochuje się w uwodzącym ją dwudziestoparolatku (*Znów ta miłość*); stateczny mąż i ojciec wpada w obsesję na punkcie nieżyjącej od 80 lat kompozytorki, co prowadzi do tragicznego finału (*Znów ta miłość*); dwie przyjaciółki zakochują się nawzajem w swoich nastoletnich synach, krzywdząc siebie oraz najbliższych (*Dwie kobiety*). Lessing nie

ocenia swoich bohaterów, nie pozostawia również czytelnikom gotowych recept na wybrnięcie z „niełatwych miłości”. Ona zdecydowanie mówi o tym, że nie ma chorych, złych uczuć. Miłość w jej książkach jest zawsze uczuciem ważnym, chociaż często trudnym i wymagającym zrozumienia bez względu na wiek, kolor skóry, płeć czy status społeczny.

Wiele utworów pisarki jak np. trzy pierwsze powieści z monumentalnego, epickiego cyklu „Dzieci przemocy” utrzymane są w poetyce XIX-wiecznego, solidnego, brytyjskiego realizmu, ale Noblistka chętnie eksperymentowała z formą oraz gatunkami, o czym świadczy psychodeliczna powieść *Przed zstąpieniem do piekieł*, cykl *science fiction* „Canopus in Argos: Archives” czy gotyckie elementy pojawiające się w *Piątym dziecku*.

Lessing nie interesowały nagrody, splendor i wyróżnienia. Nie dbała o to. Chociaż jej nazwisko na tzw. noblowskiej giełdzie pojawiało się od 40 lat, droga do najważniejszej nagrody okazała się trudna oraz wyboista. W latach 70. podczas cyklu spotkań autorskich w Sztokholmie, jeden z członków Akademii Szwedzkiej powiedział do niej: „Nie lubimy pani. Nigdy nie damy pani Nobla”, ale ona się tym nie przejmowała i nie zabiegała o noblowski laur. W 1991 roku o pisarce zrobiło się głośno, kiedy nagroda trafiła do Nadine Gordimer, która podobnie jak Lessing poświęciła wiele utworów problemom Afryki, krytykując politykę apartheidu. Pojawiło się wówczas pytanie: „dlaczego nie Doris Lessing?”. Jednak dobrze się stało, że Akademia nie przyznała Nobla autorce *Złotego notesu* wyłącznie za książki afrykańskie (*Trawa śpiewa*, *Martha Quest*, *Mrowisko*, *Opowieści afrykańskie*, *Drugie opowieści afrykańskie*), bowiem bardzo szkodliwie recepcja Lessing została zubożona wyłącznie do tematyki antykolonialnej.

Kiedy w październikowy czwartek 2007 roku ówczesny sekretarz Akademii Szwedzkiej prof. Horace Engdahl ogłaszał werdykt, na jego zazwyczaj poważnej i stanowczej twarzy przebiegł uśmiech radosnego zaskoczenia, gdy zgromadzeni dziennikarze oraz obserwatorzy przerwali mu to krótkie wystąpienie burzą oklasków i okrzyków radości, po słowach „Doris Lessing”. W wywiadach udzielanych mediom

powiedział m.in., że Nobel dla brytyjskiej prozaiczki jest „jednym z najbardziej przemyślanych werdyktów w historii tej nagrody”, a autorka *Szczeliny* „wywarła wielki wpływ na całe pokolenie pisarzy”, „otworzyła nowe pola doświadczenia literackiego, na przykład na kobiecą seksualność”, zaś „jej powieści z lat 50. pozwalają nam zrozumieć problemy zachodniego marksizmu”.

Wielkim doświadczeniem jej życia oraz twórczości okazał się komunizm. Zaraz po II wojnie światowej żarliwie zaangażowana w działalność Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, wierzyła w iluzję sowieckiego szczęścia mas pracujących. Gdy w 1956 roku przyszła szokująca prawda o stalinowskim Związku Radzieckim oraz krwawym stłumieniu węgierskiego zrywu wolnościowego, Lessing popadła w depresję i otarła się o alkoholizm. Nie potrafiła, tak jak jej francuscy koledzy po piórze, przelać swojej zawiedzionej wiary w stalinizm na Mao Zedonga, Che Guevarę i Fidela Castro. Sparzyła się na gorącym. Wielokrotnie wspominała, że dla niej ten system okazał się wielkim oszustwem. Jej kolega wyskoczył z okna siedziby partii komunistycznej, dowiedziawszy się o ogromnie zbrodni ustroju mającego przynieść wyłącznie dobro. Ostateczne rozczarowanie komunizmem potwierdziło małżeństwo z Gottfriedem Lessingiem, z którym miała „smutny seks”, i którego fanatyzm zraził ją do działalności politycznej. Po tych doświadczeniach nie zaufała już żadnej idei, konsekwentnie odmawiając poparcia dla jakiegokolwiek stowarzyszenia, organizacji czy już w żadnym wypadku – partii. Rozrachunku z komunistyczną przeszłością dokonała w autobiograficznej dylogii *Pod skórą* i *Spacer w cieniu* oraz w eseju *Nie pytaj pisarza*.

Nigdy nie zatraciła jednak lewicowej wrażliwości: wspierała afrykańskich przywódców walczących z kolonializmem i hegemonią białego człowieka, takich jak Nelson Mandela czy Robert Mugabe, nazywając tego ostatniego „klejnotem Afryki”, ale kiedy on z marksistowskiego bojownika o wolność i prawa czarnoskórych przeistoczył się w latach 90. w krwawego watażkę, odrzucającego wszelkie idee, wysyłającego homoseksualistów do więzień, doprowadzając Zimbabwe do gospodarczej ruiny,

topiąc opozycję we krwi, Lessing nie szczędził mu słów surowej, jadowitej krytyki; radykalnie opinowała rządy Margaret Thatcher, której „nienawidziła” (*nota bene* w okresie rządów Żelaznej Damy umiejscowiła akcję jednej ze swoich najwybitniejszych powieści *Dobrej terrorystki*); George’a Busha porównywała do Hitlera, a Tony’ego Blaira nazywała „katastrofą dla własnego kraju”; w 1999 roku odmówiła przyjęcia nadanego jej przez Elżbietę II

tytułu Damy Imperium Brytyjskiego, uznając go za symbol kolonializmu.

I na koniec, osobiście pozwolę sobie dodać, że chociaż o autorce *Pamiętnika przetrwania* napisano wiele na całym świecie, a nad jej biografią już za życia pisarki pracowało kilkoro ludzi, najbardziej cennie określiła ją, na Facebooku, moja znajoma: „Z prozą Doris Lessing łatwiej mi być kobietą”. I podejrzewam, że z tych słów Noblistka cieszyłaby się najbardziej



Młoda poezja lubuska

Rozstrzygnięcie IV edycji Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris”

Przygotowując się cztery lata temu do zainicjowania Konkursu, organizatorzy nie mieli zamiaru mobilizować młodych autorów do frustrującego współzawodnictwa w konkurowaniu o wygraną. Planowali wyłonienie świeżo kiełkujących talentów, które – jak miano nadzieję – co roku ujawnią się i zasilą grupę współczesnych liryków lubuskich.



Mirosława Szott

Dzisiejszy świat żyje w klimacie ciągłego pośpiechu, poszukiwania nowych technologii, gonitwy za pieniędzem, który jest synonimem sukcesu. Przez to wiele prawd ulega dewaluacji, wiele symboli traci sens. Ale głód intelektualny, głód literatury istnieje nadal. Nowe pokolenia garną się do tworzenia słowa pisanego, przenosząc się w ten sposób w świat lepszych, ważniejszych wartości. Twórczość młodych nadsyłających wiersze świadczy o tym dobitnie. Dowodzi, że zagubienie duchowe, wyobcowanie w zastanej rzeczywistości nie jest stanem, który młodość akceptuje, a ich poszukiwania koncentrujące się na tworzeniu dają szansę na poczucie własnej godności i smakowanie życia.

Kolejna, czwarta edycja Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris” potwierdza, że proces poszukiwania własnych dróg i wyborów życiowych wciąż trwa, a chęć i potrzeba pisania nie wygasa.

Do tegorocznego Konkursu zakwalifikowało się dziesięcioro uczestników, spełniających wymagane warunki, tj. przypisanie do województwa lubuskiego, wiek do 35 lat, brak dotychczasowej publikacji w postaci książki poetyckiej oraz nadesłanie w wyznaczonym terminie zestawu co najmniej 40 wierszy o dowolnej tematyce.

Spośród nadesłanych prac trzyosobowe Jury wyłoniło i nagrodziło zestaw **Mirosławy Szott**, autorki dobrze znanej czytelnikom „Pro Libris”. Laureatka urodziła się w 1987 r., ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Zielonogórskim, gdzie obecnie jest dokto-

rantką. Poza tym aktywnie uczestniczy w zajęciach Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze. Już jako studentka rozpoczęła efektywną współpracę z redakcją pisma „Pro Libris”, regularnie dostarczając do publikacji teksty krytycznoliterackie i wykazując się sprawnym piórem oraz dużym znawstwem nie tylko lubuskiej literatury.

Nagrodą w Konkursie jest publikacja autorskich wierszy w formie tomiku poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy w wydawnictwie Wojewódz-

kiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze. Laureatce należą się serdeczne gratulacje i życzenia dalszego literackiego rozwoju. Pozostałym uczestnikom natomiast – podziękowania za nadesłane prace i słowa zachęty do aktywności w pisaniu. W imieniu redakcji wyrażam nadzieję, że dołączą oni do grona naszych współpracowników.

Poniżej publikujemy wybrane wiersze wszystkich uczestników Konkursu.

Mirosława Szott (godło Kotszredingera)

góry

niepewnie patrzą w dół
gdzie nocują cienie
jest doskonale cicho aby milczeć

jej lęk wysokości to obawa
przed śmiercią w pomyłonej przepaści
jego lęk wysokości to pragnienie skoku
do każdej przepaści prawdziwej

* * *

nie mam pretensji
do kotów że znikają nagle
jak w japońskich powieściach

należy wtedy usiąść
i przemyśleć wszystkie aluzje
sny zaplanowane
na najbliższy miesiąc
sprawdzić studnię

nie znikają przecież bez powodu
bez powodu dzieje się
co najwyżej Wszechświat

Judasz

staram się nie myśleć o tobie
dziś na górze oliwnej wskazałem cię
gorzkim pocałunkiem.
w mojej sakwie brzęczy trzydzieści srebrników,
teraz szykuję swój sznur.
pogrążony w wyrzutach sumienia,
piszę ostatni wiersz o miłości.

Operacja

zabierz ból i zwątpienie
nim pęknie mi serce,
jeszcze aksamitne i żywe.
zastygam jak nieforemna bryła,
to w twoich dłoniach spoczywa skalpel,
gotowy do wykonania powierzonej misji.
pamiętaj, że cięcie powinno być pewne i precyzyjne.

krążysz w moich żyłach jak heroina.

obraz gubi ostrość i kształty,
zasypiam błogo zdany tylko na ciebie.
czy potraktujesz mnie jak kolejny kawał mięsa?
po nieudanej operacji kiedy serce przestanie bić,
powiesz – trudno
następnie wpakujesz moje cielsko w czarny worek.

czy zapłaczesz w ukryciu?
nad sobą, nade mną?

budząc się, w oddali widziałem twoją postać
czułem piekielny ból, trawił mnie od środka.
głaskając mnie po głowie dałaś mi bilet.

bez możliwości powrotu.

podczas podróży nie płakałem,
stałem się kimś innym.

nowym. niedoskonałym. człowiekiem.

Michał Rożko (godło M.Jester)

* * *

Mojemu ojcu serce pękło
od piękna tego świata
od piękna świata krew się rozlała
i posiniał.

Ojciec raz zacharczał lub więcej razy,
prawdopodobnie z zachwytu nie potrafił wypowiedzieć słowa
kiedy przyszło mu odejść.
Cicho, bardzo lubił ciszę.

Niekoniecznie dlatego, by móc w spokoju
podziwiać piękno tego świata
dzielę się z tobą świecie moim smutkiem.
Ponieważ nie było mnie przy ojcu kiedy odchodził.

* * *

Powiedzże wietrze, zatrzymawszy się tylko
Na drzewie, którego gałęzie
Trą ledwo o ziemię
Jakże mi będzie?
A muszę powiedzieć,
Że ojca już nie mam

Ja nawet myślę o tym niechętnie,
A myśl, która spływa po moim ciele
I każdy liść od góry trąca, ulotna jest,
Nim zapuści korzenie – milknie
I w ziemię wsiąka

Jako, że muszę się podnieść po stracie,
Powiedzże wietrze które gałęzie
Przyjdzie mi wyrwać ze stawów głębokich,
A trzeba ci wiedzieć,
Że topieli otchłań jest we mnie
Od łez i od piekielnego ognia
I mnóstwo jest we mnie widoków ciemnych
I gór wysokich
Gdzieniedzie

Tchnienie

Jedno tchnienie życie powołało.
Jedno tchnienie opoką jest, skałą.
Jedno tchnienie światem rozporządza,
I jawi się blado w poświacie miesiąca.

Życiem jest jedno tchnienie,
Bólem, radością i wielkim cierpieniem.
Obarczone nieskazitelnością,
Spokojem ducha, bezkresną miłością.

I Ty jesteś jednym tchnieniem;
Bezkresną miłością i moim marzeniem.
I jedwabna na Twojej szyi spoczywa chusta,
Jesteś mym tchnieniem? – Masz zamknięte usta!

Szczęście

Chciałbym złapać Szczęście –
– Za rękę i powiedzieć Mu,
Że nie wypuszczę
Go już więcej.
I chciałbym też patrzeć –
Przez oczy zamknięte.
I widzieć Je, widzieć –
Bijącym sercem.
I siedzieć z Nim w parku –
– Na ławce kochanków.
I czuć Je, czuć mocno,
Za swoimi plecami.

Kacper Pietrenko (godło buwaj)

Gdy wyrosnę
[...]
a gdy już wyrosnę z tego żywota
i stanę się czystą Treścią,
samą blizną z tętniącą pode mną krwią,
wtedy przeniosę się wraz z moim synem
do ogrodów i będziemy liczyć gwiazdozbiory i chmury,
a także wyznaczać ich nowe granice.
Wtedy też dojdziemy razem do pewnej myśli, że
możliwe jest dla ludzkich rąk opisanie i zrozumienie idei Boga,
dowiemy się, że potrzeba do tego jedynie
całej wieczności!
(która ziarno po ziarnie przesypuje się nam między palcami)
[...]

...do źródła
Prawdą jest starożytne
Twierdzenie, że najstarszymi zegarami są
Rzeki, które wyznaczały upływ czasu,
Jeszcze zanim został on okiełznany.
Zanim odlano formy godzin i minut,
Tych małych klatek, którymi ujarzmiono dzikie zwierzę czasu,
Stworzenie to hasało sobie swobodnie
Po łąkach kosmosu.
Później pojawił się Człowiek – zniewolił bestię i nazwał ją Czasem.
Bestia jednak jest stworzeniem niezwykle przemyślnym
I pod Pozorem poddaństwa, rządzi swym nieświadomym powagi
sytuacji
Panem.

„PoOle Love&dove”
Lawendowe pole się przyśniło
Świat fioletu ukazując
Do rozmyślań przyczyniło
Na gołębia mi wskazując
Ptak był bowiem nieprzeciętny
Dumny bardzo w swej postawie
Potrzebuje więc zachęty
By popluskać ze mną w stawie
Ciało więc zaczynam prężyć
Lekko się przy tym bawię
Okiem rzucę zalotnie
By uchwycił nić kontekstu
Zignoruję później psotnie
Aby sam poszukał pretekstu
Do kłębka odnaleźć drogę
Sposobem tym wkrótce go poznam
Gdybym ją miała, dałabym głowę

Marzenia senne mnie prześladują
Mówią głośno, za głośno czasami
Bywają takie co ulatują
Razem z czarnymi kruczo krukami
Literaturę stosowną pożyczyłam
Myślą rozprawić się z marami
W książkach ponownie zaszyłam
Z Gustavem Jungiem i jego wywodami
Oczy w połowie lektury otworzyłam
Że sny pozostaną snami
A jeden z nich najważniejszy jest
Życzenie o scenariusz do Boga posłałam
Anioł stróż podsunął mi tekst
Do góry dołem w nieświadomości czytałam
A jakże wymownym bywa przeszłości gest
I nie pytaj proszę czy oszalałam
Bo skąd wziąć by na normalność test?

Łowcy głów

Żadnych poszukiwań, obraza
nie dla nich
Nasz talent wyprodukować chcą
Strzał w Twoje oczy
Lepszy niż stos kłamstw
Ja i Wy – nasze czasy
Pocałunek ziemi odkrywa wieczność
Strzał przywraca mnie do kłamstw
Roztocza i ciepłe mleko
Popularny trans
Zbrodnią nazwał by to nawet pies

Kulinarny przysmak szczęścia

Jak smakuje szczęście?
Smakuje nas!
Front wyżowy i niżowy
Plaga
Wiecznie głodnego uczucia
Drzewa potrzeb
Gałęziami zasłaniają już niebo
Cały las usycha
Pazerne na każdym terenie
Pasożyt
Jednego gatunku
Wyścig jednoślądów – jawny hazard
Dla szczęścia
Bezosobowe mrowisko
Dawkowanie i obserwacja
„Jak daleko mogą się posunąć?”
Wyrzekło się tak wielu
Tak wielu uczuć
Dotrzeć do błędnego
I jeszcze
Jeszcze
Więcej, bardziej zawile i dalej
Ubrać to
Pielęgnować by rosło
Szczęście niepojęte
Ogromne szczęście

Zaślepieni
Tuż obok mający mnogość
Różnorodność
Wielorakość
Niezależność
Ściany
Ściany!
To przecież dom
Mistycznie uzupełniona całość
Masy błędą
Dopiero przy brzegach
Niszcząc je
Ogłaszając jednak królestwem
Niezależnym będzie tylko jego kres

Monika Derczyńska (godło Nefretete)

* * *

Tak mi brakuje Twoich mocnych ramion
Błagam Boga
By świat otworzył w końcu
Przed nami swój horyzont

Moje kolejne zostań
Znów rozmyły krople deszczu
I znów rozwił wiatr

Nie patrząc na nic
Bezlitośnie
Zamykasz rozdział
Naszego kolejnego dnia

Zbyt dobrze wiem
Co znaczy
Umierać z tęsknoty

* * *

Zastanawiam się czasem
Czy jesteśmy ze sobą naprawdę

Nie Twoja to wina
Nie moja
Lecz losu

Że tak nam siebie odbiera
Że nas rozłącza
W tak dziwnie nietypowy sposób

I że tak naprawdę
Nie mamy nic do powiedzenia

Starłam się wczoraj
Nasyć Tobą na zapas
I nasycona
Pozwoliłam Ci odejść

Nie minęła godzina
Nim wycieńczona Twym brakiem
Uschłam

Małgorzata Wójciak (godło SAHIB)

oglądanie cieni

kiedyś dzień trwał dłużej
był wtedy jeszcze czas na życie
na przeglądanie się w oczach drugiego człowieka
dzisiaj zostało nam oglądanie cieni
w zamglonym lustrze pamięci
milczenie do tych którzy odeszli
i do tych od których nie umiemy odejść

dzisiaj zostało nam
niepisanie wierszy bo i tak nikt nie czyta
niewypowiadanie słów bo nikt nie słucha
i kochanie choćby nikt nie kochał

może to czas przyspieszył
a może to my z wiekiem zwalniamy

wiersze muszą być na papierze

gdy nikt nie patrzy otwieram
drzwi do świata aniołów

tu poezją przesycone jest powietrze
a każdy wiersz małą cząstką boga
etryczny i ulotny jak wspomnienie
zapachu z dzieciństwa

mówią że
wiersze muszą być na papierze
zadokowane jak statki w portach
przywiązane jak baloniki do rąk dzieci

bo odlecą z powrotem
do domu

Agnieszka Brudnoch (godło Zwierciadło)

Spotkanie

Gdy Cię widzę rozpościeram skrzydła
By na puchu mych marzeń unieść nasze malowidła...

Już nas widzę gdy powieki przymknę
Węże szczerozłote aż zajęknę krzyknę

Lecz to tylko gra mych myśli oszalałych
Głodu pragnienia mych ramion ospałych

Ach gdybyś wiedział co płynie ku Tobie
Zniszczyłbyś ślepe by skopać w serca dole...

Odszedłeś

Zapomniałam już jak czuć powiew wiatru w żyłach nurt
Stoję w sercu wrogi duch
Obłok pary pyłu brud

Gdzieś gdzie kończą się marzenia
Noc zapada brak spełnienia
Straszą tylko tu wspomnienia
Zjawy zmory objawienia

Zbudź mnie świecie Panie mój
Zatańcz ubierz wnet w swój strój...

RECENZJE I OMÓWIENIA

Naznaczona

Angelika Kuźniak, *Papusza*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013, 200 s.

„Nauki żadnej nie posiadam, żadnej szkoły. Co może powiedzieć stara Cyganka podobna do prawdziwka zapomnianego w jesiennym lesie? Jestem dziewczyna biedna, spod krzaku”, mówiła o sobie Papusza. Mimo to wpisała się na stałe w historię poezji. Z książki Angeliki Kuźniak wyłania się wzruszający portret kobiety – Cyganki naznaczonej talentem i przekleństwem.

Autorka pieczołowicie i z dbałością o szczegóły odkryła fragmenty życia Papuszy – Bronisławy Wajs, poetki cygańskiej i sklepiła je w całość, jak cząstki rozsypanej układanki. Angelika Kuźniak przesłuchiwała nagrania, obejrzała filmy, przeczytała i przeanalizowała dokumenty oraz listy. W rezultacie powstała przejmująca reportażowa opowieść o życiu niezwykłej kobiety, która znalazła trwałe miejsce w historii polskiej literatury niejako na przekór swojej płci, kulturze i brakowi wykształcenia.

Niemal każda strona tej książki, i to od samego początku, budzi niedowierzanie. Jak można było przetrwać wszystko to, co w życiu spotkało Papuszę? Tułaczka i bieda podczas dwóch wojen światowych, małżeństwo i rozwód. Zakazana miłość. Drugie małżeństwo zawarte bez miłości i pod przymusem („a jak ci się nie podoba, to spodoba się później”). Mąż często bił. Przybrany syn, jej „oczko w głowie”, pod koniec życia Papuszy zerwał z nią kontakt. Właśnych dzieci nie było – tego u Cyganów kobiecie się nie wybacza. Za to były wiersze, przychodzące do niej nie wiadomo skąd: ze świata przyrody czy z samego wnętrza jej duszy?

Z książki Angeliki Kuźniak wyłania się Papusza jako kobieta obdarzona niezwykłą siłą osobowości. Z czasem stała się harda. O jej wyjątkowości świadczy już to, że – choć nie spędziła w szkole ani jednego dnia – nauczyła się czytać od innych dzieci i żydowskiej sklepikarki: „dumna jestem, że ja, Cyganka ciemna, potrafię czytać”. To kłóciło się z cygańskim systemem wartości, w którym nauka i książki nie znaczą wiele, bo romska kultura ma przecież charakter oralny. A jeszcze mniej znaczy w tej kulturze kobieta, ot, tyle co przedmiot, rzecz. Z rzeczą można zrobić wszystko, co się chce. Cyganka czytająca książki – wtedy absolutnie nie do pomyślenia.

Również nie do pomyślenia była Cyganka pisząca wiersze. Być może dlatego wobec swojej twórczości Papusza do końca życia była pokorna: „[...] to nie byli wiersze. Piosenki. Wiersze są inny. [...] Piosenka to niżej. A wiersz wysoko, trzeba kształconych ludzi. Musi być uniwersytet, a ja nie mam ani jednej klasy kończącej. Nie mogę być wierszopisarka”. Stała się poetką za sprawą Jerzego Ficowskiego, który przez jakiś czas pomieszkiwał z Cyganami w taborze. To on namówił ją, by próbowała swoje piosenki „schwycić, zapisać i przysłać do Warszawy”. Ficowski pokazał przetłumaczone przez siebie utwory Julianowi Tuwimowi, który nie miał wątpliwości, że trzeba je publikować. W 1962 roku Papusza została członkiem Związku Literatów Polskich. Recenzje jej wierszy pisali m.in. Jerzy Przyboś, Wisława Szymborska i Anna Kamieńska – fragmenty ich tekstów są zresztą przytoczone w książce.

Do pewnego stopnia fenomen Papuszy jest więc fenomenem Jerzego Ficowskiego, który zaskarbił sobie zaufanie Cyganów. Budzi podziw, że zdołał przebić się przez skrajnie hermetyczną barierę ich języka i zwyczajów. Nieujawnianie tajemnic o sobie to jeden z nienaruszalnych fundamentów cygańskiego kodeksu, silnie wpływającego na ich obyczajowość, do dzisiaj zresztą w dużym stopniu utrudniającego Romom nawiązanie dialogu z innymi społecznościami. I choć nie tylko Papusza przyjaźniła się z Ficowskim – była na tyle inna od swoich, że to ją oskarżono o zdradę swoich poprzez swoje pisanie, przez co została wykluczona ze swojej społeczności. Papusza zapłaciła za to odrzucenie chorobą psychiczną, tracąc poczucie zakorzenienia i oparcia w rodzimej społeczności: „teraz znikąd jestem”. W ten sposób naznaczenie talentem było jednocześnie naznaczeniem przekleństwem.

Angelice Kuźniak udało się także odtworzyć zbiorowy portret polskich Cyganów i opowiedzieć ich historię. Doskonale uzupełniają go zresztą zamieszczone w książce liczne zdjęcia pochodzące z Muzeum Etnograficznego w Tarnowie, obrazujące codzienność cygańskiego życia taborze i przybliżające klimat wędrownego życia. Wiele możemy się dowiedzieć o świecie, który dzisiaj należy już do przeszłości.

Dzieciństwo Papuszy przypadało na lata dwóch wojen, gdy jej rodzina prowadziła koczowniczy tryb życia na Kresach Wschodnich. Czas II wojny światowej był dla Cyganów szczególnie trudny, ich społeczność skazana była na prześladowania i zagładę. Po wojnie zapadła decyzja o udaniu się na, jak wtedy mówiono, Ziemię Odzyskaną. W 1963 roku wszedł w Polsce w życie dekret osiedlenia, zakazujący Cyganom poruszania się po kraju taborami. W takich realiach członkowie ich społeczności z trudem odnajdywali swoje miejsce. Problemy pogłębiały się także z tego powodu, że ta grupa etniczna nie jest chętna do nawiązywania kontaktów z innymi kulturami, słabo się integruje i jest skrajnie nieufna – co wzbudza także podobne odczucia po drugiej stronie. To sprzyjało budowaniu barier, stereotypów i uprzedzeń, obecnych do dziś w obu społecznościach.

To także między innymi za ich sprawą jest w życiu Papuszy sporo znaków zapytania, ale drobiazgową pracę autorki nad dokumentacją pozwoliła na odtworzenie wielu wydarzeń z życia tej niezwyklej Cyganki z dużym prawdopodobieństwem. Tu już nic nie da się zrobić, ona jest skazana na legendę, ale Angelice Kuźniak zależało, aby ta legenda była opowiedziana przez samą Papuszę, jej własnymi słowami. Stąd tak niewiele tutaj głosów osób trzecich, niewiele jest także odautorskiego komentarza samej autorki tej frapującej reportażowej opowieści.

Papusza utrzymywała z Jerzym Ficowskim kontakt listowny, pisywała także do Juliana Tuwima. Zamieszczona w obszernych fragmentach jej korespondencja jest bezcennym świadectwem jej bogatej osobowości i wyobraźni. Szkoda, że tak duża jej część przepadła na zawsze. W listach Papuszy słychać muzyczny zaśpiew, mają one naturalny, specyficzny styl i niepowtarzalną frazę, a także – swoistą ortografię, która wzrusza i wzbudza uczucie tkliwości. I głębokie zadziwienie: ile w tych listach jest odcieni emocji, a nawet pewna filozoficzna głębia, co bezsprzecznie świadczy o nieprzeciętnej osobowości autorki listów. To także świadectwo wielkiego talentu: kobieta, która nie posiadała żadnego formalnego wykształcenia, pozostawiła po sobie rękopisy w dwóch językach: poezję tworzyła w języku cygańskim, natomiast po polsku pisała listy i pamiętnik.

„Dziewczyna biedna, spod krzaku” nie została zapomniana, jak przewidywała. Angelika Kuźniak stworzyła opowieść, która zapoczątkowała swego rodzaju modę na Papuszę. Jej poezja przeżywa renesans, a życie cygańskiej poetki stało się przedmiotem refleksji i szerokiej dyskusji, między innymi także na temat relacji romsko-polskich. Można nawet powiedzieć, że być może to za sprawą tej książki poetka Papusza ostatecznie zyskała powszechne uznanie i weszła do kręgu twórców znanych nie tylko przez specjalistów zajmujących się zawodowo literaturą. Papusza nie jest już inna, obca. Dzięki Angelice Kuźniak poznaliśmy ją lepiej i przyjęliśmy ją do siebie. Papusza jest poetką cygańską, ale jest także nasza.

Joanna Kapica-Curzytek

Panorama działań wysiedleńczych

Jacek Inglot, *Wypędzony. Breslau – Wrocław 1945*, Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2012, 379 s.

Wypędzony Jacka Ingłota to swego rodzaju *novum* dla wiernych czytelników pisarza. Autor znany jest z takich powieści fantastycznych jak *Inkwizитор* czy *Quietus* (opowieść z dziejów rzymskich i weneetyjskich). A w swoim dorobku posiada również cykl przewodników literackich wchodzących w skład serii *Cicerone*, m.in. *Pokochać Fredrę. Przewodnik literacki dla uczniów szkół podstawowych i średnich* czy *Pokochać Słowackiego. Przewodnik literacki dla uczniów szkół podstawowych i średnich*. Tymczasem krytyk „Fantastyki” w swojej najnowszej powieści sięga po historię powojennego Wrocławia i bynajmniej nie jest to powieść przynależąca gatunkowo do fantastyki.

Ingłot nie jest pierwszym, który sięga do historii powojennego Wrocławia, tę problematykę poruszał już Marek Krajewski w kryminalnej serii o nadkomisarzu Eberhardzie Mocku, czy Niemiec Hugon Hartung w beletrystycznej powieści *Gdy niebo zstąpiło pod ziemię*. Nurt wrocławski sytuujący miasto jako główny temat zainteresowań reprezentują utwory zarówno Joanny Konopińskiej, Anny Kowalskiej, jak i proza m.in. Piotra Siemiona, Mirosława Spychalskiego, czy częściowo Olgi Tokarczuk – piszącej ogólnie o Dolnym Śląsku.

Andrzej Zawada napisał w reprezentatywnym dla tego tematu esaju *Bresław*, że „Wrocław jest miastem, któremu amputowano pamięć”. Myślę, że tego typu ułomność historyczną i kulturową można porównać nie tylko do Wrocławia, ale również do historii Szczecina, Gdańska, Gorzowa, jak i Zielonej Góry. Rok 1945 to data graniczna, która wyznacza wyraźną cezurę istnienia tych miast jako miast niemieckich. Od tego roku rozpoczęły się działania mające na celu wymazanie germańskiej przeszłości całych Ziem Zachodnich. Zawada w artykule *Temat Wrocław* wydrukowanym w „Przeglądzie Politycznym”, pisząc o tematyce wrocławskiej zorientowanej wokół literackich reprezentacji miasta, wysunął postulat dotyczący całego nurtu opisującego powo-

jenne dzieje Wrocławia. To założenie zakłada, że narracja założycielska składa się z różnych opowieści konstytuujących się „jako dzieło zbiorowe”. Powieść Ingłota wpisuje się w ten nurt, a na literackiej mapie Wrocławia ma miejsce szczególne, gdyż nie mitologizuje swoich postaci i łamie stereotypy zarówno Polaków, jak i Niemców. W specyficznej scenerii przejęcia Wrocławia przez Polaków, w której tytułowy bohater Jan Korzycki porucznik AK, ucieka przed UB na Ziemię Odzyskane i snuje swoją opowieść o mieście „rzuconym na kolana”, gdyż formułującym się pod polską flagą pośród szabrowników, ostatnich nazistów i kształtującej się nowej państwowości.

Perspektywa przedstawiona w powieści Ingłota koncentruje się przede wszystkim na przeżyciach i „niesprawiedliwości dziejowej”, jakiej doświadczyła ludność niemiecka. Oczywiście nie jest to jedyny punkt widzenia, poruszane są wątki dotyczące Polaków, jednakże jest to realizacja dominująca. Chociaż w notce *Od autora* pisarz podkreśla, że chciał stworzyć panoramę działań wysiedleńczych: „Odczucie bólu i krzywdy wysiedlanego mieszkańca Breslau czy Waldenbergu jest tak samo prawdziwe i godne współczucia, jak Polaka zmuszonego do opuszczenia Lwowa, Wilna czy Grodna” (s. 379). Autor podkreśla obopólny dramat wysiedleńczy, ale czytelnik powieści może odnieść wrażenie, że krzywda doznana przez Polaków jest na tyle oczywista, iż nie ma potrzeby jej dogłębnego opisu w tej konkretnej powieści, może dlatego, iż została już wielokrotnie poruszana literaturze. W powieści możemy odnaleźć takie fragmenty o opisujące Niemców:

Byli też i tacy, którzy przyjmowali swój los z pełną rezygnacją godnością – czekali na komisje kompletnie ubrani, siedząc w kuchni obok starannie zapakowanych walizek i koszy z prowiantem. Czasem pili jeszcze herbatę, ale bez protestu wstawali od stołu, zostawiając niedopite kubki [...]. Niektórzy tylko rzucali za siebie ukradkowe

spojrzenia, jakby chcąc zapamiętać te chwile,
kiedy dom jeszcze był ich. (s. 279)

Znamienny jest również tytuł powieści, który jednoznacznie kojarzy się z niemieckim Związkiem Wypędzonych (*Bund der Vertriebenen*). Tytuł prowokuje do dyskusji, ponieważ głównym bohaterem jest Polak, a w powszechnym rozumieniu mianem „wypędzonych” określa się Niemców. Wobec Polaków używa się określeń o łagodniejszym zabarwieniu emocjonalnym: przesiedleńcy, wysiedleńcy, repatrianci. Opuszczenie Heimatu, czyli rodzinnych stron, zarówno dla Polaków, jak i dla Niemców, oznaczało jednoznaczne zburzenie ich indywidualnego mikroświata małej ojczyzny. Ów rozpad dokonał się przez przymusową zmianę miejsca zamieszkania i dotkliwy sposób, w jaki została ona przeprowadzona. Kwestia semantyki jest o tyle istotna, że terminy „przesiedleńcze” nie oddają istoty tych wydarzeń i warto zaznaczyć, że „wypędzenie” w tym przypadku przestaje mieć jakąkolwiek narodowość, ponieważ oba narody doświadczyły znanej z historii i literatury tragedii. I w tym przypadku termin „wypędzony” nabiera mocniejszego znaczenia.

Warto również zwrócić uwagę na język powieści, który niekiedy kłóci się z dzisiejszą prawdą historyczną, owszem propaganda PRL-owska była silna i skutecznie spełniała swą rolę w popularyzacji mitu piastowskiego i głoszenia haseł powrotu do macierzy – jeden z bohaterów został skuszony wezwaniem z plakatu do przyjazdu na Śląsk. Jednakże świadomość społeczna w '45 roku nie była na tyle silna, aby powątpiewać w polskość Ziem Zachodnich. Niemniej jednak w powieści możemy przeczytać nasycone ironią fragmenty o rzekomej polskości Ziem Odzyskanych:

- [...] Został tylko jeden kierunek. Zachód.
Prawdę mówiąc Jan oczekiwał tych słów [...]
- Znaczy się do Niemiec? – ni to zapytał, ni to stwierdził.
- Na Śląsk Nadodrzański. Oni to nazywają „ziemiami odzyskanymi”.

- Odzyskanymi? To kiedyś je straciliśmy?
- Doktor wydłubał z papierośnicy drugiego papierosa.
- Gdzieś tak w trzynastym wieku... (s. 17)

Czy:

To gadanie czerwonych o powrocie ziem zachodnich do macierzy nie jest niczym innym jak mydleniem oczu [...] (s. 18)

Atutem wydawniczym tej pozycji książkowej jest na pewno umieszczenie przedwojennej mapy Breslau z niemieckimi nazwami ulic i obiektów na stronach wewnętrznych okładki. Zabieg ten pozwala czytelnikowi na bardziej precyzyjne umiejscowienie, a tym samym przeniesienie wyobrażonej rzeczywistości powieściowej na konkretną przestrzeń kartograficzną powojennego Wrocławia. Ingłot o *Wypędzonym* pisze, że pragnął napisać prawdziwą historię dziejów Wrocławia i podkreśla, że Wrocław „konał jeszcze przez wiele miesięcy i to my, Polacy, pomagaliśmy mu umierać” – ile historii, tyle opowiadań.

Biorąc pod uwagę proces historyczny, szczególnie zaś tradycje modernistyczno-romantyczną, zauważyć można, że trauma spowodowana II wojną światową wywołała reperkusje sprzyjające zmianie optyki z postawy mesjańskiej narodu polskiego na postawę oprawcy po '45 roku, która to przynależna była Niemcom. Szczególnie zmianę tej optyki widać w kontekście, z jednej strony wysiedlenia ludności narodowości polskiej, z drugiej zaś wypędzenia ludności niemieckiej. Związane było to wręcz z brutalnym i miarowym wyczekiwaniem na jak najszybsze pozbycie się rdzennych mieszkańców Ziem Zachodnich przez ludność przesiedlaną na te tereny. Zmiana takiej perspektywy historycznej ukazuje, iż Polacy nie zawsze występowali w roli męczenników i sami potrafili być bezwzględnyimi ciemiężycielami.

Marika Sobczak

Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wojenne zapiski

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939-1945*, zebrał Rafał Podraza, Agora SA, Warszawa 2012, 179 s.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska jest znana przede wszystkim jako autorka liryki miłosnej, mistrzyni nowoczesnej miniatury poetyckiej. Jej najbardziej cenione utwory przynależą do dwudziestolecia międzywojennego, zaś schyłek twórczości i życia przypadł na czas II wojny światowej. Ciężkie doświadczenia wpłynęły na ocenę otaczającej rzeczywistości, jak i na postawę twórczą. Przemiana była nieunikniona. Wojna zmieniła wszystko w życiu Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, więc i używane przez nią poetyckie instrumentarium musiało sprostać nowym, dramatycznym treściom. Ton skargi, przerażenia i bezradności wybrzmiewa w wielu wierszach z tego okresu. Podobny obraz stanu ducha i umysłu autorki ujawniają jej wojenne zapiski. Ich fragmenty były już drukowane, lecz dopiero Rafał Podraza scalił dziennik, który ukazał się pod tytułem *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939-1945* w serii „Biblioteka Gazety Wyborczej”. Edycja została przygotowana bardzo rzetelnie, uzupełniona przypisami, opatrzona wieloma fotografiami i materiałami ilustracyjnymi, znakomicie opracowana graficznie, z przedmową Angeliki Kuźniak. Po prostu piękne wydanie. A sama lektura – niezwykle poruszająca. Dla tych, którzy znają bądź kojarzą Pawlikowską-Jasnorzewską jako poetkę piszącą jedynie o miłości, książka powinna dać nowe spojrzenie na tę autorkę. Ostatnie sześć lat jej życia to czas emigracji pełnej cierpienia, tęsknoty, bólu, a ponadto zmagania się z rozwijającym się rakiem szyjki macicy i trudna z nim walka. Pisanie musiało pełnić funkcję terapeutyczną. Przyjęta forma intymnego dziennika zakłada autentyczność przekazu. Nie ma tu miejsca na kreację czy nieszczerłość. Poetka pisze, co czuje, jak się czuje, co ją martwi, co przeraża, o czym śni, za czym tęskni. Dużo w tym też prozy życia, troski o podstawowe, bytowe sprawy. Wielka historia w tle i prywatna, wewnętrzna wojna z postępującą chorobą.

„Tajemnice wojenne nieba zakazane są laikom”

– zapisała poetka 1 września 1939 i chyba do końca pozostała laikiem. Bo jak można zrozumieć wojnę? Dla wrażliwej kobiety wojna to męska rzecz, której nie da się pojąć: „Mężczyźni, czegoż to szukacie u wojny? Miłości, nowości, natchnienia, wielkości, postępu, zmiany losu?”. Po pytaniu pada smutna uwaga: „Znajdujecie: grozę, kalectwo, niesprawiedliwość, poniżenie, rozłąkę, znużenie, obrzydzenie do klęsk i zwycięstw” (s. 29). W podobnym tonie Pawlikowska-Jasnorzewska pisała też w innych miejscach dziennika: „Co to za światek, który nie zna innych wartości oprócz rangi wojskowej, jakie to ważne dla nich, jak potężnie zakorzenione” (s. 66); „Do broni! Hej, cały naród! Honor, cześć! Czuj! Nienawiść i głupota męska rozlały się szerokim strumieniem...” (s. 70).

Wybuch wojny zastał Marię w Warszawie. Razem z mężem szybko wyemigrowała, przez Rumunię najpierw do Francji, potem do Anglii. Jasnorzewscy osiedlili się w Blackpool, gdzie mieścił się ośrodek lotnictwa RAF. Mąż Marii był lotnikiem. I kolejny ostry osąd: „Tylko nie idealizujmy lotników! To oni, mniejsza narodowość, są katami miast bezbronnych, dzieci, kobiet, starców w przytułkach” (s. 84).

Wojna dla poetki to czas okrutny. Brak listów i wieści o ukochanych osobach, niepewność o los rodziny często przewijają się w jej zapiskach. Obsesyjnie tęskni za domem, rodziną, ta tęsknota staje się wręcz „cierpieniem realnym”, którego czas nie jest w stanie złagodzić, wprost przeciwnie. Dom powraca w snach bardzo plastycznie, przypominają się jej dobre czasy, wspomina swoich najbliższych. Nie może sobie poradzić z utratą ojca, później dowiaduje się o śmierci mamy. Na obczyźnie czuje się jak w więzieniu, zniewolona i w wymiarze symbolicznym bezdomna. Po śmierci mamy pisze: „Dom już mnie nie obchodzi [...], już to dla mnie pusty rekwizyt, pamiątka tak gorzka, że nie pragnę go już oglądać”

(s. 98). Czy jest możliwa odmiana sytuacji? Poetka kieruje swe prośby do Opatrzności. Podczas alarmu w maju 1941 roku notuje wzruszającą modlitwę-apel: „Matko Boska nasza ogrodowa, uboga, skromna, niespodziewana, bo nierealistyczna, ani ludowa, ani tajemnicza, pełna Maminej prostoty – sprowadź Ty mnie i Lotka szczęśliwie do domu, a oni niech się biorą za łby później, bez nas...” (s. 62). Nie dane było im wrócić...

Lotek

Fragment zapisu pod datą 24 maja [1940]: „Jeden Lotek nie dusi, nie osłabia, chociaż taki arogancki bywa i dziecinnie uprzykrzony, toteż oderwanie się moje od niego będzie ryzykowną aferą” (s. 37).

Miłość w życiu Marii Janiny Teresy z Kossaków Bzowskiej-Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej zawsze była kwestią istotną, szaleństwem, inspiracją. Stefan Jerzy Jasnorzewski, zwany Lotkiem, był trzecim mężem Marii. Związek okazał się udany. Zapiski dotyczące Lotka są czynione ręką kochającej kobiety, nawet gdy mowa o jakichś spięciach między małżonkami, wzajemnych żalach czy atakach furii. Maria przyznaje, że żaden z jej mężów nie był łatwy we współżyciu, ale Lotek w tym zestawieniu wypada najlepiej, choć tak go podsumowuje „urok dziecka i zwierzęcia, ale dużo zarozumiałstwa, pychy, no i te wybryki niesamowite, gdy staje się dla mnie niebezpieczny od wojny samej” (s. 56). Złośliwy, wyrzuca jej nadmierne gadulstwo. Potrafi być wzruszający, rozczulający. „Lotek kocha mnie, ale mnie znieść nie może. Kocha mnie jako ideę. Bardziej z daleka, mniej z bliska” (s. 84). A jednak czas wojny i przede wszystkim choroby i ten sąd zweryfikował – niewątpliwie Lotek umiał kochać Marię bardzo „z bliska”. Był przy sparaliżowanej, umierającej żonie, oddany do końca.

„Nie boję się wojny, boję się swoich”

– już pod datą 1 września padają słowa, które sama autorka uważa za prorocze. O Polakach przebywających za granicą Pawlikowska-Jasnorzewska w swoich zapiskach wypowiada się zwykle negatywnie. Na przykład we Francji rodacy psują jej humor, „czynią świństwa”. W zapiskach z Lyonu znajdują się zdania:

„Polaczkowie, którzy do reszty utracili zmysł humoru, zdobyli się na dowcip nazywania Lyonu »Lwo-wem«” i „Polacy też ospali i wciąż się odgrają, że będą dzieci i kobiety niemieckie mordować” (s. 34); „[...] Francja i Anglia przegrywają wojnę aż piszczy. Przykro mi, ale trzeba im tego było? Polactwo lata jak oparzone. Mam wrażenie, że to jednak nasza wina – wszystko...” (s. 37). Poetka jest przerażona wojną, źle znosi nową sytuację. Nie solidaryzuje się z innymi emigrantami i równocześnie dostrzega, że i jej towarzystwo nie jest łatwe dla innych: „Po prostu za trudno być mną. Tyle kantów. [...] Złudzeniem jest, abym mogła utrzymać stosunki z ludźmi, to się nie da. Ludzie przypawiają mnie po pewnej chwili o duszności i mowę utrudnioną. Mój niepokój i znużenie udziela się im i mają mnie też dosyć i nie cierpią mnie” (s. 36-37). Już w Blackpool krytykuje przełożonych wojskowych za decyzje dotyczące jej męża. Nie potrafi się odnaleźć w tym środowisku. „Wstydzę się swojego plemienia. Schłopiałe, ogłupiałe, rozpustne prostaki. Możemy śmiało nie żałować, że się to nie rozpanoszyło na cały świat, ale że po łbie chamskim dostało” (s. 85). „Nierycerski to naród ten mój, płaski, posłuszny, bezmyślny...” (s. 93). Ocena surowa i emocjonalna. Pawlikowska-Jasnorzewska nigdy nie bała się wygłaszać swoich sądów, a w twórczości – poruszać tematów kontrowersyjnych obyczajowo i społecznie. Odwaga nie ograniczała się tylko do papieru. Mąż miał do niej pretensje, że przy gościach wygłasza „niebezpieczne” zdania...

„Kobieta wygląda tak jak jej macica – od niej wszystko zależy”

Najbardziej wstrząsające są zapiski z ostatniego roku. W 1945 kończy się wojna światowa. Maria przegrywa swoją prywatną wojnę z chorobą. Zapiski z ostatnich miesięcy przede wszystkim tego dotyczą. Nasilające się objawy, kolejne badania, operacja, opisy stanu zdrowia, wyrzuty wobec lekarzy. Pawlikowska-Jasnorzewska czuje się pozbawiona kobiecości, w mocnych i przejmujących słowach pisze: „Nieśmiertelna, której zwracałam nadzieję z łagodnością, radością i poczuciem niespodziewanego zdrowia, wyrwywająca się, by jeszcze kochać,

wydarta, rzucona w brutalne ręce, relikty mojej młodości i moich miłości, fantazji, moja macica, śpiewa mi swe pożegnanie w wietrze, nocą. Koncert sopranu o erotycznej słodkości, czasem fałszującego. To była ona, moja towarzysząca wyrzucona ze mnie przez beztropkie ręce w wielkiej pogardzie czasów wojny..." (s. 123).

Gdy usłyszała od lekarza, że konieczna jest operacja macicy, poczuła bunt, oburzenie, strach, bezsilność i skrajną samotność: „Każde stworzenie ma takie miejsce, gdzie leci czy biegnie, aby uciec niebezpieczeństwa – ja nie mam” (s. 127). W końcu decyduje się na operację. Na papierze rejestruje straszne cierpienie i przerażenie: „Dzisiaj organ ten mój, towarzyszu niewierny, daleko ode mnie, w pogardzie u ludzi ciśnięty lub może zachowany dla naukowych celów... Czy mam przez to mniejszą wartość? Jak się to wszystko odbije na moich myślach, wyrazie oczu, sile umysłu?” (s. 144).

Pod koniec sparaliżowana, umierająca poetka notuje wstrząsający zapis swojego cierpienia: „Najstraszniejsza moja gólgota. Madejowe łożo. Nogi kalwaryjskiego dziada. Brzuch topielca, klatka piersiowa jak u konia w polu leżącego – straszliwy *carapace* o twardości żelaza. Biodro obce. Starczy, duszący kaszel, co się wykaszleć nie może, gdyż na pół płuc w pancerzu znieczulenia. Czas wlecze się czyścicowo, gdyż dzień tu się o szóstą poczyzna” (s. 147).

Tak jak życie może się nagle skończy, tak urywa się ostatni zapis z 30 czerwca: „Zdaje mi się, że nie mogę już. Słabość straszna –” (s. 155). Poetka zmarła w śnie 9 lipca 1945 roku.

(Na marginesie: 1% ze sprzedaży książki ma być przekazany Ogólnopolskiej Organizacji na rzecz

Walki z Rakiem Szyjki Macicy „Kwiat Kobiecości” – kolejny powód, by sięgnąć po tę publikację)

Koniczyna – na koniec

Ostatnie wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, właściwie poetyckie miniatury – czterowiersze, autorka chciała wydać w małym formacie. Proponowała, by tomik był zielony lub szary, z koniczyną na okładce, zatytułowany *Czterolistna koniczyna* lub *Szachownica*.

Do wojennych zapisków poetki dołączono niepublikowane dotąd wiersze, które pod tytułem *Szachownica* właśnie, zamykają książkę, a przede wszystkim zamykają twórczość autorki. Są swoistym dopełnieniem tego, o czym Pawlikowska-Jasnorzewska pisała w dzienniku i równocześnie dopełnieniem życia – w symbolicznym wymiarze. Nie ma tu miejsca na romantyczne porywy miłości, które wypełniały pierwsze tomiki; jest smutek, gorzkość, rozżalenie, echa wojny i choroby. Rygor przyjętej przez poetkę formy pozwala mówić oszczędnie, bez ozdobników, prawdziwie. Fragment z jednego z tych utworów posłużył jako tytuł omawianej książki. W wierszu *Samotne piękno ofiar* autorka pisała: „Wojna – grzech ciężki. Wojnę szatan spłodził. / Każdy nią gardzi; nikt się z nią nie godzi”. W kolejnych dwóch wersach – co zaskakujące – mowa o nikłym pięknie: „Jednak jest piękno w tej okrutnej sprawie: / Nikłe, gdyż w niebo zbyt szybko uchodzi” (s. 170). Piękno kryje się też w poezji zrodzonej z bólu i traumy, a może i nadziei na zmianę, którą mogłaby symbolizować proponowana przez poetkę „czterolistna koniczyna” – i na tym można by zakończyć.

Joanna Wawryk

Ogarnąć życie. Nowa powieść mistrza

Wiesław Myśliwski, *Ostatnie rozdanie*, Znak, Kraków 2013, 448 s.

Na kolejną książkę Wiesława Myśliwskiego trzeba cierpliwie czekać. Autor pisze niespiesznie, strona po stronie ołówkiem i tak też najlepiej czytać jego prozę: powoli, z ołówkiem w dłoni. *Ostatnie rozdanie* – ostatnia powieść nie zawodzi. Wielowymiarowa, genialnie skonstruowana, dotykająca kwestii egzystencjalnych. Życie, los, czas, miłość, przemijanie, pamięć – autor snuje swą opowieść wokół wielkich tematów, a właściwie elementarnych zagadnień, ale i rzeczy banalnych, czy też pozornie banalnych, bo między wielkością a małością, sprawami metafizycznymi i bardzo przyziemnymi rozpięte jest istnienie człowieka. Próba całościowego ujęcia bytu to odważne zadanie – może się go podjąć jedynie wybitna literatura, która stawia też pytania o granice i ograniczenia ludzkiego poznania.

Bohater i zarazem pierwszoosobowy narrator *Ostatniego rozdania* nie jest wszechwiedzący, wręcz przeciwnie – zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń, co też wielokrotnie podkreśla. Nie wiadomo, jak ma na imię ani ile dokładnie ma lat czy w jakiej miejscowości mieszka. Nie jest to k a ż d y c z y n i k t, tylko k t o ś, konkretny bohater, którego autor tak konstruuje, jakby chciał powiedzieć, że przekazanie całej prawdy o człowieku jest niemożliwe. Niedosyt wiedzy dotyczącej głównego bohatera wynika stąd, że i on sam nie wie o sobie wszystkiego („z takim trudem rozpoznaje się człowiek w sobie”; s. 12). Ciągłe jest w fazie (re)konstrukcji. W toku narracji toczony głównie w rytmie wspomnień powoli odsłaniają się poszczególne karty z jego życiorysu. Wychowany przez matkę, nie znał ojca i nie jest w stanie dowiedzieć się o nim niczego pewnego. W jego życiu były kobiety, ale nadchodził czas, że każdą z nich opuszczał, nie mogąc znieść siebie w dłuższym związku. Jedną z nich – Marią od lat śle mu przejmujące listy, w których zapewnia o swojej miłości i relacjonuje życie – życie bez niego. Bohater jest uzdolniony plastycznie. Jego obrazy budzą zachwyt, ale przerywa studia artystyczne, później nie kończy też psychologii. Z krawiectwa, do którego nakłoniła go matka, by

zdołał jakiś fach, również rezygnuje. Odrzuciwszy drogę sztuki i możliwość życia przy boku kochającej go kobiety, para się różnymi interesami, zarabia duże pieniądze. Jest w nim mocny imperatyw bycia wolnym. Wolność ma swoją cenę i granicę, którą często wyznacza drugi człowiek. W ten sposób „[...] ustanawiamy formę naszego istnienia, a forma wyznacza nasze związki z życiem, ze światem, tworząc i nas, i świat” (s. 243). Na ile bohater jest panem swojego losu, trudno stwierdzić, bowiem rekonstrukcja zdarzeń dokonuje się siłą pamięci i wyobraźni, więc nie jest to opis zupełnie obiektywny. Wolność w ostatnim rozrachunku może się okazać tylko złudzeniem, gdyż: „Nie mamy żadnej władzy nad życiem, wbrew temu, co nam się wydaje. To ono rządzi nami przez różne przypadki, zbiegi okoliczności i temu podobne” (s. 222). Bohater nie kończy wielu spraw, jego los zaś jest nieprzesądzony, uogólniając: nie można poznać danego człowieka w sposób absolutny.

Rozpoznawanie losu to zadanie na całe życie. Podobnie relacje między zdarzeniami, ludźmi, przedmiotami nie są czymś stałym – wręcz przeciwnie. Mimo to człowiek ma potrzebę nadawania życiu sensu, ogarniania chaosu, porządkowania. Zapanowanie nad przedmiotami daje bowiem złudzenie zapanowania nad życiem.

Choćby taki notes. W powieści jest czymś więcej niż wątkiem-lejtmotywnym, od którego *Ostatnie rozdanie* się zaczyna i do którego narrator-bohater wraca. Pełni rolę symbolu życia, wskazuje na mechanizm pamięci i wyobraźni oraz ograniczonych możliwości poznawczych człowieka. Jest jak ludzki los, wypełniony śladami innych ludzi, ich adresami, telefonami, nazwiskami. Jego zawartość ciągle się zmienia, kontakty nie tylko są uzupełniane, ale przede wszystkim bohater zmienia stosunek do osób zapisanych, o niektórych zapomina, innych sobie przypomina, nie mając pewności, czy to, co mu się wydaje na czyjś temat, jest prawdą o nim. Zgłębianie treści zapisków wynika z pewnego rodzaju tęsknoty za sobą. Notes jest niezwykle cenny dla bohatera,

towarzyszy mu od lat. Dlatego, mimo pokusy, nie jest w stanie zniszczyć notesu, bo w nim zwiera się jego los. Spis obejmuje osoby ważne w biografii, jak i niemalże przypadkowe, przygodnie spotkane, a nawet spisane bez większej konieczności. Notes – jak życie – zawiera ślad relacji z innymi ludźmi, relacji też zapożyczonych, z drugiej ręki, wziętych od matki, krawca, u którego bohater terminował, czy listonosza, który mu „udostępniał” obce listy. Nie wiadomo, na ile notes jest „wiarygodny”, ale w nim jest wszystko, czego jego właściciel może się o sobie dowiedzieć. „Ogarnąć życie. Znów nachodzą mnie wątpliwości, czy to w ogóle możliwe, czy ten zbiór przypadków, w którym mało co ma z sobą związek, jak te wszystkie imiona, nazwiska, adresy, telefony w moim notesie, jest skłonny poddać się naszej woli” (s. 7). Człowiek nie jest w stanie ogarnąć życia, żyjąc. Wiedza o ludziach też może okazać się tylko wyobrażeniem o nich. Mamy jedynie wyobrażenie o sobie: „jesteśmy [...] wyobrażeniami samych siebie. Do tego ciągle zmieniającymi się, w zależności od takich, innych okoliczności, zdarzeń, czasu, mody, konwencji czy nawet własnych kalkulacji. Jesteśmy nie do uchwycenia w jakiejś stałej formie” (s. 23).

Każdy człowiek ma prawo do swojej prawdy o życiu. Dlatego też w powieści Myśliwskiego notes nie jest jedyną wielką metaforą życia. Marię w istnieniu utwierdza miłość. Szewc Antoni Mateja z butów potrafi powiedzieć wiele o życiu ich właściciela, dla krawca Jana Radzikowskiego szycie jest sensem i przez nie definiuje świat. „W szyciu nie ma nic prócz szycia/ [...] W życiu nie ma nic prócz życia” – fragment z *Szewczyka* Bolesława Leśmiana po lekturze *Ostatniego rozdania* można by dopełnić: w życiu nie ma nic prócz... prucia. Bohater, któremu krawiec każe tylko pruć ubrania, przez tę czynność potrafi dotknąć podszewki istnienia. Bo życie – i tu można podjąć próbę kolejnej jego definicji – to ciągłe fragmentowanie i scalanie obrazu. Prucie i szycie. Konstrukcja i dekonstrukcja. Chaos i porządek. W dzieciństwie (przypadającym na czas powojenny) świat wydawał się bohaterowi pokiereszowany, wszyscy w nim ranni, a jeśli jeszcze nie ranni, to raniący lub pragnący tych ran. Gdy dorósł, też zdarzało mu się postrzegać innego człowieka jak twór pełen szwów: „Niby wy-

dawał się cały, ale gdy się dobrze w niego wpatrzyć, okazywał się zszyty z kawałków, kawałeczków, kawałków i tylko dzięki temu, że zszyty, mógł uchodzić za całość” (s. 231). Tak widziane ludzkie istnienie można by nazwać patchworkowym: „Każdy jest przecież czymś w rodzaju zbioru odbijających się o siebie ułomków, wypalonych niczym meteory, których nic z sobą nie łączy, pogasłych nadziei, marzeń, zetkniętych pragnień, zaprzeczonych uczuć, kłamstw podszywających się pod prawdy i prawd podszywających się pod kłamstwa, a wszystko to niezdolne choćby krążyć wokół wspólnej osi” (s. 29).

Kolejną prawdą o życiu wpisaną w dzieło Myśliwskiego jest to, że człowiekowi są potrzebne zasady, reguły; coś, co nada istnieniu sens; coś, co pozwoli widzieć byt jako celowy; coś, co człowieka scali i ocali. I tu już nie ma oczywistych rozwiązań. Inną wielką metaforą życia w powieści jest poker. Życie to gra ze sobą, o siebie, o wielkie i małe sprawy, generalizując: gra o swój los. „Nikt przecież nie gra, żeby przegrać. Gra zawsze toczy się o wygraną, mimo kart, jakie przyszły. A to wymaga nie tylko umiejętności tasowania, przebijania, blefowania i nawet nie tego, żebyśmy umieli zachować zimną twarz. To wymaga, żebyśmy wiedzieli, o co gramy i chcieli tego chcieć. To umiejętność najtrudniejsza. O wiele trudniejsza niż żyć” (s. 127). Na całość ludzkiego życia składają się sprawy najważniejsze i ostateczne oraz zupełnie banalne. Z napięcia między nimi układają się koleje losu.

Jedną z propozycji interpretacyjnych może być odczytanie *Ostatniego rozdania* jako przypowieści o kondycji człowieka współczesnego. W końcu nie musi być zbyt wielu odniesień do aktualności, by powieść mogła powiedzieć czytelnikowi coś bardzo aktualnego. Dziś rolę notesu pełnią nie tylko kalendarze, do których przepisuje się znajomych i informacje o nich, ale też portale społecznościowe czy smartfony – same narzędzia do „porządkowania” życia i tworzenia jego artefaktu czy substytutu będą się zmieniać. A w tłumie ludzi pozostanie samotny człowiek. Jeden z bohaterów powieści, głosząc, że świat potrzebuje psychologów, stwierdza: „Bezradny wobec przyszłego świata człowiek, który i dzisiaj jest już często bezradny, będzie potrzebował szczególnie

pomocy, ba, bez mała opieki. [...] W tym przyszłym świecie człowiek będzie się coraz bardziej odczuwał, tracił indywidualność, wolę, świadomość siebie. Jednostka stanie się zawadą świata" (s. 418). Mimo prób dotarcia do człowieka pozostanie on wciąż „nierozpoznany, jak był od zarania" (s. 419) – i z tym trzeba się zgodzić.

Człowiek i świat wymykają się całkowitemu poznaniu. Wielka pokora genialnego mistrza prozy kryje się w tym, że konsekwentnie unika moralizatorstwa, nie daje recept, nie poucza. Skłania do myślenia, opowiada o człowieku i to może być pouczające o tyle, że lepiej rozgrywać swoje życie świadomie, nawet gdy reguły gry nie są do końca znane, bo przecież ostatecznie rozdział zawiera w sobie potencjał zakończenia, ale jego wynik dla człowieka nie jest przesądzony. Życie jest dane, na los zaś, postrzegany jako „zdolność wyobrażenia sobie naszego życia w wymiarach przeznaczenia" (s. 30), można wpływać – a to już daje jakieś możliwości i szansę na pozytywne rozwiązanie.

* * *

Są dzieła, po przeczytaniu których – jakkolwiek górnolotnie by to nie zabrzmiało – świat nie wygląda tak samo, coś ważnego zmienia się w postrzeganiu i myśleniu. Myśliwski zachwyca od pierwszych stron, gdyż już w rozważaniach dotyczących notesu wyklada to, co Proustowi zajęło siedem tomów jego *opus vitae*. Stawia pytanie o możliwości poznania człowieka i uchwycenia prawdy o nim; o pamięć, która przekształca obrazy, ale jest też czynnikiem

integrującym, scalającym byt, choć nie można ufać w prawdziwość tego, co przekazuje; o czas, który może być pusty, czyli zmarnowany, lub pełny, poświęcony jakiemuś pożytkowi. „Kto wie, może każdy byt, a tym bardziej człowiek jest z istoty wielobytem, konsekwencją tej niekończącej się mnogości wyobrażeń o sobie" (s. 23). Ważnym, wręcz kluczowym momentem w biografii bohatera *Ostatniego rozdania*, są zajęcia na uczelni, podczas których rysuje akt. W ujęciu nagiego ciała udało mu się połączyć śmiertelność z nieśmiertelnością, czego nie zrozumiał profesor, a rozpoznała pozująca modelka, która już wie, że „tylko wyobrażenia, wolność pozwalają nam być czymś więcej niż jednorazowym doznaniem siebie" (s. 95). Być może sprzeniewierzając się swojemu przeznaczeniu, bohater porzuca malarstwo. Jeden z późniejszych pracodawców poleca mu przeczytanie dzieła Prousta, niedokładnie cytując słowa autora *W poszukiwaniu straconego czasu*: „Bóg chce, aby istniało trochę dobrze napisanych książek" (s. 430). *Ostatnie rozdanie* to nie dobrze napisana książka, lecz arcydzieło. Powieść totalna, czyli całkowita, skończona, kompletna, choć się nie kończy. Ile można powiedzieć o ludzkim życiu, tyle zostało powiedziane. Życie trwa, nie jest kwestią zamkniętą, więc powieść, która próbuje „ogarnąć życie", pozostaje otwarta. Ostatni, jedenasty rozdział jest niedokończony – potwierdzają się słowa, że „są takie obrazy, książki, dzieła muzyczne, które nie pozwalają się dokończyć, którym jakby nie był pisany koniec" (s. 372).

Joanna Wawryk

KSIAŻKI NADESŁANE

...do każdej chwili, uśmiechaj..., Prace nadesłane na I konkurs poetycki poświęcony Annie German organizowany przez Zielonogórski Ośrodek Kultury, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze, Klub Miłośników Anny German, red. A. Szczęsna, J. Pytel, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zielona Góra 2013, 32 s.

Atlas historyczny ziemi żarskiej, red. T. Jaworski, R. Szymczak, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 156 s.

Mirosław Kuleba, *Enographia Thalloris*, Fundacja Gloria Monte Verde, Zielona Góra 2013, 1147 s.

Jarosław Kuczer, *Baronowie, hrabiowie, książęta. Nowe elity Śląska (1629-1740)*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 320 s.

Interpretacje i reinterpretacje, red. D. Kulczycka, M. Mikołajczak, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Zielonogórskiego”, „Scripta Humana”, t. 1, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 208 s.

Maria Mandziej, *Miodnica – osada pogranicza*, Dekorgraf, Żagań 2013, 147 s.

Oko i myśl. O Zdzisławie Kępińskim, red. M. Haake, Muzeum Narodowe w Poznaniu, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 2012, 203 s.

Oleg Sanocki, *Nadleśnictwo Gubin. Czas, ludzie i las*, Nadleśnictwo Gubin, Gubin 2013, 187 s.

Dariusz Andrzej Sikorski, *Wczesnopiastowska architektura sakralna*, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2012, 218 s.

Terytoria kultury – topografia obecności, red. A. Pastuszek, S. Konstańczak, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 238 s.

Trwanie w języku... Pamięci Profesor Moniki Gruchmanowej w 10. rocznicę Jej śmierci, red. A. Piotrowicz, M. Witaszek-Samborska, Wydawnictwo Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 2013, 148 s.

Miron Urbaniak, *Kolej Skwierzyna – Stare Bielice. Kolejowy modernizm w Polsce*, Fundacja Wspierania Inicjatyw Kulturalnych i Wydawniczych: Księży Młyn, Łódź 2013, 347 s.

Zabytkowe parki województwa lubuskiego, red. B. Bielinis-Kopeć, Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Zielonej Górze, Zielona Góra 2013, 500 s.

Ziemia Święta w dobie romantyzmu. Antologia, oprac. D. Kulczycka, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 222 s.

AUTORZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga

Ur. w 1940 r., zm. w 2013 r. Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Jej twórczość obejmuje: grafikę warsztatową i użytkową, tkaninę artystyczną, malarstwo sztalugowe, sztukę papieru oraz ekslibris. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Dyrektor WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”, dyrektor Kozzi Gangsta Film/Teatr Festiwal w Kargowej.

Edward Derylak

Ur. w 1953 r. w Harasiukach nad Tanwią (woj. podkarpackie). Absolwent WSO w Poznaniu i WSP w Zielonej Górze. Od 1978 r. mieszka w Żaganiu. Członek grupy literackiej „Dysonans” we Wrocławiu. Autor tomu opowiadań *Styro*, powieści *Cień lasu* i *Czołgiści, czołgiści...*, współautor almanachów. Publikuje w pismach literackich. Laureat konkursów literackich. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

ks. Andrzej Draguła

Dr hab. teologii i publicysta. Kieruje Katedrą Teologii Pastoralnej, Liturgiki i Homiletyki na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego. Pełni również funkcję dyrektora Instytutu Filozoficzno-Teologicznego im. Edyty Stein w Zielonej Górze. Jest członkiem Rady Naukowej Laboratorium WIEŻI. Publikował m.in. w „Rzeczpospolitej” i „Tygodniku Powszechnym”.

Roman Garbowski

Ur. w 1935 r. Aktor, reżyser teatralny. Karierę rozpoczynał jako lalkarz w Teatrze Lalek „Pleciuga” w Szczecinie. W latach 70. występował na scenie lalkowej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze, w latach 80. w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie Wlkp. W połowie lat 80. powrócił do Lubuskiego Teatru. Od 1997 r. prowadzi Studio Teatralne „Komedianci”.

Przemysław Grzesiński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Autor opowiadań, twórca komediodramtu *Po prostu Leon po prostu* (premiera w 2011 w LT). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever*.

Izabela Januszkiewicz

Ur. w 1932 r. Wraz z rodziną była na zesłaniu, najpierw w Kazachstanie, a później na Ukrainie. Do Polski wróciła w 1946 r. Osiedliła się na Ziemi Lubuskiej. Od 1953 r. mieszka w Świebodzinie. Autorka książki *Pamiętam. Wspomnienia dziecka wywiezionego w 1940 roku do Kazachstanu*.

Mirosław R. Kaniecki

Ur. w 1957 r. w Brodnicy. Publikował w pismach ogólnopolskich, głównie w miesięczniku „Znak” i w prasie lokalnej, stale współpracuje z „Ziemią Michałowską”.

Joanna Kapica-Curzytek

Filolog angielski i glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl” i „Twoja Muza”), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury popularnej www.esensja.pl. Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna.

Barbara Konarska

Słuchaczka Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, gdzie prowadzi klub literacki Oksymoron i redaguje czasopismo *Inspiracje*, jest autorką dwóch tomików poezji: *Ocalone śmy czyli moje wędrowanie* i *Malowanka jesienna*. Brała udział w regionalnych i ogólnopolskich konkursach literackich, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Konrad Krakowiak

Ukończył filozofię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dziennikarz TVP Info i prezenter programu „Raport z Polski”. W 2002 r. współtworzył i przez cztery lata prowadził audycję „Kocioł Kulturalny” w zielonogórskiej Kabłówce. W 2006 r. był wydawcą serwisów informacyjnych w Rozgłośni Regionalnej Polskiego Radia „Radio dla Ciebie”, a następnie przez dwa lata pracował jako moderator w Polsat News. Autor tekstów piosenek i zapowiedzi estradowych oraz książki poetyckiej *Warto*.

Janusz Łastowiecki

Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. UZ Małgorzaty Mikołajczak w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury UZ. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą psychologii odbioru teatru radiowego jako zjawiska nieprzekładalnego na żaden inny system znaków. Współpracuje z „Dziennikiem Teatralnym”. Interesuje się m.in. radiem, teatrem współczesnym, reżyserią dźwięku i muzyką eksperymentalną.

Władysław Łazuka

Ur. w 1946 r., poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także na antenie PR. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Zbigniew Masternak

Ur. w 1978 r.; prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości”. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księstwo*. Współautor książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Tłumaczony na języki obce, m.in. wietnamski i mongolski, macedoński, słoweński oraz ukraiński. Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury. W 2005 r. na podstawie jego opowiadania *Stacja Mirsk* powstał film, którego był współproducentem (Grand Prix na IX KRAKFFA). Występuje także jako aktor. Pochodzi z Piórkowa, obecnie mieszka w Puławach.

Ewa Mielczarek

Ur. w 1961 r. w Gnieźnie. Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libris”.

Małgorzata Mikołajczak

Profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autorka książek poświęconych poezji Urszuli Kozioł, Zbigniewa Herberta i literaturze lubuskiej, redaktorka siedmiu prac zbiorowych, dwóch antologii poezji lubuskiej oraz licznych artykułów. Kierownik Zakładu Teorii i Antropologii Literatury UZ, w 2010 r. powołała Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną, w ramach której prowadzi badania nad twórczością lubuską i redaguje serię *Historia Literatury Pogranicza*.

Igor Myszkiewicz

Ur. w 1974 r. w Zielonej Górze; artysta plastyk, zajmuje się malarstwem, rysunkiem, ilustracją książkową, ikonografią i komiksem. Uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych. Absolwent Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej przy WSP w Zielonej Górze. Aktualnie pracuje jako plastyk oraz kustosz w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Współzałożyciel działającej od 1997 r. Galerii Twórców Galera, promującej młodych artystów. Redaktor zinów „Tartak”, „Ave Galera!”, „Anarion”, „Przestrój”; współtwórca grupy artystycznej Korporacja Trylobit (jako Trylobit Wschodu). Członek grupy twórczej Wątpliwi Krewni Orsona Wellesa. Od 2006 r. wiceprezes Zielonogórskiego Okręgu ZPAP.

Andrzej Nowak

Aktor, były zastępca dyrektora Lubuskiego Teatru im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Wykładowca sztuki scenicznej dla studentów UZ. Obecnie pracuje jako kierownik mediateki Góra Mediów w WiMBP im. C. Norwida.

Marcin Radwański

Ur. w 1978 w Zielonej Górze. Absolwent Zespołu Szkół Budowlanych i Centrum Kształcenia Ustawicznego. Zajmuje się sprzedażą sprzętu komputerowego. Publikuje opowiadania na łamach „Parnasika” i „Akantu” i na stronach internetowych „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”.

Jakub Rawski

Ur. w 1988 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. dra hab. Leszka Libery. Autor książki poetyckiej *Pasaze* (2010) oraz referatów wygłaszanych na ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach naukowych (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet Zielonogórski w Zielonej Górze). Trzykrotny stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, sekretarz zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Bogumiła Różewicz

Ur. w 1961 r. w Zielonej Górze. Miłośniczka poezji, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Marika Sobczak

Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Jej badania koncentrują się wokół zagadnień związanych z literaturą mniejszości narodowych, etnicznych i religijnych oraz z kategorią inności i obcości. Publikowała m.in. w czasopiśmie „Pro Libris” i „Odra”. Doktorantka w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury UZ. Prowadzi badania w ramach Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor 16 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Witold Stankiewicz

Ur. w 1954 r. w Zielonej Górze, absolwent studiów pedagogicznych na zielonogórskiej WSP. Poeta, publikuje w internetowych portalach poetyckich.

Mirosława Szott

Doktorantka w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury UZ. Prowadzi badania w ramach Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną. Jej zainteresowania badawcze koncentrują się wokół geopoetyki i zwrotu topograficznego w badaniach literackich. Zajmuje się poezją lubuską oraz najnowszą poezją polską. Przygotowuje rozprawę doktorską na temat motywu domu w literaturze Ziemi Lubuskiej. Działa w Stowarzyszeniu Jeszcze Żywych Poetów.

Joanna Wawryk

Ukończyła filologię polską oraz podyplomowe studia w zakresie informacji naukowej i bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Tytuł doktora nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa uzyskała na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Autorka książki *Wokół Leśmianowskich baśni dla dzieci*.

Jacek Żeromski

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, autor tomików wierszy. Absolwent wrocławskiej Akademii Rolniczej.





Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995



PRO
LIBRIS